

Wojtek Bochnacki

ODMIENICY



Wojtek Bochnacki

ODMIENICY

ISBN 83-908738-3-4

Spis treści

ŚMIERĆ LAURENSJI	4
OPOWIEŚĆ O KRÓLU ELFÓW	6
ZAKUPY	22
OPOWIADANIE BEZ TYTUŁU	25
ODMIEŃCY	33

ŚMIERĆ LAURENSJI

Laurensja z niepokojem wbiegła do ogrodu. Czy jej ukochany Patrycy przybędzie? Może już czeka? Szybko zbiegła z marmurowych stopni i zniknęła w alei kuliście przyszyronych krzewów. Nie słyszała rozkosznie kwilących słowików, nie widziała białych łabędzi spokojnie kołyszących się na lazurowej toni ogrodowego jeziora. Patrycy, Patrycy... Tylko to imię szeptały jej spragnione wargi, tylko piękne oblicze ukochanego widniało przed jej oczami. Prędko przebiegła przez wąski, drewniany mostek. Jej biała, długa suknia wlokła się za nią po soczyście zielonej murawie. Wietrzyk igrał wesoło w jej finezyjnie upiętych lokach, szepecząc do uszu nagłące do pośpiechu słowa.

Nagle ktoś wyskoczył zza krzaka i schwycił jej wiotką kibić mocno, aż do bólu.

- Patrycy - szepnęła cicho, zniewolona siłą jego stalowych ramion. Lecz nie był to Patrycy. Brutalna woń męskiego, dawno nie mytego ciała zaatakowała jej delikatne nozdrza.

- Szaleję za tobą!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!!

Te i inne słowa dzikiego pożądania lały się potokiem przez nadpróchniałe zęby Eustachego. Bo on to był właśnie w całej swej odrażającej postaci. On - psychopatyczny ogrodnik pijany szaloną żądzą posiadania pięknej córki swych chlebobawców. Na próżno się szamotała, grube, włochate łapska schwyciły ją niczym kleszcze. Jego woniący oddech omiół jej różane policzki. Zaprzestała oporuna skutek tak zmasowanego ataku. Przekrwione białka jego oczu spoza mgły pożądania patrzyły nieprzytomnie. Bezbronna i bezwolna przymknęła powieki.

- Patrycy - szepnęła jeszcze słabo. Lecz czy Patrycy nadejdzie? Czy uratuje swą ukochaną? Ach, tkwi ona wciąż w uścisku ramion Eustachego, dyszącego namiętnie w szale atawistycznej rozkoszy.

Ale oto Patrycy. Dumnym spojrzeniem pięknych, błękitnych oczu błyskawicznie ogarnął sytuację. Bez wahania wyciągnął szpadę z pochwy. Zalśniła ona metalicznym blaskiem w świetle przedzierającego się przez liście złocistego słońca. Jednym zręcznym i jakże stanowczym ruchem wbił ją w plecy Eustachego. Ten zawył okrutnie, lecz nie wypuścił ze swoich ramion lubej zdobyczy, kurczowo jeszcze mocniej przyciągnął do siebie piękną Laurensję. O losie okrutny, co dręczysz tak niegodziwie tę parę kochanków! Nie dość ci było nasłać na ich strapienie zezwierzęconego, śliniącego się w przyplwywie drapieżnej chuci ogrodnika-dewianta!!! O losie!!! O bezlitosne parki, coście uwzięły się na dwoje niewinnych kochanków!!! O nieba!!!!!!!!!!!!!!

!!!!!!.....!!!!!!!!!!!!

Szpadę zbyt długą miałeś nieszczęsny Patrycy. Przebiła nie tylko Eustachego, ale i w różane ciało Laurensji weszła głęboko. Gdy chował Patrycy swą szpadę do pochwy, ogrodnik i nadobne dziewczę w jego objęciach rzeźbili już. O nieubłagane wyroki...

Kopniakiem swej pięknej, wytwornej nogi oddzielił Patrycy ukochaną od Eustachego. A potem objął ją swym silnym i prężnym ramieniem. Bezwolna i bezsilna opadła na pierś jego, a słaby uśmiech zakwilił na jej malinowych ustach, gdy otworzywszy swe duże, ocienione gęstym szpalerem rzęs oczy, ujrzała nachyloną nad sobą twarz ukochanego. Gwałtownym ruchem ściągnęła mu perukę z głowy i zanurzyła swą białą, delikatną dłoń w gęstwinie jego długich, bujnych włosów.

- Ukochana moja - szepnął Patrycy, przyklękając na jedno kolano. Ale Laurensja osunęła się już bezwładnie, pozostawiając na jego błękitnym fraku czerwoną smugę krwi.

„Cholera” - pomyślał Patrycy. - „Znowu będę musiał czyścić frak”.

Rozległo się przyduszone rżenie Eustachego. Patrycy wstał wściekły i przysunął mu parę kopniaków w brzuch, aby tamten szybciej skonał. Po czym znów przyklękął nad ciałem swej pięknej oblubienicy. Niczym dziki ogier butnie odrzucił grzywę swych płowych włosów, opadających mu na twarz, oczy i szerokie ramiona. Patrzył zupełnie bezsilny, jak bledną lica ukochanej. Ogniście rude, bujne loki rozsypały się swobodnie dookoła jej główki, zalały połyskliwą falą jej piersi i ramiona, zasłaniając tym samym głęboko wycięty dekolt. Patrycy, porwany nagłym szałem rozpacz, rozrzucił te loki i zanurzył twarz w jej wydatnych piersiach. Ich włosy złączyły się w akcie ostatecznego zespolenia, a dziki szloch targnął całym jestestwem Patrycego.

Eustachy zacharczał po raz ostatni i skonał.

O nieczułe, niebiańskie zrzędzenia!!!!!!!!!!!!

Patrycy uniósł swe zroszone szczerymi łzami, cierpiące oblicze znad stygnącego już trupa Laurensji.

- I gdzie ja znajdę drugą równie bogatą i naiwną kochankę!!!? - zawył nieszczęśliwiec. - Co za debil napisał to opowiadanie!!!!!!!!!!!!?????

Oczywiście! Zawsze najłatwiej obrażać i obwiniać niewinnych!! Lecz wiem, że to ból i żal cisnęły ci te słowa na usta, Patrycy. Stąd wybaczam ci i pozostawiam przy życiu (jego własna rozpacz go wykończy!). Jednak w obliczu tak oczywistej, osobistej zniewagi zaprzestaję pracy nad dalszym ciągiem tej opowieści. Adieu, Patrycy!

Gdynia 1996.11.06.

OPOWIEŚĆ O KRÓLU ELFÓW

ELFEUSZU I, O JEGO JEDYNEJ I SŁYŃĄCEJ Z PIĘKNOŚCI CÓRCZE AUREOLII II (KRÓLOWEJ RUSAŁEK), O URODZIWYM WŁÓCZĘDZIE EDUARDO, O SZPETNYM SMOKU ZENOBIUSZU I WIELU INNYCH STWORACH, Z KTÓRYMI ZAPOZNA SIĘ CZYTELNIK, JEŚLI ZECHCE PRZECZYTAĆ TĘ OPOWIEŚĆ

Stara wiedźma Bajbise gotowała właśnie w kociołku jakiś nowy magiczny wywar, gdy do jej brudnej i zaniedbanej lepianki wbiegł zdyszany krasnal Sabała. W pośpiechu poprawił przekrzywioną czapkę z pomponem i, z trudem łapiąc powietrze, zawołał:

- Ratuj mojego przyjaciela! On jest śmiertelnie chory!

- Wolnego, mały człowieczku - powiedziała wiedźma, patrząc z uśmiechem na zaaferowanego krasnała. - Usiądź i wyrównaj oddech, a potem wszystko mi opowiesz.

- Kiedy nie mogę - denerwował się krasnal, tupiąc swymi krzep-kimi nóżkami. - On umiera! Nie chce jeść, nie chce pić, tylko siedzi i duma!

Bajbise posadziła rozgorączkowanego człowieczka na wysokim stołku, sama zaś usiadła na ziemi i spojrzała gościowi w oczy.

- Chodzi o smoka Zenobiusza, prawda ?

- Tak, tak! - zawołał krasnal i nerwowo zamachał nóżkami w powietrzu. - Tylko ty możesz mu pomóc. Pomożesz mu, prawda? Pomożesz ? To mój przyjaciel...

- Pomogę, pomogę - powiedziała Bajbise. Wstała i postawiła krasnała na ziemi. - Tylko zdejmę z ognia mój wywar i ruszamy w drogę, bo widzę, że to sprawa nie cierpiąca zwłoki. Po drodze opowiesz mi wszystko!

Bajbise z uśmiechem patrzyła na rozjaśniające się radością, rumiane i pyzate oblicze Sabały. W chwilę później oboje przedzierali się już przez wysokie trawy, porastające Zieloną Łąkę. Trudno było dostrzec w ich gąszczu małego Sabałę, Bajbise ledwie za nim nadążała i kilka razy o mało zupełnie nie straciła go z oczu. Krasnal bowiem brnął przez trawy prosto przed siebie, nie oglądając się na staruchę. W tym szaleńczym pędzie wkrótce dotarli do celu. Smocza Polana skąpana była w słońcu i mieniła się tysiącem kwiatów. Na jej skraju Bajbise od razu zauważyła pękata, zieloną postać smoka Zenobiusza.

Zenobiusz siedział zgarbiony na jakimś głazie, a smutnie wykrzywiony smoczy pysk wsparł w geście beznadziejnej rozpacz na jednej z przednich łap.

- O! - zawołał Sabała, pokazując na przyjaciela. - Tak właśnie cały czas siedzi. Siedzi i płacze... I nie chce ani jeść, ani pić.

Krasnoludek smutno westchnął i spojrzał głęboko w oczy Bajbise:

- On nie umrze, prawda ? Wyleczysz go ?...

Bajbise przygryzła wargi, aby się nie roześmiać; kucnęła, spojrzała poważnie na zmartwionego krasnała i rzekła:

- Zrobię co w mojej mocy, ale muszę najpierw porozmawiać z chorym.

- Tak, tak! - zawołał Sabała. - Chodźmy! - i pędem pobiegł w stronę Zenobiusza. Bajbise uśmiechnęła się i swym chodem kulawej kaczki pokuśtykała również w tę samą stronę.

- Zenobiuszu! - zawołał radośnie żywiołowy krasnal. - Przypro-wadziłem Bajbise! Ona ci na pewno pomoże! Będziesz mógł znowu jeść i śmiać się, zobaczysz!!

Zenobiusz zwrócił ku nim swe bezgranicznie smutne i zapłakane oczy.

- Witaj, Bajbise - powiedział głosem pełnym bólesci i smutku. - Ale na próżno się fatygowałam. Nie ma już dla mnie ratunku. Me serce płonie, ma dusza krwawi. Ach, ja jestem nieszczęśliwy! - to mówiąc, Zenobiusz wtulił głowę w kolana, zakrył ją przednimi łapami i gorzko zaszlochał.

- Tak jest zawsze - powiedział Sabała.

- To rzeczywiście bardzo trudny przypadek! - rzekła Bajbise.

- To znaczy, że nie potrafisz mu pomóc ? - przeraził się krasnal.

- Nie to miałam na myśli - odpowiedziała wiedźma, po czym położyła swą chudą rękę na zielonym karku smoka i zapytała: - Kim ona jest ?

Smok podniósł głowę i spojrzał na nią wielkimi, zdziwionymi i mokrymi od łez ślepiami.

- Widzę, co cię gryzie - odpowiedziała na jego pytający wzrok starucha. - Cóż, przecież smoki też mogą się zakochać. Powiedz mi, kim ona jest. Po prostu opowiedz mi wszystko, jak było; wy-rzuć to z siebie, a będzie ci znacznie lżej, zobaczysz. Przecież mo-żesz mi zaufać...

Smok spojrzał na nią cieleco i głupkowato, po czym urywanym głosem, przelękając łzy, zaczął opowiadać:

- Codziennie chodzę nad Trzciny Staw. Kąpie się tam z rana taka piękna rusałka, och, jakże ona jest piękna! Nie kąpie się sama, ale ona jest najpiękniejsza...

- Podglądasz ją ? - zapytała Bajbise. - To bardzo nieładnie.

- Wiem - powiedział smok i zwiesił głowę. Łuski na jego ciele zaczerwieniły się. - Ale ona jest tak piękna... „Biedny głupiec”- pomyślała Bajbise. - „I w dodatku czerwieni się ze wstydu równie intensywnie jak w dzieciństwie. Nic się nie zmienia!”- Głośno zaś rzekła:

- Opowiadaj dalej. W końcu czegoś się nie robi z miłości!

- A więc patrzyłem na nią i czasami cały dzień leżałem ukryty w trzcinach, w wodzie, czekając na jej przyjście. Ale widać musiałem się przeziębic, czekając tak na nią w tych wodnych zaroślach. Bo pewnego razu, gdy się pojawiła, nie mogłem się powstrzymać i kichnąłem. Woda wzburzyła się i wylała mi się do nosa; musiałem podnieść się! A ona, przerażona hukiem mojego kichnięcia, a potem moim widokiem, z krzykiem wraz ze swymi towarzyszkami uciekła! I nie wróciła już więcej! A przecież chciałem tylko móc na nią patrzeć i sycić oczy swe jej urodą. Niczego więcej nie ośmieliłbym się pragnąć. Ale ona nie wraca. Czekałem i czekałem, ale na próżno - tu smok znów rozplakał się. - Kocham ją!! - wykrzyknął rozpaczliwie, krztusząc się łzami.

- Beznadziejny przypadek - rzekła Bajbise. Sabała spojrzła na nią przerażonymi oczami.

- Jedyne, co mi po niej zostało, to ten naszyjnik, który zgubiła w czasie swej szalonej ucieczki - zaszlochał smok, poprzez łzy z trudem dostrzegając piękny i bogato zdobiony klejnot, który dotąd przyciskał do serca, a który teraz trzymał w wyciągniętej łapie, aby mogła go zobaczyć Bajbise.

- Pokaż mi go na moment - zawołała wiedźma, wyciągając swe starcze, wychudłe dłonie.

Naszyjnik zaśnił w słońcu bogactwem barw; Bajbise chciwie pożerała go wzrokiem, a zły uśmiech przez moment zamajaczył na jej uwiędłej twarzy. Zenobiusz patrzył apatycznie w ziemię, ale jedynej pozostałości po swej ukochanej przezornie nie wypuszczał z łapy.

- Czy wiesz, smoku Zenobiuszu, żeś nastraszył w kąpielu dumną i piękną królową rusałek, Aureolię II? - zapytała Bajbise.

- Skąd wiesz ? - zapytał smok.

- Poznaje po naszyjniku, głupcze! Ta błyskotka, którą trzymasz w łapie, to pamiątka po jej nieboszczce matce. Zrozpaczona Aureolia szuka teraz wszędzie tego klejnotu! - rzekła wiedźma i spojrzła zwięzonymi złośliwie oczkami na Zenobiusza. - I pewnie nie wiesz, biedaku, że twa ukochana temu, kto odnajdzie i dostarczy jej ten właśnie naszyjnik, obiecała swą rękę i połowę królestwa!

- Ach! - wykrzyknął rozpromieniony smok, lecz za chwilę znów zapłakał. - O ja nieszczęsny! Nastraszyłem ją!! Ona z pewnością nie będzie chciała mnie widzieć! A nawet jeśli mnie nie pozna, to czyż tak piękna rusałka jak ona zechce poślubić tak brzydkiego smoka jak ja!! To niemożliwe! Jestem zgubiony i bardzo, bardzo nieszczęśliwy! Chyba ze sobą skończę!!

Bajbise spojrzła znacząco na Sabałę.

- Co za mazgaj! - rzekła głośno.

- Nie jestem mazgajem! - krzyknął poprzez łzy Zenobiusz. - Tylko nieszczęśliwym i zrozpaczonym smokiem!! Przecież nikt nie może pokochać takiego brzydkiego smoka jak ja! Nie mogę unieszczęśliwiać Aureolii tylko dlatego, że wyrzekła lekkomyślnie jedno niebaczne słowo!

- Przystań roztkliwiać się nad sobą! - powiedziała twardo Bajbise. - A jutro, skoro świt, powędrujesz do pałacu, już ja tego dopilnuję! I będziecie oboje żyć długo i szczęśliwie!

- To niemożliwe!! - zawołał rozpaczliwie smok i zwałił się z ło-skotem na ziemię. Leżał teraz na trawie, płacząc i okładając bogu ducha winną Matkę-Ziemię wszystkimi czterema kończynami. - Ona mnie zniechędziła! Jakże jestem nieszczęśliwy! Nikt nie może mnie przecież pokochać. Jestem taki brzydki...

- Rozmawiaj tu z idiotą! - rzekła Bajbise, krzywiąc się z dezaprobatą. - Generalnie to jesteś w sumie całkiem przystojny! Każda powinna być dumna z takiego męża jak ty. Ja byłabym z pewnością! - Bajbise skrzywiła się ponownie i spojrzła badawczo na Zenobiusza.

- Naprawdę ? - zapytał cicho smok, nie podnosząc głowy, ale przestając wierzgać łapami i ogonem.

- Ależ oczywiście! - zawołała Bajbise obłudnie. - Niestety, nie ja jestem tą szczęściarą i nie mnie oddałeś swe serce... Powiem ci coś, mój mały - Bajbise po matczynemu nachyliła się nad zrozpaczonym potworem. - Jestem powiernicą Aureolii. Otóż powiedziała mi ona w tajemnicy, że marzy o czymś dużym i silnym. A ty przecież spełniasz całkowicie oba te warunki, nawet z nadwyżką! - tu Bajbise zrobiła znaczącą pauzę, cały czas kątem oka bacznie obserwując Zenobiusza, po czym dodała: - Masz więc wszelkie predyspozycje, aby zdobyć jej serce. Wierz mi!

Smok zerwał się gwałtownie z ziemi.

- A więc idę! - zawołał radośnie. - Tchnęłaś we mnie ożywczego ducha nadziei! O tak, pójdę jutro! Nawet jeśli nie masz racji, to przecież muszę się o tym przekonać! Muszę to sprawdzić! Ach, cały płonę! - wykrzyknął Zenobiusz i z niespotykaną u smoków lekkością wbiegł do swej pieczary, niknąc w jej czeluściach.

- Ozdrowiał!! - zawołał Sabała. - Jesteś cudotwórczynią, Bajbise!

- To dopiero początek, mój mały - odpowiedziała sympatyczna wiedźma i uśmiechnęła się skromnie.

Aureolia była niewątpliwie najpiękniejszą żeńską istotą, jaka kiedykolwiek stąpała po Krainie Elfów. Była to smukła i wysoka panna o lekkich, pełnych wdzięku ruchach oraz o tak rzadko spotykanych u rusałek, pięknych, piwnych oczach. Aureolia była po prostu czystym uosobieniem piękna.

Jako królowa rusałek i jedyna córka króla elfów - Elfeusza I wiodła szczęśliwy i radosny żywot w Kryształowym Pałacu swego ojca. Rankiem kąpała się ze swymi towarzyszkami w Trzciniowym Stawie, potem płaśała radośnie po ukwieconych łąkach Krainy Elfów, spletała wieńce z kwiatów, bawiła się z motylami, a gdy się jej to znudziło, wracała do pałacu, gdzie do późnego wieczora grała na harfie. Często też przychodziła nad Błękitne Źródło. Było to jej ulubione miejsce. Siadała na jego brzegu i podziwiała idealnie gładką taflę wody, która była rzeczywiście błękitna.

Ojciec nie nudził Aureolii umoralniającymi kazaniami, gdyż rzadko bywał w Pałacu. Jako król Krainy Elfów uważał za swój obowiązek podróżowanie po wszystkich zakątkach swego królestwa. Przywoził zawsze z tych bardzo częstych podróży jakiś piękny, drogocenny klejnot, który natychmiast po przyjeździe umieszczał w swym skarbcu. Każdy powrót króla z podróży był wielkim świętem dla mieszkańców Kryształowego Pałacu. Król organizował wtedy zawsze huczny bal na swoją cześć. Główną jego ozdobą była oczywiście piękna córka Elfeusza - Aureolia. Rusałka nie narzekała więc na brak rozrywek. Jej życie było jednym pasmem szczęścia i radości. Gdy jednak czasem zdarzyło się, że jakaś drobna troska zakłóciła ten pogodny błogostan i Aureolia popadała w cichą zadumę lub melancholię, dwie wierne i oddane jej towarzyski - Elordoria i Zenermalaudia - wnet rozpraszały smutek i niewesoły nastrój swej królowej. Czyż więc zły humor Aureolii mógł trwać długo? W pobliżu też zawsze była stara, ale kochana Bajbise, która zastępowała rusałce matkę, nianię i najserdeczniejszą przyjaciółkę-powiernicę; taką, której można zwierzyć się ze wszystkich swoich najskrytszych sekretów i tajemnic. Wreszcie w Pałacu mieszkał również piękny i urodziwy Eduardo - tajemniczy przybysz znikąd, a zarazem narzeczony Aureolii. Z nim to spędzała rusałka najpiękniejsze chwile swego życia. A najszcześniejszymi były zaś te, gdy o nim myślała. Mieli się wkrótce pobrać i wszystko to napępiało Aureolię jeszcze większym szczęściem i radością...

I nagle, zupełnie nieoczekiwanie, przydarzył się ten niefortunny epizod nad Trzciniowym Stawem, epizod, który okazał się tak brzemiennym w skutkach! Ktoś lub coś śmiertelnie przstraszyło Aureolię i jej przyjaciółki. Pół żywe ze strachu i pół nagie wybiegły na brzeg i, nie oglądając się za siebie, uciekły z tego okropnego miejsca. Było to tak straszne, że żadna z nich już nigdy więcej nie odważyła się wrócić nad Trzciniowy Staw i obiecały sobie, że nigdy tam więcej nie pójdą. Ale najgorsze, że w czasie tej szaleńczej ucieczki Aureolia zgubiła swój piękny, drogocenny naszyjnik - prezent od ojca i jedyną pamiątkę po ukochanej matce. Aureolia wiedziała, że ojciec będzie bardzo zły, jeśli się dowie, że zgubiła ten rodowy klejnot, a Elfeusz był straszny, gdy wpadał w gniew, straszniejszy nawet niż to coś nad Trzciniowym Stawem!! Dlatego zrozpaczona Aureolia postanowiła oddać połowę królestwa i swą rękę temu, kto wybawi ją z kłopotu i uchroni przed strasliwym gniewem ojca. Niestety pech prześladował nieszczęsną rusałkę. Tym, kto znalazł i dostarczył do Pałacu ów bezcenny klejnot, był przerażający i straszny smok, który w dodatku był na tyle bezczelny, że domagał się dotrzymania danego przez rusałkę słowa. Udało się go jednak nakłonić, aby po odpowiedź przyszedł w Dzień Wonnej Konwalii; dawało to wprawdzie trochę czasu do namysłu, ale nie zwalniało z podjęcia ostatecznej decyzji.

- Żeby nie był taki brzydki - powiedziała Aureolia. - Ale on jest taki paskudny.

Bajbise czesała długie, gęste włosy rusałki diamentowym grze-bykiem.

- Bycie królową to nie tylko przyjemności - powiedziała wiedźma, ale i obowiązki, pamiętaj o tym, pani.

- Pamiętam, pamiętam - zniecierpliwiła się Aureolia i gwałtownie podniosła odchyloną do tyłu głowę. - Au! Bajbise znieruchomiła.

- Widzisz przecież, jak bardzo jestem nieszczęśliwa! - zawołała Aureolia z wyrzutem. - A ty jeszcze wyrwywasz mi włosy!

- Wybacz mi, pani - rzekła wiedźma - ale to dlatego, że wierzysz się, pani, dziś okropnie i nie zawsze mogę przewidzieć twe ruchy.

- Przestań mnie już czesać - powiedziała Aureolia ze złością i gwałtownie wstała. - Cały świat wali się na moją głowę i rozpada w gruzy. Przecież widzisz, jak bardzo jestem zrozpaczona! A ty potrafisz mnie tylko czesać i powtarzać w kółko: „Bycie królową to i obowiązki, a nie tylko przyjemności”.

- Przede wszystkim obowiązki, pani - rzekła Bajbise i spojrzała złośliwie na rusałkę.

- Głupoty gadasz, jak zwykle zresztą - zawołała Aureolia, odrzucając włosy do tyłu i nerwowo przemierzając swą komnatę w tą i z powrotem. - A zresztą założmy, że wyjdę za tego obleśnego smoka! I co wtedy? Co dalej? Myślmy racjonalnie! Jakich będziemy mieli potomków?! Jakieś smokorusałki!! Okropność, aż strach pomyśleć! Zresztą na samą myśl o tym, że on miałby się zbliżyć do mnie, wzbiera we mnie obrzydzenie!

- Ale słowo królowej rusałek jest świętością, pani - odrzekła Baj-bise. - Nie wolno go rzucać ot tak sobie, na wiatr. Zakazuje tego honor królewski!

- Tak! Obowiązek, honor królewski, świętość! - wyliczyła rusałka. - Ale co JA mam robić!! Poradz mi coś!
 - Nie wiem, pani - odrzekła wiedźma.
 - Ty nigdy nic nie wiesz! - rozzłościła się Aureolia. - Drażnisz mnie, Bajbise! Idź już!
 Bajbise potulnie pokuśtykała ku drzwiom.
 - Bajbise! - zawołała rusałka.
 - Słucham cię, pani - rzekła wiedźma, odwracając się.
 - Na stoliku przy drzwiach leżą te kolczyki z zielonego kryształu, które tak ci się podobały. Weź je sobie, jeśli chcesz!
 - Dziękuję, pani - powiedziała wiedźma ze złośliwym błyskiem w oczach. - Bardzoś dziś łaskawa!
 „A tyś głupia jak but!” - pomyślała ze złością Aureolia, ale głośno nie powiedziała nic.
 Bajbise zarechotała cicho i wyszła. Aureolia została sama.
 - Jak zwykle wszystko jest na mojej głowie! - szepnęła wściekle, po czym wyprostowała się dumnie. - O tak! Jestem królową! A być królową znaczy coś więcej niż być rusałką. - Aureolia przemierzyła jeszcze raz swoją komnatę i zatrzymała się przy oknie. - Obowiązek przede wszystkim!! - zawołała butnie i rozejrzała się niepewnie dookoła. Ale wokół było pusto i cicho. Aureolia ze wściekłością, ciężko zwała się na łóżko. Siedziała tak chwilę naburmuszona, po czym z bezsilnej złości cisnęła poduszką w przeciwną ścianę.

* * *

Było popołudnie. Aureolię wciąż dręczyły niewesołe myśli. O ileż byłoby wszystko prostsze, gdyby była zwykłą rusałką, byłaby wolna i niczym nieskrępowana. Ale los pragnął inaczej. Aureolia była królową rusałek, a to komplikowało wszystko.

Z kręgu tych ponurych rozmyślań wyrwało ją wejście Eduarda. Wszedł, jak zwykle, bez pukania. Zielone, wściekle iskry w jego oczach powiedziały jej, że jest zły.

- Czyś ty oszalała! Jak mogło zrodzić się w twojej głowie to kretyńskie postanowienie! Toż to ja miałem zostać twoim mężem! - zagrział Eduardo, a gniewne spojrzenie jego wąskich oczu zaparło jej dech w piersiach. Przerazona Aureolia przywarła do ściany.

- Jak mogłaś! - powtórzył już łagodniej Eduardo.

- Ach przebac - szepnęła Aureolia. - Przebac, ale to rodowy klejnot, nie miałam wyboru... Musiałam go odzyskać za każdą cenę...

Rusałka z rozkoszą zatrzymała wzrok na pociągłej, smagłej twarzy narzeczonego, był taki przystojny. Przyjemność, jaką odczuwała, spoglądając na jego wysoką, barczystą postać, uświadomiła jej, jak bardzo jest nieszczęśliwa, skoro musi zrezygnować z tego pięknego mężczyzny dla rodowej błyskotki. W tej minucie w duszy rusałki obowiązek stał się brutalnie z jakże ludzkim pragnieniem szczęścia u boku ukochanego człowieka. Aureolia przygryzła wargi.

„Odrzuciła szczęście osobiste w imię szczęścia swego narodu i państwa” - pomyślała rusałka. - „Tata byłby ze mnie dumny”.

Dwie duże łzy spłynęły po bladych policzkach Aureolii, były to gorące łzy bólu i cierpienia, łzy tłumionej namiętności, nad którą zatriumfowała królewska krew, płynąca w żyłach rusałki. Królowa zwyciężyła kobietę.

- Nie mogę cofnąć raz danego, królewskiego słowa - powiedziała cicho i łagodnie Aureolia poprzez łzy, z tkliwą czułością patrząc na Eduarda. - Kocham cię, mój najmilszy, bardziej niż życie, ale jestem królową rusałek. Wiedziałaś przecież o tym. Moje osobiste pragnienia nie znaczą nic wobec dobra królestwa, które musi być dla mnie wartością nadrzędną. Nie zapomnę ani jednej chwili spędzonej z tobą, na całe życie zachowam wspomnienie naszych nocy w ogrodzie, gdzie wśród ciemnych i chłodnych liści, pod osłoną rozgwieżdżonego nieba zaznałam dzięki tobie wszelkich słodczych rozkoszy... Ale los zdrwił z nas, najśłodszy! Nie sążone nam widać szczęście i musimy się rozstać.

- Jak to rozstać! - wybuchnął Eduardo; chwycił rusałkę za ramiona i gwałtownie, kilka razy wstrząsnął swą ukochaną. Aureolia patrzyła w twarz narzeczonego pełnym zachwytem i współczucia wzrokiem. Ona także cierpiała.

- Nie wiesz, najdroższy - szepnęła ledwie dosłyszalnie, a w jej oczach znów błysnęły łzy - jak bolesną jest dla mnie ta decyzja. Również i dla mnie nie jest to łatwe...

Eduardo puścił rusałkę, odgarnął włosy z twarzy jakimś desperackim ruchem, odwrócił się i podszedł do okna. Nieubłagane fa-tum, które zawisło nad ich szczęściem i zmuszało ich do rozłąki, było zbyt okrutne, aby biernie mu się poddać. Eduardo stał ciężko oparty o parapet, a Aureolia czuła rodzący się w jej duszy bunt przeciw tak bezlitosnym wyrokom opatrności.

- Nie pozwolę na to! - krzyknął nagle Eduardo, z całej siły uderzając pięścią w okienny parapet. Oczy Aureolii zabłyśły, Eduardo wyprostował się. Jakże był piękny w bezwzględności i nieodwołalności decyzji, którą podjął...

- Zbyt długo - zagrział stanowczo i donośnie baryton Eduarda - zbyt długo znosiłem twego głupawego ojca i twoje humory, aby teraz jeden twój idiotyczny, bezmyślny kaprys zniweczył wszystkie moje plany! Nie pozwolę na to!! Słyszysz!

- Co!?! - krzyknęła Aureolia zdumiona. - Więc chodziło ci tylko o tron i bogactwa mego ojca!! Nigdy mnie nie kochałeś!

- Spokojnie! - rzekł zimno Eduardo. - Starczy na dziś twoich teatralnych uniesień i tanich, udramatyzowanych scen! Zostaw coś sobie na jutro!

- Ty podły draniu! - wrzasnęła rozwścieczona rusalka.

- Puszczam ten epitet mimo uszu - odpowiedział Eduardo. - A jutro ty cofniesz swe słowo dane smokowi! I będzie jak dawniej!

- Nie będziesz mi mówił, co mam robić! - zawołała Aureolia i wyzywającym ruchem odrzuciła na plecy sploty swych długich, rozpuszczonych włosów. - Ty nędzny karierowiczu! Ty podła szumowino! Oczywiście, że nie cofnę swojego słowa! Teraz już na pewno nie! Po moim trupie!

- Przecież nie wyjdiesz chyba za tego obłęsnego gada? - powie-dział Eduardo z niedowierzaniem.

- Co za różnica co za gad będzie moim mężem! - krzyknęła Aureolia zapalczywie.

Potężne uderzenie w twarz zważyło ją na kryształową posadzkę komnaty. Aureolia chwyciła się za obolały policzek.

- Odszczekasz te słowa! - powiedział Eduardo. - Jeszcze skomląc przychołgasz się do mnie, to tylko kwestia czasu!

To mówiąc, obrócił się na pięcie i wyszedł z komnaty stanowczym, sprężystym krokiem.

* * *

Właściwie nikt nie wiedział kim był i skąd pochodził Eduardo. Może był elfem, może duchem leśnym, a może wędrownym cyganem, błędzącym po krętych ścieżkach w poszukiwaniu swojego miejsca w życiu. Kim był tak naprawdę, nie wiedział nikt i mało kogo właściwie to interesowało. Po prostu zjawił się pewnego dnia nie wiadomo skąd i wkroczył pewnie i dumnie w życie Kryształowego Pałacu, nikogo nie pytając o zgodę. Odziany był w krwistoczerwoną koszulę, rozchełstaną na szerokiej, atletycznej piersi, w granatowe, obcisłe spodnie i wysokie, czarne buty z cholewami - butów takich nikt dotąd nie nosił w Krainie Elfów.

Był to młodzieniec wysoki, barczysty, o cygańskim typie urody. Długie, czarne, kręcone włosy opadały mu swobodnie na szerokie ramiona i ocieniały jego pociągłą, chmurną twarz. Ostry, orli nos oraz wąskie, przenikliwie patrzące oczy dodawały drapieżności jego smągłemu obliczu. Ta mroczna i niepokojąca uroda jakże odróżniała Eduarda od szczupłych, bladych elfów o jasnych włosach i dużych, smutnych oczach, błękitnych jak letnie niebo. Jak-że różnił się również od obłych, brzuchatych satyrów, uganających się w południe po łąkach za rusalkami i straszących je zdechłymi żabami i myszami. Eduardo był zupełnie inny i zawrócił swą urodą w głowie niejednej mieszkance słonecznej i radosnej Krainy Elfów. Niejedna rusalka na widok Eduarda czuła, jak szybciej bije jej serce i prędzej pulsuje krew w żyłach. Ale przede wszystkim zakochała się w nim Aureolia, i to zakochała się od pierwszego wejrzenia. Eduardo zauroczył ją niepokojącym spojrzeniem swych zielonych, wąskich oczu i zniewolił pierwotną, atawistyczną siłą, która z niego emanowała. Nigdy zaś i absolutnie niczym nie zachwiana pewność siebie młodzieńca, jego całkowity brak szacunku dla dworskiej etykiety oraz imponująca siła jego stalowych mięśni zjednały mu sympatię króla Elfeusza, który dojrzał w nim uosobienie wszystkich cech wymarzonego i upragnionego od dawna syna. Nie namyślając się też długo, Elfeusz postanowił wydać za Eduarda swą jedyną, piękną córkę Aureolię. Było to jednoznaczne z przejęciem tronu i korony po sędziwym już królu. Teraz jednak wszystko się komplikowało. Korona niebezpiecznie oddalała się, a bolało to tym bardziej, że była już tak blisko...

Eduardo stał na tarasie, niedbale wsparty o kunsztownie rzeźbioną balustradę. Jego oczy płonęły niedobrym blaskiem i wściekle wpiły się w szybko ciemniejące, wieczorne niebo. Bajbise siedziała mu u stóp, podziwiając go w milczeniu. Nie śmiała przerywać jego zadumy. Wreszcie Eduardo przypomniał sobie o niej i zwrócił swe piękne, chmurne oblicze ku starej wiedźmie:

- Jeśli ta wariatka postawi na swoim i wyjdzie za mąż za tę zieloną poczwarę, koniec z moją koronacją na króla elfów.

- Nie martwiłabym się tak tym na twoim miejscu - rzekła cicho i nieśmiało Bajbise. - Nawet jeśli ta kapryśnica wyjdzie za smoka, jestem pewna, że Elfeusz nie zaakceptuje takiego zięcia. Słyszałeś kiedyś, żeby smok był królem elfów? Elfeusz wypędzi z pałacu poczwarnego oblubieńca wraz z niesforemą i kapryśną córeczką. Ale gdy zabraknie Aureolii, któż będzie wtedy królową rusalek? Przecież ktoś nią być musi... - starucha zrobiła rozpaczliwie bez-radną minę, po czym zaśmiała się skrzekliwie. - Cha! Cha! Cha! Otóż ja nią będę!! Ten stary głupiec szaleje za mną! Chce się ze mną żenić! Cha! Cha! Zresztą czy znasz godniejszą głowę niż moja, na której mogłaby spocząć korona królowej rusalek, gdy za-braknie Aureolii?! Cha! Cha!

Eduardo zmarszczył się z niezadowoleniem i znów odwrócił się ku niebu. Było już ciemnogrnatowe. Na zachodzie krwawa luna nad horyzontem wolno zmniejszała się i bladła.

Bajbise zauważyła niezadowolenie na twarzy młodzieńca:

- A jak myślisz, kogo wybiorę sobie na męża ? Sądzisz, że pójdę za tego starego dziada ? Cha! Cha! Cha! Eduardo spojrział na nią pytająco. Bajbise wstała powoli i popatrzyła mu w oczy z czułym uwielbieniem.

- Jak myślisz, głuptasku ?

Oczy Bajbise płonęły namiętnością, a starcze, zeschłe wargi roz-chyliły się lubieżnie. Ale niedomyślny młodzieniec nie złożył na nich pocałunku, patrzył z obrzydzeniem na wychudzone, uwiędłe ciało staruchy, na jej poprzecinaną zmarszczkami, trupio bladą twarz.

- Wszak kocham ciebie, a ty mnie - czule zachrypiała Bajbise. Eduardo skrzywił się z niesmakiem, czując jej smrodliwy oddech na swej twarzy.

- Tak, kocham ciebie - rzekł powoli, ze wstrętem wyrzucając każde słowo. Ale to wystarczyło Bajbise, jej zwiędłą twarz ożywiło tchnienie nadziei, a wyraz błogiej rozkoszy rozjaśnił jej rysy. Skurczone, zmarszczone oblicze wiedźmy rozprostowało się:

- Jak będę królową, uczynię cię moim królem. Będziesz moim ubóstwianym króluniem, a ja twoją królową.

- Ale nie jesteś królową - powiedział twardo urodziwy młodzian.

- J e s z c e nie, ale pracuję nad tym - roześmiała się wiedźma. - Przede wszystkim trzeba się pozbyć Aureolii. Potem załatwi się tego starego grzyba, jej ojca, a wtedy... wtedy będziemy już zawsze razem, na wieki!

- Rób co chcesz, wiedźmo - rzekł Eduardo. - Tylko daj mi koronę, a będę cię wielbił po wsze czasy - to mówiąc, wyszedł swym pewnym, lekkim krokiem i zniknął we wnętrzu Kryształowego Pałacu. Bajbise została na tarasie sama.

- Będziesz miał koronę, najmilszy - szepnęła cicho. - Bajbise cię nie zawiedzie...

Na niebie pojawił się ogromny, okrągły księżyc. Zablysły pierwsze gwiazdy...

* * *

W Dzień Wonnej Konwalii Zenobiusz lśniący i pachnący czystością człapał dostojnie piaszczystą drogą, wiodącą przez zielone, ukwiecone wzgórza. W powietrzu fruwało mnóstwo różnokolorowych motyli. Rozświetlony słońcem Kryształowy Pałac widoczny był z daleka. Chłodny blask jego murów i wieżyczek przyciągał wzrok Zenobiusza. Serce smoka biło szybko i coraz mocniej. Im bliżej Zenobiusz znajdował się Kryształowego Pałacu, tym wyraźniej czuł dziwny ucisk w gardle. Mimo to Zenobiusz człapał dzielnie, prąc wciąż naprzód. Kryształowy Pałac rósł w oczach, a droga wiała się tysiącem serpentyn. Miliony wątpliwości kotłowało się w głowie smoka, ale za późno już było, aby się wycofać. Gdy nad ranem, zaraz o wschodzie słońca, krasnal Sabała odwiedził swoje-go przyjaciela, zastał go wcisniętego w najgłębszy kąt pieczary. Smok leżał z poduszką na głowie i, tupiąc tylnymi kończynami, rozpaczliwie krzyczał, że nigdzie nie pójdzie. Na próżno Sabała wyciągał go z jamy za ogon, cóż znaczyły wątłe siły krasnala wobec oporu cielska smoka. I Sabała nic by nie poradził na upór przyjaciela, gdyby nie jedna, drobna okoliczność: trzęsący się ze strachu Zenobiusz bardzo chciał zobaczyć jeszcze choć jeden raz piękną królową rusałek. Całą noc dokładnie czyścił swe smocze, zielone ciało, dokładnie wypolerował każdą łuskę i ponad godzinę moczył się w naparze kwiatu aleonii, aby ładnie pachnieć. I mimo gryzącego niepokoju, mimo nieprzychylnych znaków na niebie i ziemi (nocą słyszał pięciokrotne wołanie puchacza, a to wróżyło niepomysłność w realizacji jego zamierzeń), a także pomimo złych przeczuć wiedział, że i tak pójdzie na wyznaczone mu przez Aureolię spotkanie. To było coś silniejszego niż on sam i nie mógł się temu przeciwstawić. Zresztą teraz, gdy był już pod samym Pałacem, wycofanie się byłoby zwyczajnym tchórzostwem.

Bładozielony z niepewności Zenobiusz nieśmiało wkroczył więc do Kryształowego Pałacu. Pazury dzwoniły głośno po gładkiej powierzchni kryształowej posadzki, a ogon majtał się nieporadnie tam gdzieś z tyłu. Smok rozglądał się niepewnie wokół, swymi żółtymi ślepiami. Wspaniałość wystroju wnętrza pałacu i chłodne, kryształowe piękno budowli onieśmiały Zenobiusza jeszcze bardziej. Dookoła niego biegali przerażeni i dezorientowani miesz-kańcy zamku... Nie pamiętał w jaki sposób trafił do sali tronowej, pamiętał jedynie, że nagle znalazł się po środku ogromnej komnaty, sam jeden; dookoła, pod ścianami, w bezpiecznej odległości trwożliwie tłoczyły się elfy, rusałki i satyry, patrzące na niego z przerażeniem i wstrętem. Trwało to minutę, a może godzinę, gdy wreszcie na podwyższeniu, na którym stały dwa trony, pojawiła się J E J smukła postać. Wyglądała precudnie, odziana w zwiewną, jaskrawozieloną szatę, z włosami upiętymi wysoko i z lśniącym w nich pięknym diademem. Jej dumne i wyniosłe oblicze było blade niż zwykle, ale i bardziej dostojne.

Gdy pojawiła się, dla Zenobiusza zniknęło wszystko. Nie istniała już ani sala tronowa, ani otaczający smoka wokoło nieprzychylni mu poddani Aureolii. Był tylko on - smok Zenobiusz i ona - wy-niosła, piękna królowa rusałek...

* * *

Aureolia nie spała całą noc. Gdy przerażona Zenermalaudia wbiegła do jej komnaty, krzyżąc, że potwór przybył i czeka w sali tronowej, Aureolia poczuła zimny dreszcz, który przeszedł wzdłuż całego jej ciała, ale i dziwną ulgę. Nie mogła już ani minuty dłużej czekać na tę chwilę. Teraz wreszcie będzie miała to za sobą. Dumnie i z wysoko podniesioną głową weszła do sali tronowej. Ohydna bestia stała już po środku komnaty, lśniąc zielenią swych łusek. Aureolia zauważyła błysk żółtych ślepiów potwora. Niczym dwa oślepiające reflektory zwróciły się one od razu ku rusałce, gdy tylko pojawiła się ona na sali.

Aureolia opanowała się szybko i, dziwiąc się stanowczości swego głosu, rzekła oschle:

- A więc przybyłeś, potworze!

Spojrzała prosto w żółte, wycelowane w nią ślepia.

- Wiedz, że jestem wdzięczna ci niezmiernie za to, iż zechciałeś pofatygować się, aby zwrócić mi naszyjnik. Pomimo jednak całej mej wdzięczności, po długich całonocnych namysłach postanowiłam prosić cię, bestio, abys zwolniła mnie z danego ci słowa, które wyrzekłam niebacznie, nieświadoma jego konsekwencji. Powiedz czego chcesz w zamian...

- Więc cofasz swe słowo, pani!! - zachrypiął okropnie potwór.

- Tak... - rzekła Aureolia mniej już pewnie i znacznie mniej stanowczo. - Mów czego żądasz w zamian, a dostaniesz wszystko. Ale zwróć mi moje słowo. To chyba uczciwa propozycja...!

Potwór w jakimś szaleńczym geście schwyił się za głowę. Żółte ślepia rozwarły mu się szeroko i błysnęły dziko. Łuski na jego ciele z zielonych zrobiły się nagle czerwone, tak że cały smok od stóp do głowy zapłonął ognistą, wściekłą czerwienią. Aureolia patrzyła na niego z przerażeniem. Zenobiusz zaryczał straszliwie, zazgrzytał zębami i, robiąc gwałtowny zwrot w tył, z szybkością błyskawicy wybiegł z sali.

Zapanowała śmiertelna cisza.

Oczy wszystkich zwróciły się ku Aureolii, która blada, lecz dumnie wyprostowana, stała na podwyższeniu tronowym, nie bardzo rozumiejąc, co się właściwie stało. Bajbise podeszła do niej i błyszczącymi złośliwie oczami wczepiła się w piękne oblicze królowej.

- Cóżś uczyniła, pani! - rzekła wiedźma na tyle głośno, aby wszyscy mogli ją usłyszeć. - Ta bestia zemści się teraz okrutnie za doznaną tu dzisiaj zniewagę! Wszyscy jesteśmy teraz zgubieni, pani!!

Aureolia spojrzała na nią nieprzytomnie, ciemne pląty wirowały jej przed oczami, komnata również jakoś chwiała się w posadach, a dziwny szum w głowie tłumił wszelkie odgłosy z zewnątrz. Nie rozumiała więc tego, co powiedziała Bajbise. Błędnym wzrokiem powiodła po twarzach otaczających ją poddanych, po czym, nic nie mówiąc, odwróciła się i lekko chwiejnym krokiem wyszła z sali.

Szła bardzo długo, korytarz ciągnął się w nieskończoność, a myśli tańczyły w jakimś zwariowanym chaosie. Aureolia miała jednak dziwne uczucie, że postąpiła słusznie.

- Ależ oczywiście, że tak! - usłyszała głos w swej głowie.

Szaleńczy korowód myśli powoli się uspokajał. Korytarz również jakby miał się ku końcowi...

„Jestem przecież i tak wystarczająco nieszczęśliwa przez tego nędznika Eduarda!!! Nie muszę się więc jeszcze dodatkowo unieszczęśliwiać poprzez małżeństwo z jakimś szkaradnym po-tworem!!!” - pomyślała Aureolia i od razu poczuła się lepiej.

* * *

Elordoria i Zenermalaudia zabawiały się pleceniem wianków. Siedziały na ogromnym głazie u podnóża wodospadu, który z hu-kim przewalał się za ich plecami.

Z lasu wyszła Bajbise.

Elordoria i Zenermalaudia na widok niezgrabnego chodu staruchy zachichotały złośliwie. Gdy jednak okazało się, że Bajbise idzie w ich kierunku, obie rusałki przybrały niewinne minki i po-witały starą wiedźmę promiennymi uśmiechami.

- Co cię do nas sprowadza, najmilsza Bajbise ? - zapytały słodko.

Bajbise również wyszczerzyła się w uśmiechu i siadła pod głazem, na soczysto-zielonej murawie.

Rusałki wymieniły między sobą znaczące spojrzenia, po czym znów uśmiechając się promiennie, spojrzały ponownie na nowo przybyłą.

- Ach, złociutkie - odezwała się Bajbise. - Musimy ratować królestwo od upadku. Ta wariatka Aureolia doprowadzi je do zguby.

- Ach tak, ten smok! Był przerażający! Będzie się z pewnością okrutnie mścił - lekko błędąc i spoglądając badawczo na wiedźmę, odrzekła Elordoria.

- Właśnie - powiedziała Bajbise, uśmiechając się z zadowoleniem. - Po cóż mamy cierpieć wszyscy, jeśli ona tylko zawiniła...

Rusałki spojrzały jedna na drugą. Ponieważ nie wiedziały, co odpowiedzieć, skromnie spuściły oczy i nie odezwały się ani słowem.

Bajbise popatrzyła na nie chytrze:

- Zobaczcie, co mi dała!

I wiedźma wyjęła kolczyki, które dostała od Aureolii:

- Chciała mnie tym przekupić! Myślała, że dwoma błyskotkami zamknie mi oczy na to, co się dzieje!

- A taaak! - wybuchła nagle Zenermalaudia. - Ta wywłoka sama już nie wie, co robić z klejnotami! Tyle ich ma!!

- To szczywana lisica! - z przekąsem dorzuciła Elordoria. - Gromadzi wszystko, ale nawet nie pomyśli o tym, aby tak podzielić się nadmiarem bogactw z przyjaciółkami!

Bajbise smutnie spuściła głowę.

- Gdybym ja była królową rusalek, sama bym sobie nic nie zostawiła - powiedziała cicho. - I na pewno o takich przyjaciółkach jak wy bym nie zapomniała. Miałybyście klejnotów, ile dusza za-pragnie!

- Ja zrobiłabym dokładnie tak samo! - krzyknęła radośnie Elordoria, ciesząc się, że znajduje zrozumienie. - Ale ta podła małpa na tronie myśli tylko o sobie i zawistnie gromadzi swe bogactwa. Żeby się nimi udławiła!! Zenermalaudia ze smutkiem podziwiała piękno kryształowych kolczyków.

- Są twoje - rzekła Bajbise. - I obiecuję wam istną powódź klejnotów i bogactw, jeśli zostanę królową rusalek.

- Zawsze uważałam, że tylko ty jedna godna jesteś tego miana - powiedziała przymilnie Zenermalaudia.

- Ale co zrobić z Aureolią? - rozłożyła bezradnie ręce Elordoria. - Ona jest królową i to dożywotnie!!

- Otóż po to tu przyszedłam - rzekła Bajbise. - Tylko wy możecie uratować Krainę Elfów.

- Czy myślisz o tym samym co ja? - zapytała Elordoria.

Bajbise w milczeniu skinęła głową.

- To straszne! - zbladła Zenermalaudia.

- Wcale nie - odrzekła Bajbise. - Jeżeli smok nie dostanie Aureolii, wróci tu, ale wtedy spustoszy całe nasze królestwo. To dopiero będzie straszne. I my, jako prawdziwe patriotki, nie możemy do tego dopuścić!

- Tak! - zamyśliła się Zenermalaudia. - A więc będziemy bohaterkami narodowymi!!!... Ta podła żmija zasłużyła sobie na to, co ją spotka!

- Ale zrobimy to tylko i wyłącznie dla dobra królestwa - powiedziała Elordoria i uśmiechnęła się do Bajbise.

- Ależ oczywiście - odpowiedziała wiedźma. - A ratując całe na-sze królestwo, zasłużyście na wdzięczność i pamięć u potomnych.

* * *

Gdy następnego dnia, o wschodzie słońca, rusalki z rozpuszczonymi włosami, w zwiewnych, zielonych szatach płasły beztrąsco nad Błękitnym Źródłem, Elordoria powiedziała cicho do Aureolii:

- Wczoraj odkryliśmy cudowne miejsce! Musisz je zobaczyć, pani!

- Jest przepiękne - zawtórowała Zenermalaudia.

- A więc nie traćmy czasu! - odpowiedziała rozpromieniona Aureolia i przyjaciółki, chwyciwszy się za ręce, w radosnych podskokach ze śmiechem pobiegły w las.

Ranek był nadzwyczaj piękny! Ptactwo, ukryte w soczystej zieleni listowia, świergotało wesoło, a na niesamowicie błękitnym niebie nie było ani jednej chmurki. Słońce rozświetlało długie, zielonozłote włosy rusalek, a delikatny powiew wietrzyka muskał ich lekkie suknie.

Zalana słońcem Smocza Polana stanowiła rzeczywiście przepiękny widok. Jaskrawozielona barwa wilgotnej od porannej rosy trawy tonęła w powodzi różnokolorowego kwiecia. Zarosła bluszczem jaskinia Zenobiusza była prawie niewidoczna.

- To tu, pani, ale zamknij na chwilę oczy, bowiem teraz czeka cię niespodzianka - zaszeptła słodko Elordoria, posyłając porozumiewawcze spojrzenie Zenermalaudii. Ta natychmiast lekko podbiegła do pobliskiego głazu, za którym leżał ukryty tu wcześniej sznur. Aureolia zamknęła oczy, rozkoszując się pięknem tej chwili, i nim się spostrzegła, została dokładnie, sprawnie i szybko skrępowana i unieruchomiona przez swe przyjaciółki.

- Co wy robicie! - krzyknęła zdumiona.

- Ratujemy królestwo - zachichotała Elordoria, zawiązując piękny supeł wieńczący dzieło. - Pewien twój wielbiciel, pani, bardzo ucieszy się z twoich odwiedzin.

Aureolia zrozumiała wszystko.

- Przecież ta bestia mnie pożre! - zawołała zrozpaczona, nada-remnie próbując rozluźnić krępujące ją więzy; była okręcona liną w sposób zdumiewająco fachowy.

- Ależ to rozumiałe!! - roześmiała się bezczelnie Elordoria. - Jak świat światem smoki zawsze pożerały królowny. A czegoż innego żeś się spodziewała ???

- Najpierw odgryzie ci głowę! - dodała Zenermalaudia. - Słyszałam, że smoki zawsze najpierw odgryzają królowom głowy! O ile nie jest to smok zięjący ogniem. Te bowiem najpierw smażą ofiarę swym oddechem i dopiero, gdy jest już podsmażona, ale jeszcze żywa, zabierają się do konsumpcji!!

- Nie zasłużyłam sobie na to! - wybuchnęła Aureolia. - Rozwiąż-cie mnie natychmiast, nie zrobiłam wam przecież nic złego!

- Och, nie, nie - zasyczała złowrogo Elordoria. - Ty obłudna ździ-ro! Tą starą, koszmarną wiedźmę zasypujesz świecidełkami, ale żeby nam tak coś podarować, to nawet nie pomyślałaś!

- Nie sądziłam, że te błyskotki mogą mieć dla kogoś jakąkolwiek wartość. Mogłyście powiedzieć, mam ich mnóstwo, dałabym wam, ile byście chcieli. Dla mnie nie mają one żadnej wartości...

- Łżesz, podła żmijo! - zawyla Zenermalaudia. - Zawsze uważałaś się za coś lepszego, gardziłaś nami i poniżałaś nas na każdym kroku! Myślałaś, że to, iż jesteś królową rusałek, daje ci prawo do wywyższania się i pogardzania nami. Zawsze wszystko miałaś i myślałaś, że wszystko ci się należy. Zasłużyłaś sobie na taki los, jaki cię teraz spotka! Zasłużyłaś sobie na koniec nie w jednej smoczej paszczy, ale w dziesięciu, które żywcem rozerwałyby cię na dziesięć kawałków!!

Aureolia poczerwieniała ze złości:

- To wam nie ujdzie na sucho! Obiecuję to wam!!

- Teraz to sobie możesz!! - zaśmiała się Elordoria, popychając owiniętą liną królową w głąb smoczej pieczary. - Niebawem za-kończysz swe królowanie!!

- Nie zostawiajcie mnie tu, proszę - krzyknęła Aureolia, ale od-powiedział jej tylko chichot rusałek i odgłos szybko oddalających się lekkich kroków. - Wracajcie i rozwiążcie mnie!! Natychmiaast!!!

W jaskini panował półmrok, ale oczy Aureolii, pamiętające jesz-cze oślepiający blask promieni słonecznych, z trudem rozróżniały jakiegokolwiek kształty we wnętrzu pieczary. Aureolia, okręcona sznurem niczym baleron, stała więc bezbronna, miotając się w bezsilnej, tłumionej złości, która co chwila ustępowała miejsca śmiertelnemu przerażeniu.

W odległym, zacienionym kącie jamy zabłyśły żółte, ogromne ślepie gada. Właściciel jaskini zorientował się już, że ma gościa.

* * *

Z mroku wyłoniła się pękata postać Zenobiusza. Smok, sapiąc ociężale, powoli zbliżył się do Aureolii. Jego żółte gałki oczne, przecięte czarną, wąską źrenicą, wpiły się zimnym, nieruchomym spojrzeniem w twarz gościa.

Aureolia wstrzymała oddech.

Zapanowała cisza.

„Usmażysz mnie żywcem, czy odgryziesz mi głowę?” - zapytała w myślach Aureolia.

Nieruchomy gadzi wzrok przewiercał rusałkę na wylot. Aureolia patrzyła na smoka, smok patrzył na Aureolię. Milczeli, stojąc na-przeciwko siebie.

- Kończmy tę farsę! - krzyknęła wreszcie Aureolia, dumnie unosząc głowę. - Nie mam zamiaru stać tu godzinami! - złość usunęła w cień lęk i przerażenie. - Na co czekasz, bestio! - zawołała tea-tralnie dramatycznym tonem. Ponowny dumny ruch głową omal nie pozbawił jej równowagi, ale jednak nie przewróciła się.

Smok cofnął się nieznacznie, żółte reflektory gadzich ślepiów rozszerzyły się lekko i niepewnie.

- Bierz się do roboty, potworny gadzie! Miejmy to już za sobą!! - wołała coraz bardziej zniecierpliwiona i doprowadzona do ostateczności rusałka. Oczy jej, zwężone złością, lśniły dzikim i wściekłym blaskiem. Zenobiusz, widzący równie dobrze nocą jak i w dzień, podziwiał jej piękną, zagniewaną twarzyczkę; Aureolia bowiem, gdy się złościła, stawała się jeszcze piękniejsza.

Onieśmielony jej bojowością i urodą smok wyszeptał cicho:

- Nie popędzaj mnie... Nigdy jeszcze nie miałem kobiety...

Aureolia spojrzała na smoka ze zdziwieniem. Smok również spojrział na nią. Jego oczy pełne były smutku i uwielbienia.

Znów zapanowała cisza.

- Chyba zaszło jakieś nieporozumienie - powiedziała w końcu niepewnie Aureolia. - Przyszłam tu, abyś mnie pożarł... I nie jestem tu z własnej woli!!

- Wiedziałem!!! - zawył smok i w geście szalonej rozpaczyny wy-rznął swym smoczym pyskiem w dno jaskini. - Wiedziałem, że nie możesz mnie pokochać! Wiedziałem, że to głupie i beznadziejne... Jestem skompromitowany, ośmieszony... Nigdy już nie będę mógł się nikomu pokazać na oczy... Nigdyyyy...!!! Aureolia patrzyła na niego zaskoczona. Oczy jej przyzwyczyły się już do półmroku, widziała więc miotającego się po jaskini Zenobiusza całkiem dobrze.

- Niepotrzebnie tu przychodziłaś. Zapomniałem ci powiedzieć, że zwracam ci słowo. Nie chcę i nie potrzebuję łaski, ani twojej litości!

Aureolia ze zdziwieniem spostrzegła, że widzi przed sobą nie straszliwą, złowrogą bestię, a przeraźliwie brzydką, ale i przeraźliwie nieszczęśliwą istotę... Strach i złość zniknęły. To co teraz czuła, to było chyba współczucie...

- Nie chciałam cię skrzywdzić - rzekła łagodnie rusałka. - Rozwiąż mnie, to porozmawiamy. Te liny wgrzyżają mi się w ciało.

Smok spojrział na nią wylęknionymi, szeroko otwartymi oczyma. Aureolia uśmiechnęła się serdecznie. Zenobiusz spuścił głowę zawstydzony i zabrał się za rozsupływanie więzów, krępujących jego ukochaną. Szło mu to dość niesprawnie i lekka, zwiewna suknia Aureolii nieco ucierpiała przy tej czynności, ale grunt, że po chwili rusałka była znów wolna. Z lubością rozprostowała ramiona, poprawiła włosy i utkwiała iskrzące się radością, uśmiechnięte oczy w Zenobiuszu. Mogła odejść, ale nie chciała. Nie mogła zostawić tak tego nieszczęśnika.

Smok leżał u jej stóp, nachyliła się więc nad nim i pogładziła go po głowie. Smok spojrział na nią ze smutkiem.

- Odkąd cię zobaczyłem, pani, nie mogłem przestać o tobie myśleć. Wybacz, że przestraszyłem cię wtedy w kąpielu... Nie chciałem cię niepokoić, ale Bajbise rozbudziła moje najszybsze pragnienia.

- Bajbise ? - spytała Aureolia. Potrafiła szybko kojarzyć fakty. Nie czas jednak był teraz na wyciąganie wniosków. Odłożyła swoje niejasne podejrzenia na potem.

- Tak - ciągnął dalej Zenobiusz. - Dlatego odważyłem się pójść do twojego pałacu, pani. Wiedziałem, że tak się to skończy. Teraz jestem skompromitowany. Jak mogłem pomyśleć, że mogłabyś, pani, odwzajemnić moje uczucie i pokochać takiego odpychającego, brzydkiego smoka jak ja!?. Wiedziałem, że to niemożliwe, ale poszedłem do twojego zamku. Poszedłem, aby ośmieszyć się przed całą Krainą Elfów. Nieszczęsny, zakochany głupiec ze mnie...

Aureolia gładziła łagodnie smoka po głowie:

- Nie ośmieszyles się. Przeciwnie. Napędziłeś mi i wszystkim moim dworzanom niezłego stracha. Wyglądałeś jak rozjuszona, wściekła bestia, która okrutnie zemści się za doznaną zniewagę. Byłeś przerażający.

- Naprawdę ? - zapytał cicho smok.

- A jak myślisz, dlaczego podstępem wywabiono mnie z zamku i związaną pozostawiono w twojej grocie ? Zenobiusz przywarł swym szpetnym, smoczym pyskiem do kolan Aureolii. Cichy, tłumiony przez tyle lat szloch pokrzywdzonej przez naturę istoty wstrząsnął jego pękatym, smoczym ciałem...

Rusałka wciąż gładziła go delikatnie po głowie. Pod palcami czuła jego gorące łzy.

- Popłacz sobie, popłacz... - powiedziała cicho. - Będzie ci lżej...

Jakieś dziwne uczucie ni to smutku, ni to radości wkradło się ostrożnie do jej duszy, gdy patrzyła na to płaczące na jej kolanach stworzenie. Dziwną dumą napawał fakt, że Zenobiusz rozplakał się właśnie przy niej i dziwną słodyczą napelniała serce myśl, że to właśnie ona była tą, która mogła go pocieszyć oraz choć trochę złagodzić ból, jaki odczuwał.

* * *

Bajbise wylegiwała się na brzegu Błękitnego Źródła, wygrzewając i rozprostowując na słońcu swe wychudzone, starcze ciało. Kolorowe motyle latały wokół jak zwariowane, a wiedźma rozkoszowała się myślą o bliskiej już chwili koronacji na królową rusałek. Zenobiusz był ofertą jakichś mała, ale przecież nawet najgorsza fajłapa, jeśli się jej trochę pomoże, potrafi zemścić się za wstyd i upokorzenie. A tych przecież nie oszczędziła Aureolia Zenobiuszowi w Dzień Wonnej Konwalii. Brutalne zniszczenie coraz śmielej kielkujących, a wstydliwie skrywanych dotąd, gorących pragnień może przecież pchnąć do najbardziej zbrodniczego czynu. Ale jeśli nie w tym przypadku... ?

- Do licha! - zawołała Bajbise. - Przecież w tej górze mięsa zostało chyba coś jeszcze ze smoka!!!

Słońce przypiekało rozkosznie. Zdawało się rozpraszać wszelkie niepokoje i sprzyjać błogim rozmyśleniom. Bajbise rozmawiała już z Eduardem. Niecierpliwy młodzieniec pragnął ślubu zaraz po powrocie króla. Bajbise podobał się ten jego gorączkowy pośpiech i dlatego na razie nie studziła zapędów ukochanego. Uważała jednak, że ślub ten byłby obecnie krokiem przedwczesnym i bardzo nieostrożnym. Bajbise liczyła bowiem na to, że nie dojdzie do za-machu na Elfeusza. Przy odrobinie sprytu i dyplomacji mogło się to udać, należało tylko wszystko rozegrać bardzo umiejętnie. Byłoby to wyjście idealne i mniej ryzykowne. Elfeusza, choć był starym piernikiem, nie wolno było lekceważyć, bowiem mógł okazać się bardzo niebezpieczny! Ze ślubem należało więc z pewnością jeszcze poczekać. Oczywiście, gdyby jednak król stanął na drodze do realizacji marzeń wiedźmy jako przeszkoda nie do ominięcia, należało go bezwarunkowo usunąć, tak jak Aureolię.

Ale teraz wiedźma nie chciała myśleć o tym wszystkim. Cieszyła się po prostu z pomyślnego pozbycia się niewygodnej wychowawicy, a zarazem jakże groźnej rywalki. Przeszkoda numer jeden została usunięta. Bajbise rozmarzyła się trochę. Planowała swe przyszłe, szczęśliwe życie z Eduardem. Marzenia, które przecież z każdą chwilą stawały się coraz bardziej realne!! Tylko czasem, niczym natrętna mucha, majaczyła myśl, że bez korony królowej rusałek to przyszłe szczęście byłoby niemożliwe. Ale czy miało to jakiegokolwiek znaczenie, skoro ona sama pragnęła zaszczytów i władzy równie mocno jak piękny Eduardo...?

Niestety, ten słodki stan upojenia nie trwał długo. Rozpaczliwe krzyki i poblądłe z przerażenia twarze Zenermalaudii i Elordorii wyrwały starą wiedźmę z kręgu przyjemnych rozmyślań.

- Król wrócił! Co z nami teraz będzie, wszystko się wyda! - wołały histerycznie jedna przez drugą obie rusalki.

- Uspokójcie się natychmiast! - ostro ofuknęła je Bajbise. - Jesteście pewne, że król wrócił ?

- Tak. Wszyscy pobiegli go powitać! Jesteśmy zgubione... - płacliwie zawołała Zenermaudia.

- Co z Aureolią ? - sucho spytała wiedźma.

- W smoczej jamie, obwiązana dokładnie liną, a teraz już pewno pożarta przez smoka - drżącym głosem odpowiedziała Elordoria.

- W takim razie czego panikujecie, idiotki ?

- Jak to ?!

- Któż udowodni, że to nie smok porwał naszą nieszczęsną królową w czasie jej porannych płasów u Błękitnego Źródła ? Zwłaszcza, że potwierdzi ten fakt zgodne świadectwo dwóch przerażonych i szczerze oddanych Aureolii służek, tonących w żalu po tej niepowetowanej stracie.

- Mówiłam ci, kretynko! - z pogardą rzuciła swej przyjaciółce Elordoria. Zenermaudia szybko otarła łzy.

- A teraz spieszy powitać króla! - rzekła Bajbise. - Stęskniłam się chyba trochę za tym starym bęcwałem!

Z trudem przepchały się przez tłum różnej maści mieszkańców lasów, pól i łąk, pragnących powitać swego władcę. W Kryształowym Pałacu było trochę luźniej. Tu wstęp miała tylko uprzywilejowana arystokracja, do której szczęśliwie zaliczały się trzy nasze niewiasty. W sali kolumnowej, w otoczeniu swych poddanych, w całej swej okazałej i pulchnej postaci stał promieniejący szczęściem monarcha. Zarówno król, jak i wszyscy jego dworzanie, szczerze radowali się z ponownego spotkania. Elfeusz I, słynący ze swych długotrwałych podróży po swym królestwie, tak rzadko gościł w Kryształowym Pałacu, że radość ta była naprawdę szczerą i autentyczną z obu stron.

- Bajbise, moja najśodsza - zawołał król na widok wiedźmy, a jego pulchne oblicze oblało się szkarłatnym rumieńcem.

- Najukochańszy i najdroższy władco mój, jak też ci minęła po-dróż ? - słodko zapytała Bajbise.

- Wyśmienicie, o pani - odrzekł Elfeusz i, nachylając się do ucha wiedźmy, szepnął namiętnie:

- Czy tęskniłaś za swym słodkim królusiem ?

Bajbise zachichotała zalotnie skrzekliwym śmieszkim.

- A gdzie Eduardo! Chcę go widzieć natychmiast! - zawołał król, rozglądając się dokoła.

- Z pewnością zaraz nadejdzie, panie - rzekła Bajbise. - Pewnie nie dotarła do niego jeszcze wieść o twym powrocie.

- A gdzie moja najukochańsza córka ? - pytał dalej monarcha.

Elordoria i Zenermaudia zbladły. Lekki, nerwowy skurcz przebiegł przez ich twarze.

- I tu smutna wiadomość dla ciebie, panie - cicho powiedziała Bajbise. - Niestety, twe oko nie nacieszy się już więcej jej urodą; dziś rano pożarł ją smok.

- Smok - powtórzył w zadumie Elfeusz.

- Tak. Tłusty, straszliwy, zielony smok! - dodała Zenermaudia. - Z żółtymi ślepiami.

- Nic nie mogliśmy zrobić - ze łzami w oczach powiedziała Elordoria. - To stało się tak szybko...

- Rozumiem, co czujesz - cicho zachrypiła Bajbise.

- Tak, jestem szalenie wstrząśnięty tą straszliwą wiadomością - powiedział rzeczowo król.

Bajbise położyła mu na ramieniu swą chudą, kościstą rękę. Elfeusz spojrział na nią z wdzięcznością. Co go właściwie pociągało w tej starej, chudej kobiecie ? Chyba to, że zawsze miał słabość do chudych kobiet, a i Bajbise była obecnie jedyną żeńską istotą, która go adorowała. - Więc nie mam już córki ? - zapytał.

- Nie - odpowiedziała Bajbise, patrząc mu ze współczuciem w oczy.

- Tak - powiedział król. - Proszę o ciszę! - Elfeusz zwrócił się do zebranych. - Muszę ogłosić wstrząsającą wiadomość: moja córka dziś rano została pożarta przez smoka i nie mam już córki... A teraz radosna wiadomość: dziś wieczorem urządzam wielką ucztę z okazji mego powrotu!!

Zgromadzeni w sali kolumnowej wybuchnęli gromkim: Huraaa!!, a Elfeusz posłał Bajbise czarujący uśmiech. Wiedźma odpowie-działa skromnym spuszczeniem oczu. Monarcha nachylił się do jej ucha i czule zaszeptał:

- Chcę połączyć tę ucztę z radosną i tak długo oczekiwaną przeze mnie uroczystością!

Bajbise spojrzała na niego z niepokojem.

- Pobierzmy się, ukochana! - krzyknął Elfeusz. - Zwiążmy się na wieki nierozzerwalnym węzłem małżeńskim!!!

Wiedźma zbladła. Tego się nie spodziewała. Nie sądziła, że Elfeusz oświadczy się jej tak szybko.

- I nie przyjmuję odmowy, słodziutka!! - powiedział pieszczotliwie roześmiany król. - Od dawna nosiłem się już z zamiarem po-ślubienia cię, ale dotąd nie miałem odwagi ci się oświadczyć. - Rumiane oblicze Elfeusza promieniało szczęściem, a gdy się uśmiechał, jego małe oczka ginęły prawie całkowicie w fałdach tłuszczu. - Dziś jednak znalazłem w sobie dość siły, aby to uczynić - kontynuował swą płomienną orację król Elfeusz I. - Więc proszę cię dziś o twą rękę. Proszę tylko o rękę, bo wiem, że serce twe już od dawna należy do mnie! I nie marnujmy czasu, najdroższa! Wkrótce bowiem będziemy już za starzy na jakiegokolwiek radości życia. Czas w naszym wieku biegnie nieubłaganie, słodka Bajbise!!

Wiedźma patrzyła na niego z wciąż rosnącym przerażeniem...

Nagle drzwi do sali kolumnowej otwały się z ogromnym hukiem i ukazała się w nich smukła, wysoka postać Aureolii. Na sali zapanowała śmiertelna cisza.

* * *

Tłum w milczeniu rozstąpił się przed Aureolią, niczym przed duchem. Bo i Aureolia wyglądała jak zjawka zza grobu. Błada, spowita płaszczem długich, zmierzwionych włosów, w lekko po-dartej, powłóczyściej szacie wydawała się jeszcze szczuplejsza niż zawsze. Oczy jej błyszczały gniewnie, a drobne wargi zacisnęły się w zawziętym grymasie.

- Witaj, córko moja - rzekł niepewnie Elfeusz. - Wróciłem, jak widzisz. Cieszysz się? - zapytał nieśmiało troskliwy ojciec, ale widząc pałające gniewem spojrzenie córki, nie czekając na odpowiedź, dodał: - Doszły mnie słuchy, że zostałaś dziś pożarta przez smoka.

- Smok okazał się prawdziwym gentelmenem - odpowiedziała grobowym głosem Aureolia. - Nie tylko mnie nie zjadł, ale i od-prowadził mnie aż do samych bram pałacu. - Tu rusałka zaplanowała zimne, druzgoczące spojrzenie, które chłodem wyniosłej po-gardy miało rozpląszczyć i zmiażdżyć tego szubrawca Eduarda. Niestety, Aureolia nie znalazła go wśród obecnych i spojrzenie to zadowolilo się Elordorią i Zenermaładią.

- Ach, nie wiń nas, pani!! - przeraźliwie wrzasnęła błada Zenermaładia i padła na kolana. - To ta nikczemna wiedźma Bajbise nas namówiła!! Wmówiła nam, że to dla dobra królestwa!!!

Zenermaładia wyła płaczliwie, posyłając jednocześnie płonące nienawiścią spojrzenia Bajbise.

- A my idiotki uwierzyłyśmy tej przebiegłej wiedźmie!! - zawtórowała jej Elordoria, również osuwając się na kolana.

- One kłamią - powiedziała Bajbise, nerwowo mrugając oczami. - Nie wiedzą, co mówią, biedactwa.

- Przejrzałam twą grę, Bajbise - odrzekła zimno Aureolia, powoli cedząc każde słowo. - Te dwie źdźziry to nędzne szmaty, ale zbyt głupie i tchórzliwe, aby zdobyć się na taką podłość!!

Zenermaładia chciała oburzyć się i stanąć w obronie swego ro-zumu i swej odwagi, ale Elordoria ją powstrzymała.

Aureolia zaś mówiła dalej, zwróciwszy się teraz bezpośrednio do Bajbise:

- Ufałam ci jak matce, ale widzę, że czyni błąd ten, kto zaufa wiedźmie! - powiedziała dobitnie, po czym zwróciła się do Elfeu-sza: - Żądam, ojczy, stanowczo, abys z całą surowością rozprawił się z tą podłą i obłudną istotą, która śmiała targnąć się na moje życie, z mizernym jednak, jak widzicie, rezultatem!!

- Ależ to jakieś nieporozumienie, kochanie - zaczął Elfeusz. - Ta wspaniała kobieta nie byłaby zdolna do tak niecnego czynu - tu spojrzał na Bajbise. Wiedźma gorliwie pokiwała głową na znak, że z pewnością nie byłaby zdolna. Ale Aureolia nie dała się przekonać:

- Żądam, abys zrobił coś z tą niegodziwą kreaturą, a jeśli nie, to... - Aureolia zawahała się.

- To co ??? - zapytał i tak już zdenerwowany Elfeusz.

- To... Nie wiem jeszcze, ale się zastanowię!! A na razie, skoro widzę, że ty, ojczy, także jesteś przeciwko mnie i trzymasz stronę tej nikczemnej stwory, nie pozostaje mi nic innego, jak opuścić tę komnatę. - To mówiąc, Aureolia ogarnęła całe zgromadzenie dumnym i władczym spojrzeniem, po czym, zgodnie z zapowiedzią, wyszła z sali.

Tren podartej sukni ciągnął się za nią po posadzce jeszcze przez pewien czas, aż w końcu i on również zniknął. W sali nadal panowała śmiertelna cisza.

* * *

W korytarzu rozległy się czyjeś pewne i sprężyste kroki. Do sali wszedł Eduardo. Właśnie spędzał upojne chwile z kształtną, leśną nimfą Lesandrą, gdy jakiś nawiedzony satyr, wpierw o mało ich nie stratowawszy, obwieścił im radosną nowinę o powrocie władcy. Eduardo, nie tracąc czasu, udał się więc natychmiast do Kryształowego Pałacu.

- Witaj królu! - rzekł wesoło na widok Elfeusza.

- Podejdz do mnie, chłopcze! - odrzekł stary władca, a jego oczy zaśmiały się radośnie. - Stęskniłem się za tobą. Pójdź w me objęcia! Niech cię uściskam! Zuch chłopak, godny następcy tronu...

- O właśnie, a propos tronu, Bajbise, kiedy mu powiemy o naszym ślubie?

- Jakim ślubie! - zdziwił się Elfeusz i spojrzał podejrzliwie na wiedźmę.

- On nie wie, co mówi - odrzekła Bajbise, czerwiąc się lekko, co było u niej zjawiskiem dość niezwykłym i rzadko spotykanym. Aby ukryć swe zmieszanie, wiedźma uśmiechnęła się z przymusem.

- Ależ wiem. Miałas przecież powiedzieć starszuskowi o twoim pomysle. Mnie tam wszystko jedno, kogo poślubię, bylebym był królem! Więc to ty działaj...

Rozpaczliwe znaki, dawane przez wiedźmę, nie zatamowały po-toku słów lekkomyślnego młodzieńca.

- Ach, on o niczym nie wie! On nie wie, co mówi!! Królowna wróciła! Wszystko jest inaczej, idioto! - zaskrzypiała Bajbise.

- Wróciła!? - zdziwił się Eduardo. - Toż miał ją pożreć smok!

- Smok okazał się prawdziwym gentelmenem - odrzekł król dobrodusznie - i odprowadził naszą córkę aż do samych bram pałacu. - Elfeusz nagle zmarszczył groźnie swe pyzate oblicze.

- Za to wy oboje będziecie się tego tłumaczyć! - powiedział, srogo patrząc na Eduarda i odpychając tulącą się do niego Bajbise. - Za-planowaliście spisek na moje życie! Więc to tak chciałaś zostać królową! Stary król już ci nie wystarczał... Chciałaś młodego!... Jurnego byczka ci się zachciało... Ty plugawa nędznico!!! - król zaczynał krzyczeć i krzychał coraz głośniejsze, a że miał „soczystą wymowę”, ślina obficie ściekała mu po podbródku. - Mów, co chciałaś ze mną zrobić!! Otruć mnie, a może skrycie zasztyletować... Zamordować mnie chciałaś!!...! Aby z nim...!! Z nim... - z przejęcia Elfeusz aż się zakrztusił i jeszcze bardziej się zaślinił. Zranione serce i urażona miłość własna tamowały mu słowa w gardle. - Tak, mów!! Co masz na swoją obronę! Mów!! Słucham!

Bajbise cofała się, przerażona gniewem królewskim i tak nagłym, całkowitym załamaniem się wszystkich jej planów.

- Ależ nie, nie, to kłamstwa... - powtarzała cicho. - To nieprawda... To nie może być prawda...

- A ty, którego kochałem jak syna - ze łzami w oczach Elfeusz zwrócił się do stojącego nie opodal Eduarda - też brałeś udział w tym spisku ?...

- To ona wszystko wymyśliła - rzekł obojętnie Eduardo, zdegustowany wybuchem króla. - Jestem następcą tronu i muszę mieć jakąś żonę, nie. Powiedziano mi, że moją narzeczoną zjadł smok, więc niby czemu miałem nie uszczęśliwić tej kobiety ? Skoro tak tego chciała, to i zgodziłem się. A co ona tam planowała, to nie wiem.

- Tak, to ona jest wszystkiemu winna! - krzyknęły rozpaczliwie, a zarazem oskarżycielsko Elordoria i Zenermalaudia. - To ona podpuściła nas przeciwko naszej najukochańszej pani!! To ona kazała nam ją porwać, a my głupie, myśląc, że robimy to dla dobra naszego królestwa, zdradziłyśmy naszą kochaną chlebodawczynię. Nie wiń nas, panie, to ona...

- Łżecie suki!! - zawyła dziko Bajbise. - Swoją królową utopiły-byście w łyżce wody za jedno najdrobniejsze świecidełko! Nie udawajcie teraz naiwnych, bo i tak nikt wam nie uwierzy. A ty też żeś nie lepszy, mości Eduardo!! Aby zostać królem, duszę byś diabłu zaprzedał i nie udawaj, że nie wiedziałeś o niczym! Pragnę-liście złota i władzy bardziej niż ja, ale teraz zwalacie wszystko na mnie! Kozła ofiarnego szukacie!!

- Tego za wiele! - zawołał zdenerwowany król. - Nie dość, że jesteś podłą, rozwiążłą erotomanką, to jeszcze rzucasz szkaradne oszczerstwa na niewinnych ludzi!!

- Niewinnych!!! - krzyknęła rozwścieczona do granic wytrzymałości Bajbise. - Uważaj, żeby i tobie się nie dostało, sflaczały, obmierzły, godny pożałowania staruchu! Nawet nie wiesz, jak wstrętne mi były twoje prymitywne umizgi! Gdy obłapiałeś mnie swoimi pulchnymi łapskami, czułam tylko obrzydzenie! Dawno minęły już czasy, gdy byłeś najprzystojniejszym elfem w królestwie. To już prehistoryczna przeszłość!! Dziwisz się więc, że chciałam kogoś młodego...

- Czasy kiedy ty byłaś najpiękniejszą z wiedźm, to również już prehistoria - zachrypiął czerwony jak burak król. - Zresztą i tak byłaś tylko moim kaprysem... przelotną rozrywką... zabawką... !!!

- Cha! Cha! Ty opasły, gnuśny kłamco! Przypomnij sobie, co skamlałeś mi do ucha w gwiazdzistą noc tuż przed twoim wyjazdem! Ty parszywy, zbereźny świntuchu!...

- Dość!! Ty... szkaradna ropucho!! - wrzasnął piskliwie Elfeusz i karząco uniósł swą pulchną, krótką rączkę. Bajbise zrozumiała, że posunęła się za daleko, ale było już za późno. Jej czarodziejska moc była niczym w porównaniu z mocą króla elfów. Wiedźma zniknęła w kłębach niebieskawego dymu...

Gdy opary owego dymu się rozwiały, w sali kolumnowej nie było już Bajbise. Na podłodze siedziała szkaradna, przyszczata i wyjątkowo obleśna ropucha. Wszyscy wiedzieli, że przemiana ta jest już nieodwracalna. Transformacja w drugą stronę była niemożliwa.

Król powoli się uspokajał, ale wypieki na jego pełnych policzkach były wciąż barwy krwistoczerwonej. Elfeusz patrzył chwilę niepewnie po swych poddanych, zebranych w sali kolumnowej, i w końcu z nagromadzonej w nim złości kopnął z wściekłym rozmachem siedzące mu u stóp zwierzę. Ropucha zapiszczała żałością i niezdarnie poczłapała ku wyjściu. Odprowadzał ją zdu-miony wzrok mieszkańców Kryształowego Pałacu.

Gdy obrzydliwy płaz zniknął już za drzwiami, król odetchnął głęboko i nawet jakby się uśmiechnął.

Elordoria i Zenermalaudia natychmiast padły mu do nóg:

- O zlituj się, panie, nad nami, zrobiliśmy to dla dobra królestwa...

- Wierzę w waszą niewinność - rzekł lekko zakłopotany król; nie był przyzwyczajony do tego, aby piękne dziewczęta klękały przed nim i błagały go o litość. Choć niewątpliwie sytuacja ta pochlebiała mu i nieco rekompensowała przeżyty przed chwilą zawód miłosny. - Idźcie w pokój, moje drogie. Również i do ciebie, synu, nie mam pretensji - Elfeusz zwrócił się teraz do Eduarda. - Wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz i nie zdradzisz.

- Jakże bym mógł zdradzić cię, panie, chlebodawco mój i dobroczyńco - rzekł Eduardo z dwornym ukłonem, po czym przyklęknął z gracją na jedno kolano.

- Wstań - rzekł dobrodusznie Elfeusz, po ojcowsku kładąc rękę na szerokim ramieniu młodzieńca. - Kochałem cię zawsze jak syna, a i ty dowiodłeś, że godnym jesteś tego miana. Powiem ci w zaufaniu: zawsze wyżej ceniłem ciebie niż moją kapryśną córkę. Kobiety są z gruntu złe i fałszywe. Wierz mi, nigdy im nie ufaj. To rada starszego. Tak, tak, chłopcze. Ale z moją córką ożeń się!

- Kiedy ona nie chce ze mną rozmawiać!! Po twym wyjeździe, panie, doszło między nami do małej sprzeczki i odtąd twoja córka, królu, nie chce mnie widzieć.

- Wymyślisz coś, chłopcze - powiedział Elfeusz z ufnością. - Pamiętaj, że tylko jako jej mąż możesz prawnie dziedziczyć po mnie koronę. Tak chce tradycja i prawo. Inaczej nie można.

* * *

Był późny wieczór.

Aureolia była sama. Stała przy oknie. Coś dławilo ją w gardle, a w oczach zbierały się łzy.

Ktoś szedł korytarzem. Były to mocne, pewne, męskie kroki.

Poczuła dziwny skurcz w sercu.

Kroki ucichły tuż przy jej drzwiach...

Zaskrzypiały skórzane buty, czarne i wysokie buty jakie nosił tylko jeden człowiek w Krainie Elfów.

Drzwi cicho uchyliły się, a w jasnym prostokącie światła ukazała się barczysta sylwetka Eduarda.

Młodzieniec powoli wszedł do jej pokoju.

Patrzyła na niego uważnie, czując jak paraliżująca sztywność nie pozwala jej się poruszyć.

- Musimy porozmawiać - rzekł miękko swym czystym barytonem.

- O czym? Wszystko zostało już powiedziane - odrzekła zimno Aureolia, ale głos jej się załamał.

- Proszę tylko o jedną minutę rozmowy. Czy to tak wiele?

Zielone, wąskie oczy Eduarda zaiskrzyły się złośliwie. Tak wydało się przynajmniej Aureolii.

Widziała, jak zbliża się do niej, patrzyła na niego nieprzytomnie. Czowała, że kręci się jej w głowie. Silne, prężne ramię nie pozwoliło jej jednak upaść.

- Na myśl, że mogłbym cię stracić, dostaję szału. Nie wiedziałem wtedy, co mówię i co czynię - usłyszała tuż nad swoją głową.

- Chciałabym, aby to była prawda - odpowiedziała Aureolia, podnosząc powoli głowę i spoglądając mu prosto w oczy.

- To jest prawda, przysięgam.

Nie zdążyła odpowiedzieć, Eduardo zatkał jej usta długim, namiętym pocałunkiem.

* * *

Aureolia nie rozumiała sama siebie. Pogodziła się z Elordorią i Zenermalaudią, miała więc znów dwie serdeczne i oddane przyjaciółki. Odzyskała też mężczyznę, którego kochała, byli znów razem, a przed nimi rysowała się wyraźnie szeroka, wspólna droga ku szczęściu. Aureolia była ponownie najszcześniejszą i najpiękniejszą istotą pod słońcem. Co więc było nie tak?

Smętnie snuła się po swych ulubionych miejscach, z których żadne jednak nie potrafiło jej pocieszyć. Nie zauważała promieni słonecznych, przeciskających się przez liście, umykał jej uszom szum strumyka, a przepych Krysztalowego Pałacu przytłaczał ją i denerwował. Wszystko było takie samo, a jednak inne.

Pod wieczór odwiedził ją smok Zenobiusz. Była w komnacie sama. Smętnym wzrokiem wodziła po wszystkich pięknych sprzętach, poustawianych w jej pokoju, i tęskno patrzyła w okno. Nie usłyszała, jak Zenobiusz wszedł do jej komnaty, mimo że podobno pukał bardzo długo. Aureolia mdło uśmiechnęła się na jego widok.

- Przyszedłem się pożegnać - zakomunikował smok. - Jutro o świcie wyruszam w drogę.

- Więc jednak zdecydowałeś się odejść - powiedziała ze smutkiem rusalka. - Słyszałam, że chcesz opuścić naszą krainę, ale w to nie wierzyłam.

- Muszę - odpowiedział smok. - Teraz, gdy nikt się już mnie nie boi, wszyscy śmieją się z mojej brzydoty. Dotąd ich przerażałem, teraz tylko śmieję, więc dokuczają mi. Zresztą jestem skompromitowany, nie mogę tu zostać.

- I porzucisz wszystko? Wszystko co znasz, wszystko co ci przyjazne i drogie sercu. Porzucisz znajomych, znajome miejsca, całą naszą krainę elfów i rusalek?

- Może ty, pani, masz tu znajomych i swoje ulubione miejsca, ale ja czuję się tu obco i tak się tu zawsze czułem. Wierzę, że gdzieś tam daleko czeka moje szczęście. Nie wiem, jak ono wygląda, ale wierzę, że czeka tam na mnie. Może będzie to po prostu miejsce, gdzie nikt nie będzie mi dokuczał, ani śmiał się ze mnie, a może coś więcej...

- Słyszałam, że poza granicami naszego królestwa panuje chłód, głód i choroby; ludzie wiodą tam nędzne, szare życie, nie ma tam bogactw i klejnotów, nie ma lasów, ani strumyków, a nawet jeśli są, to nigdy nie tak piękne jak nasze.

- A ja wierzę w moją krainę szczęśliwości. Każdy ma prawo do swego miejsca na ziemi i do szczęścia. A więc także i ja! Dlatego wierzę, że gdzieś istnieje kraina, w której będę szczęśliwy. Być może, że jest tak, jak mówisz, pani, ale jeśli jest inaczej, nigdy nie wybaczyłbym sobie, że pozostałem tutaj.

- Och, nie zasłużyłeś sobie na to wszystko - westchnęła rusalka.

Przez chwilę zapanowała cisza.

- Nawet nie wiesz, jak mi przykro, że nie mogę odwzajemnić twojego uczucia... Ale ja potrzebuję człowieka, nie smoka...

- Wiem. I to człowieka takiego jak Eduardo.

- Tak, właśnie takiego jak Eduardo, bo nie wiem czy Eduarda... Ale czy to tak widać?... Och, Zenobiuszu, tobie jednemu mogę to powiedzieć. Wszystko mnie teraz tak przytłacza! Ja... ja duszę się! O jakże bym chciała, tak jak ty, rzucić to wszystko i wyruszyć w nowe strony, szukać swego szczęścia i wierzyć, że je znajdę. Bo po tym, co się stało, nie mogę być już tutaj szczęśliwa. Coś się zламаło we mnie, coś się skończyło, prysnęło jak bańka mydlana i już nie wróci... - Aureolia zamysliła się. Zenobiusz milczał i patrzył na nią z niemym zachwytem. - Ale jestem królową - powiedziała Aureolia po chwili. - Królową rusalek! Jestem potrzebna memu ludowi, mem przyjaciółkom, mem poddanym. Oni mnie potrzebują i muszą przy nich pozostać, choćbym nawet miała poświęcić swe osobiste szczęście.

Zenobiusz patrzył na nią pokornie swymi dużymi, żółtymi ślepiami.

- Nie oczekiwałem, nie śmiałem oczekiwać, że mogłabyś, pani, pójść ze mną - rzekł cicho. - Nie chciałem po prostu odchodzić bez pożegnania...

Aureolia odwróciła się do niego plecami.

- Idź już - powiedziała zmęczonym głosem. - Nie ma co tego przedłużać...

- Więc jednak lubisz mnie, pani, trochę ?

- Chyba tak. Ciebie nie można nie lubić.

Zenobiusz cały promieniał. Z tej radości chyba wyszedł nawet nie tak niezgrabnie jak zawsze, choć jak zwykle szorujący kryształową posadzkę długi ogon zaplątał mu się między nogi.

Aureolia stała przy oknie. Było ciemno, gwiazdy świeciły spokojnie. Wszedł już księżyc. Był cienki i chudy. W pokoju było duszno.

Aureolia myślała o swym wspaniałym, przyszłym życiu i o tym jak spełnią się jej wszystkie marzenia. Myśli te przytłaczały ją jednak jeszcze bardziej...

Było strasznie duszno.

Otworzyła okno, ale niewiele to pomogło. Powietrze było chłodne i orzeźwiające, ale to, co dręczyło Aureolię, tkwiło w niej samej, było w środku, wewnątrz niej. Duchota więc nie zniknęła.

Aureolia odwróciła się od okna i zaczęła chodzić wzdłuż komnaty, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Chodziła coraz szybciej. Rozpuściła włosy i odrzuciła głowę do tyłu. Było jej wciąż duszno.

- Tak - zaczęła głośno myśleć Aureolia. - I kogo ja chcę szukać!? Przecież nikt mnie tu nie potrzebuje!... Mojemu ludowi potrzebna jestem jak zeszlarczy śnieg! No bo, tak prawdę mówiąc, po co w ogóle potrzebna jest rusalkom królowa! Zwłaszcza, że przecież i tak wszystko zawsze zależało i zależy tylko i wyłącznie od mojego ojca. I ja się dziwię, że lud ma mnie w wielkim poważaniu!... Serdeczne przyjaciółki za byle błyskotkę wyprawilyby mnie na tamten świat, a mężczyzna moich marzeń i snów ma więcej szacunku dla małego palca u swojej nogi niż dla mnie... Kogo więc chcę szukać!? - Aureolia ponownie podeszła do okna. Na tle rozgwieżdżonego nieba groźnie majaczyła ciemna ściana lasu.

- Przecież nie potrzebuję ich aż tak bardzo, aby nie móc stąd odejść, skoro nie mogę tu już dłużej wytrzymać!!

Las stał nieporuszony. Gwiazdy świeciły zimnym, obcym blaskiem.

- Zenobiuszu! Nie z poczucia obowiązku pozostaję tutaj... Nie wyruszam z tobą po prostu ze strachu! Przecież ja nigdzie poza okolicami mego pałacu nigdy nie byłam! Nie znam świata i boję się go. A tu mam strumyk, swoją polanę w lesie, mam Błękitne Źródło... Ale cóż to wszystko znaczy, skoro jedyna naprawdę życzliwa mi osoba odejdzie i to już jutro... Kto mi tu zostanie!?! Cóż znaczą same puste, martwe miejsca bez choćby jednej „bratniej duszy”?...

Gwiazdy zbladły już na niebie, a ono samo stało się jasnogranatowe, gdy Aureolia zbiegała po kryształowych schodach Kryształowego Pałacu.

Wybiegła na dwór. Otoczyło ją chłodne, rześkie powietrze po-ranka.

Dookoła był las, jeszcze lekko szary po nocy; radosna zieleń budziła się dopiero ze snu...

Aureolia biegła wąską, leśną ścieżką, czując jak pęd powietrza rozwiewa jej włosy, a pobliskie krzaki szarpiają za suknię.

Przedświt z jasnogranatowego zrobił się szary, a potem sino-niebieski.

Resztki mgieł krążyły jeszcze po lesie, gdy rusałka wbiegła na Smoczą Polanę. Na jej przeciwnym skraju dostrzegła dużą, okrągłą sylwetkę zielonego smoka. Powoli dreptał w stronę krętej i wiodącej na południe drogi. Obok niego kroczył jego wierny i nieodłączny druh, mały, niepozorny krasnal Sabała.

Aureolia wciągnęła głęboko w płuca poranną woń lasu i zamknęła oczy.

„Zapowiada się piękny dzień” - pomyślała. - „Piękny, nowy dzień. Całkowicie nowy!”

- Zaczekajcie! - zawołała już głośno i pobiegła w stronę Zenobiusza i Sabały.

* * KONIEC * *

Gdynia 1995.01.12.

ZAKUPY

Wolno zapadający czerwcowy zmierzch zatarł kontury drobnych liter. W pokoju zapanował półmrok. Karolina odłożyła książkę. Niebo było granatowe, a w bloku naprzeciwko zapalono już światła. Jasne kwadraty rozświetlonych okien wyraźnie odcinały się od czarnego zarysu betonowej budowli. Karolina nie wstała, aby zasłonić okna. Nie zapaliła też światła. Zdjęła okulary, przetarła zmęczone oczy i chciwie wpiła się wzrokiem w ciemniejszy granat nieba.

Czerwiec. . . Gorący okres w życiu każdego studenta. Karolina uczy się więc jak oszalała. W głowie wirują jej definicje, pojęcia, naukowe terminy i setki, setki nazwisk. Wszystko to miesza się ze sobą w jej mózgu w bezładną, właściwie bezużyteczną papkę. Stosy notatek, stosy książek. . . Nerwowe ruchy ołówka i wielokrotne czytanie zdań, które chyba celowo ktoś tak zawikłał, aby nic nie oznaczały. I ciągły wyścig z czasem - ile mi zostało? Jeszcze ty-dzień, trzy dni, dwa. . .?

Dopiero teraz do uszu Karoliny doleciały dźwięki głośnej muzyki, rozbrzmiewającej już od dobrych paru godzin. W sąsiednim bloku była tak zwana „ impreza”. Cóż, jedni się uczą, drudzy balują. Niektórzy umieją robić i jedno i drugie. . . Karolina ze smutkiem pomyślała, że właściwie, poza bardzo nieudaną i niechętnie wspomnianą studniówką, nie uczestniczyła nigdy dotąd w żadnym spotkaniu towarzyskim. Oczywiście Karolina nie popierała picia alkoholu, a muzyki słuchała tylko klasycznej. Raziły ją ordynarne porykiwania schrypiąłych, zapijaczonych gardel oraz mocno wy-malowane panienki tańczące jedynie w stanikach i kusych spódniczkach. Ale z tej rytmicznej muzyki, dolatującej z sąsiedniego bloku, była taka dziwna radość życia !

Karolina siedziała w ciemnym pokoju, przy niezasłoniętych oknach, i słuchała. Nie była to pierwsza impreza w sąsiedztwie i nie pierwszy to raz Karolina, siedząc przy niezapalonym świetle, wsłuchiwała się w odgłosy z podwórka. Pijackie dialogi były nieraz bardzo dowcipne. Bywały też prostackie i głupie. Karolina wtedy zasłaniała okno, zapalała światło i czytała dalej. Czasem szła do rodziców. Tego wieczoru było jednak jeszcze za wcześnie i nikt nie zszedł na dwór, ani nie wydzierał się przez okno. impreza jeszcze się nie rozkręciła. . . Karolina zapragnęła nagle znaleźć się na zewnątrz. Nie poruszyła się jednak nawet ze swego miejsca, nie otworzyła też okna. Tępo wpatrywała się w czarne już niebo. Właściwie to sama nie wiedziała, co się z nią teraz działo. Skąd to nie-znośne poczucie jałowości własnej egzystencji? Zawsze pilna i sumienna uczennica, najlepsza studentka na swoim roku, teraz nagle zaczynała tracić zapał do nauki. Może kryzys trzeciego roku? Mówiła o tym wykładowczyni na zajęciach z psychologii. Wstyd się przyznać, ale w tym roku dwa razy zdarzyło się Karolinie zasnąć nad książką! A wcale wcześniej nie czuła senności! W czytelnicy było jej duszno, w domu nie mogła się skupić, z trudem zmuszała się do robienia notatek. Przesilenie wiosenne, o którym czytała w jakimś z pism, powinno się już być dawno skończyć!

Karolina nagle ocknęła się. Przecież za dwa dni egzamin! Zrobiona ledwo połowa całego materiału, a ona siedzi teraz beczynnie, gapi się beźmyślnie w niebo i nasłuchuje odgłosów z prywatki w sąsiednim bloku! Karolina jednak nadal trwała w swym apatycznym bezruchu i ponownie pomyślała o tym, aby otworzyć okno i wyrzucić na zewnątrz. W półmroku blade jaśniała bielą swych kartek, leżąca przed Karoliną, otwarta książka. Uliczna latarnia nieśmiało zaglądała do pokoju, rzucając mdłe, poszatkowane przez firankę światło na prawą jego część.

A gdyby tak urządzić imprezę dla tak zwanych „kujonów”! Taką typowo kujonską prywatkę! Przecież i prymusi chcą i umieją się bawić - bawić oczywiście w sposób inteligentny i kulturalny! Karolina знаła na roku sporą liczbę osób na j e j p o z i o m i e intelektualnym, równie samotnych jak ona, które dzięki sumiennej pracy w czytelnicy osiągały wcale niewiele gorsze oceny. Przyjęcie oczywiście bezalkoholowe, przekąski zdrowe i pożywne - bez zbędnych kalorii - więc najlepiej dietetyczne, bogate w witamin i sole mineralne. Można by je podawać na tacach z różnymi cytatami - należałoby odgadnąć autora i tytuł książki, z której pochodził ów cytat. Rozmowy oczywiście na odpowiednim poziomie, dotyczyłyby więc filozofii, wrażeń z lektury d o b r y c h książek, ewentualnie mogłyby dotyczyć w a r t o ś c i o w y c h filmów. A atrakcją przyjęcia byłaby gadająca papuga Karoliny, recytująca co piękniejsze fragmenty „Genezis z ducha” Słowackiego. Mogłoby być naprawdę przyjemnie. . . Tyle tylko, że osoby, mogące być potencjalnymi gośćmi Karoliny, nieco ją nudziły. Owszem, miło było porozmawiać sobie czasem o egzemplifikacji duchowych wartości w „Pierwiosku” Adama Naruszewicza (w kontekście „Ferdynurka” Gombrowicza!), ale na ogół minuta konwersacji z tymi osobami pogłębiała tylko obecną chroniczną depresję Karoliny. Zresztą czy ktokolwiek przyszedłby na j e j zaproszenie? Każdy ma swoje sprawy, swoje życie, a Karolina nie należała do najpopularniejszych osób na roku. Wiedziała o tym aż nazbyt dobrze. Gdyby więc nikt nie przyszedł, a ona przygotowałaaby wszystko? Taki wstyd przed rodzicami! Co oni by sobie pomyśleli! I tak już myślą nie wiadomo co. . .

Karolina nadal nie zapalała światła. Siedziała dalej przy odsłoniętym oknie, patrząc w niebo. Było jej przyjemnie z tą beczynnością. Na prywatce w sąsiedztwie zmienili melodię. Po prostu przerwali w połowie i włączyli jakąś inną.

- „Szkoda” - pomyślała Karolina. - „Tamta nawet mi się podobała”.

Ponieważ na drugi dzień Karolina także nie mogła zabrać się za naukę, postanowiła odebrać swoje wysiedziane nad książkami stypendium (mimo że był to dopiero drugi dzień płatności, a Karolina zwykle nie spieszyła się z odbiorem tej żmudną pracą zarobionej fortuny). I kiedy tak jechała w zatłoczonej kolejce elektrycznej, dostrzegła drobną, niewysoką kobietę, jedzącą rodzynek w czekoladzie. Kobieta nakładała rodzynek na rękę z foliowej paczuski (leżącej na kolanach) i wsypywała je sobie wszystkie do ust. Siedziała tuż pod nosem stojącej w ścisłości Karoliny. Kobieta była szczupła, jadła dużo i gwałtownie, ale nie żarłocznie. Karolina, po odstaniu w ogonku do kasy uniwersyteckiej, również kupiła sobie paczkę rodzynek w czekoladzie. Zajadanie się nimi w miejscu publicznym uznała wprawdzie niemal za coś nieprzyzwoitego i nigdy by się na to nie zdobyła (schowała więc rodzynek głęboko do torby), sama jednak świadomość posiadania ich napawała Karolinę dumą i radością, co sprawiło, iż w drodze powrotnej przekornie i z figlarnym uśmiechem rozglądała się po współpasażerach. Tego też dnia Karolina zamiast do księgarni weszła do sklepu z kolorowymi, lśmiącymi sukienkami na wystawie. Przyjazna, rozświetlona słońcem ulica została na zewnątrz. W sklepie było chłodno, a ostro wymalowane twarze znudzonych sprzedawczyń i ciemny marmur, jakim wyłożona była podłoga, sprawiły, iż Karolina prze-straszyla się własnej śmiałości. Zamknęła jednak oczy i doprowadziła do względnego spokoju rozkołatane nerwy. Następnie podeszła do najbardziej jaskrawej i skąpej w zużyciu materiału sukienki. Drząc z podniecenia, wczepiła się w nią palcami.

- W czymś pomóc? - usłyszała za sobą. Karolina odwróciła się. Przed nią stał elegancki, starannie ogolony, czarujący ekspedient - młodzieniec o masywnej, kwadratowej szczęce i króciutko ostrzyżonych włosach, roztaczający wokół siebie upojoną woń kwiatowej wody po goleniu. . . Karolina poczuła, jak krew uderza jej do głowy oraz jak wściekle pulsują jej skronie. To oszałamiające leukocyty i erytrocyty wraz z płytkami krwi, odpowiedzialnymi za krzepnięcie, kotłowały się tak w jej żyłach. . . Wszystko potem było jak sen. Karolina pamiętała tylko je i to, że śmiała się jak głupia. Kupiła kolorową apaszkę, żółtą, szkaradną bluzę i tę beczynną, krótką sukienkę. Wszystko, aby sprawić mu przyjemność. . . No może nie tak do końca tylko jemu. . . Zwitek nowych, starannie złożonych banknotów, ukryty w górnej kieszeni bluzki (przed złodziejami, buszującymi w miejskich środkach lokomocji), skurczył się o dwie trzecie. Uwodzicielski ekspedient uśmiechał się i wydał resztę w bardzo drobnych, metalowych monetach. Uroczo pomylił się przy ich odliczaniu (i jemu udzielił się czar tej chwili), ale błyskawicznie się poprawił. Był przy tym taki męski. . . Karolina wychodziła ze sklepu lekko chwiejącym się krokiem. Szarmancki młodzieniec odprowadził ją namiętnym wzrokiem aż do drzwi, czuła to jego niesamowite spojrzenie na swoich plecach. . . Szła ulicami, kręciło jej się lekko w głowie, a na dnie torebki brzęczały metalowe monety. Karolina dumna była ze swojego szaleństwa. Kurczowo ścisnęła kolorową reklamówkę z zakupami i śmiała się do przechodniów. Czuła wciąż zapach jego wody po goleniu, a każdą komórką swego ciała - żar jego ognistych spojrzeń. Ludzie patrzyli na nią podejrzliwie i nieprzyjemnie, ale nie przejmowała się tym. Była zbyt szczęśliwa.

W domu zawartość torby i torebki wysypała na podłogę. Kupione rzeczy były . . . koszarne !!! Były to po prostu drogie i wyjątkowo tandetne łachy, w dodatku zupełnie nie pasujące do stylu i osobowości Karoliny. Czegoś w tak złym guście Karolina dawno nie widziała. Teraz już wiedziała czemu tak dziwnie na nią patrzył. Nie można inaczej patrzeć na kogoś, kto za taką cenę kupuje taki kicz, taki beczynny. Karolina poczuła, jak pieką ją policzki. Były rozpalone i z pewnością bardzo czerwone. Z lustra spojrzała na nią drobna, niepozorna okularnica o nieprzeciętnym intelekcie i jak najbardziej przeciętnej urodzie. Miała rzeczywiście rozpalone szkarłatnym rumieńcem policzki, potarganą grzywkę i szare oczy, patrzące nieprzytomnie sponad zaparowanych okularów.

- Cóż, nie od razu Kraków zbudowano - odezwał się w niej duch zdrowego racjonalizmu. - Szaleństwa i spontaniczności również trzeba się nauczyć!

Karolina pomyślała też, że przecież nie wypadało tak wejść tylko do sklepu i nic nie kupić!! W końcu po to wchodzi się do sklepu, aby coś w nim jednak kupić. . . !!? No bo przecież nie dla przyjemności!! . . . ? A tak na marginesie, to spojrzenie tego ziębki za ladą od razu wydało się jej nieprzyjemne i podejrzane (swoją drogą ten ziębka był równie tandetny jak ciuchy, które sprzedawał).

Jeszcze raz popatrzyła na kolorowe szmaty, walające się po podłodze, i pobierała rozrzucone metalowe monety. Obliczyła, ile wydała (sporo!), potem obliczyła, ile powinno jej zostać. Pomimo jednak trzykrotnego rachowania, w pamięci i na kartce, wielokrotnego przeliczania słupka metalowych monet oraz obszukania wszystkich kątów pokoju, wciąż brakowało okrągłej sumki, składającej się, bagatelą, z dwóch pięciozłotówek. - Toż to sześć zeszytów, a dołożyć jeszcze trochę i masz całkiem dobrą książkę - myślała rozżalona Karolina. Na kolanach więc przeszukiwała podłogę, centymetr po centymetrze. Ale ponowne poszukiwania nie przyniosły oczekiwanych rezultatów. Karolina siadła ciężko na tapczanie. Wiedziała, że nie zgubiła tych pieniędzy. Wysypała je od razu do torebki. Zresztą była przecież zbyt rozsądna, aby gubić pieniądze. Niemal z wściekłością upchnęła w najdalszym kącie szafy te szkaradne, obskurne łachy. Nienawidziła ich, jak

ich teraz nienawidziła! J e g o również!! Wiedziała już, co oznaczało to pożegnalne spojrzenie. A t o bardziej bolało niż głupia strata tych pieniędzy. . .

Niebo powoli ciemniało. Zapadał czerwcowy, granatowy zmierzch. Pod oknem słyhać było krzyki jakichś małych. Karolina siedziała na tapczanie. Na biurku od wczoraj leżała otwarta książka. . .

Gdynia 20.06.1996

OPOWIADANIE BEZ TYTUŁU

W małej, wypełnionej mdłym światłem i oparami papierosowego dymu, podrzędnej speluncie „Ambrozja”, jak zwykle pełno było młodych ludzi, którzy w wyśmienitych humorach popijali piwo i głośno śmiejąc się, wymieniali między sobą dowcipne uwagi. Smutną wiadomość, że Marek jest prawie umierający, przyniosła Kaśka. Towarzystwo spojrzło na nią z niedowierzaniem, po czym wybuchnęło śmiechem.

- Ja nie żartuję - powiedziała Kaśka. - Jego matka jest załamana.

Radek spojrział mętnie w prawie pustą butelkę po piwie.

- Dobry był z niego chłopak - rzekł schrypiętym głosem.

- Mówisz, jakby on już nie żył - powiedziała z wyrzutem Magda, zaciągając się dymem z papierosa.

Przy stoliku zapanowała smętna konsternacja. Brzdąkania wesolej muzyki, dolatującej zza lady barmana, i śmiech dookoła, stały się wyraźniejsze.

- Zamknąć się hołota ! - wrzasnęła nagle pijackim głosem Andrzej i, lekko chwiejąc się, wstał ze swego miejsca. Ponieważ knajpka była niewielka, a Andrzej miał głos donośny, zrobiło się zupełnie cicho.

- Sam jesteś hołota ! - odkrzyknął mu ktoś spod okna.

Andrzej nie odpowiedział, podniósł powoli głowę i rzekł:

- NASZ KUMPEL UMIERA . . . !!

Kaśka spojrziała na niego ze wzruszeniem. Nawet nie skażone inteligencją twarze bramkarzy zdawały się wyrażać coś w tym rodzaju. Andrzej skinieniem głowy podziękował za okazany jego słowom szacunek.

- . . . Wypijmy więc za jego zdrowie !! - dokończył i miękko, ale precyzyjnym ruchem wychylił do dna swoją butelkę. Rozległ się szyderczy, dziewczęcy śmiech z końca sali, zaś całe towarzystwo radośnie i ochoczo stuknęło się ciemnymi, matowymi butelkami. Zapanował poprzedni gwar. Większość znała i lubiła Marka, a wszyscy chętnie pili jego zdrowie.

W tym samym czasie Marek w samotności walczył z gorączką, która pod wieczór znacznie wzrosła. Jego matka zmieniała zimne okłady i załamywała ręce.

- Oj, synku - powtarzała cicho - mówiłam ci, abys nie wólczył się ciągle poza domem, a teraz widzisz, dograłeś się. O mój Boże! - Kobieta rozszlochała się.

- Niech mama przestanie - zniecierpliwził się chory. - Przecież wreszcie jestem w domu, jak mama zawsze chciała!

- I co z tego, jak niedługo znowu stąd odejdziesz i to już na zawsze. - Matka Marka otarła łzy i spojrzała błagalnie w brudny sufit. - Owszem grzeszył wiele, ale nie zasłużył na to, Boże!

- Mamo - powiedział Marek. Chciał się podnieść i pogłodzić ją po głowie, ale nie dał rady, był zbyt osłabiony. - Niech mama przestanie, przecież lekarz mówił, że nic mi nie będzie.

Ale matki Marka nic nie mogło już uspokoić, rozplakała się tym razem na dobre i wybiegła z pokoju wołając: - A co one, te doktory, wiedzą!

I nie myliła się. Doktor początkowo zupełnie zbagatelizował sprawę, zalecając wytrzeźwienie. Potem zaś, wezwany na wizytę prywatną do domu wskutek gwałtownego pogorszenia się stanu chorego, swą własną niewiedzę pokrywał serią łacińskich nazw leków i marsowym, skupionym wyrazem twarzy. Śpiesznie pobrał należność za wizytę, przypomniał sposób zażywania lekarstw i szybko opuścił mieszkanie chorego, rzucając zdawkowe: „Pani się nie martwi, wszystko będzie dobrze. Chłopak wyjdzie z tego, zobaczy pani!”

Biadolenie matki trochę psuło humor Markowi. Był zawsze zdrow jak ryba. Wierzył więc, że i teraz nie jest to nic poważnego. I chociaż nieraz na wskutek ataku gorączki czuł się jak po sporej dawce alkoholu, chociaż słabł coraz bardziej, a choroba przeciągała się już zbyt długo, to wciąż nie wierzył, że to może być koniec. Właściwie nawet o tym nie myślał. Bardziej martwiło go to, że już od dwóch tygodni nie był w „Ambrozji” . . .

Wyśmiewając się jednak z obaw matki, czuł czasem coś na kształt niepokoju. A jeśli rzeczywiście to już koniec? Myśl ta trochę go przerażała. Chociaż nieraz przechwalał się, że nie boi się śmierci, i że dłużej niż do trzydziestki nie dociągnie, ten swój „koniec” wyobrażał sobie jednak nieco inaczej. Może żał mu też było trochę matki. Jak zniósłaby ten kolejny policzek od życia ta drobna, spracowana kobieta? Kobieta, bezskutecznie próbująca związać koniec z końcem i równie bezskutecznie starająca się pogodzić męża-alkoholika z synem-pijakiem . . .

Wszystko to sprawiało, że Marek czuł się trochę nieswojo, a co najgorsze - zupełnie bezsilny.

Rano poczuł się jednak znacznie lepiej. Biadolenia matki nie popsuky mu więc humoru. Wydrwił je po prostu.

Potem, ponieważ uczył senność, zdrzemnął się na moment.

Gdy się obudził, czuł się rześki i pełen energii. Stan ten sprawił, że nie zdziwiła go zupełnie obecność nagiej, mocno umalowanej, młodej kobiety, siedzącej w drugim końcu jego łóżka. Dziewczyna była niewysoka, ale cudownie zbudowana. Widok jej kształtnych, krągłych bioder i pięknego, dużego biustu ożywił młodzieńca jeszcze bardziej. Sexowne, nagie dziewczę zbliżyło się . . .

- Snem jesteś czy jawą? - zawołał Marek, zafascynowany, mającymi się swobodnie przed jego nosem, jędrnymi piersiami cudownej istoty.

Dziewczę usadowiło się na klatce piersiowej chorego, kokieteryjnie zmrużyło mocno wymalowane oczy i rzekło: - Jawą!

Marek, będący wciąż pod wrażeniem imponującego biustu, nie zauważył, jak mignęły w demonicznym uśmiechu ostre niczym igiełki, drobne, białe ząbki dziewczyny.

- Kim więc jesteś? - zapytał coraz bardziej zaciekawiony.

Sexowna istota przechyliła zalotnie głowę na bok i, bawiąc się długimi, jasnymi włosami Marka rozrzuconymi swobodnie po poduszce, powiedziała powoli :

- Jestem tą, którą ogląda się w ostatnich godzinach swego życia! Bowiem kiedy wezmę cię w swoje obroty, mój przystojniaczku, obudzisz się już na Tamtym Świecie . . . - Dziewczyna nachyliła się lekko. - Twój czas nadszedł! - szepnęła.

- O rany! - zawołał Marek, któremu piękno ciała młodej kobiety, siedzącej mu na piersi, przesłoniło właściwy sens jej słów. - Warto i umrzeć dla takiej jak ty! Kurcze pieczone! -Rozochocony młodzieniec ściągnął w dół dziewczynę i wycisnął na jej ustach pożądliwy, namięty pocałunek. Marka zdziwiło trochę zimno jej warg . . . Zakręciło mu się w głowie i poczuł, że traci przytomność. Korzystając z tego, zarumieniona dziewczyna wyrwała się z jego objęć i, trzęsąc obfitym biustem oraz bujnymi, bladeżółtymi lokami, wyskoczyła z łóżka.

- Na Wiekuistego! - zawołała przerażona. - Ty w ogóle nie wyglądasz na umarlaka!

Chłopak rzeczywiście nie wyglądał na kogoś, kto ma umrzeć. Choć był bardzo osłabiony, prezentował się wyjątkowo dobrze. Długotrwała gorączka wyostrzyła mu rysy, a jego lalkowatą, idealną wręcz, urodę ożywiła jakimś niesamowitym tchnieniem mrocznej, wzywającej go do siebie potęgi.

- O kurcze! - powiedział Marek, zdumiony wrażeniem jakie zrobił na nim ten pocałunek. Podniósł się na łokciu i spojrzał z uznaniem na dziewczynę. Ta stała niepewnie koło łóżka i patrzyła na młodzieńca z lękiem, ale i ze zdziwieniem. Marek po raz pierwszy dostrzegł jej twarz. Była to krągła, puculowata twarzyczka o małym, zadartym nosku i dużych, mięsistych wargach, umalowanych ciemną, błyszczącą szminką. Dziewczyna miała lekko skośne, bładoniebieskie oczy i była bardzo, bardzo blada. Skóra jej miała ledwo zauważalny, delikatny, siny odcień, choć na policzkach czerwieniła się teraz lekko.

- Masz piękne oczy - powiedział Marek z uśmiechem wytrawnego podrywacza. - Wiedziałaś o tym?

Dziewczyna zarumieniła się jeszcze bardziej. On też miał piękne oczy. Ich rozpalone spojrzenie zmusiło ją do spuszczenia wzroku i zainteresowania się budową podłogi.

- Chyba zaszło nieporozumienie . . . - wybąkała wreszcie niezręcznie, nie patrząc na młodzieńca. - Musiałam pomylić zlecenia . . . Teraz tak łatwo zablądzić i pomylić się . . . Wszystkie bloki są takie same . . .

- Nie odchodź jeszcze - powiedział Marek łagodnie. Ton ten zawsze odnosił zamierzony skutek.

- Muszę - odrzekła dziewczyna, przestępując nerwowo z nogi na nogę.

- Ale wrócisz?

- Wrócę.

- Obiecujesz?

- Tak.

- Będę czekał z utęsknieniem - powiedział Marek, a gdy dziewczyna zniknęła, mimo ogólnego osłabienia, poczuł się tak dobrze jak nigdy jeszcze dotąd.

Tymczasem sexowna dziewoja, dręczona całą gamą sprzecznych odczuć, mknęła już poprzez przestworza. Zmierzała ku Skrajowi Nieba. Tam, w kłębach pierzastych, śnieżnobiałych chmur, siedział na Kryształowym Tronie postawny, niemłody już mężczyzna. Jego melancholijne oblicze tchnęło spokojem i harmonią. Był to ABSOLUT. Patrzył właśnie ze smutkiem na ostatnie promienie słońca, które zachodziło powoli po tej stronie globu, by z drugiej jego strony zajaśnieć pełnią blasku.

Pojawienie się dziewczyny wyrwało mężczyznę z zadumy.

- Witaj, ŚMIERCIONOŚNA DZIEWOJO! - powiedział tonem ledwo dosłyszalnej drwiny, gdy dojrzał przybyłą oraz jej okazałe, niczym nie osłonięte wdzięki.

- Witaj, Absolucie! - zawołała Śmiercionośna Dziewoja, która odzyskała już równowagę ducha, a także swój ostry niczym sztylecik, giętki języczek. - Jak wiesz, panie, jestem autorką, nagrodzonej przez Niebiański Mecenat Inicjatyw Kreatywnych, metody bezstresowego i przyjemnego odbierania życia istotom żyjącym. Metoda ta, mająca na celu zminimalizowanie lęku towarzyszącego przejściu na TAMTEN ŚWIAT, działa bez zarzutu i, jak na razie, sprawdza się w stu procentach! Przybyłam tu jednak nie, aby się chwalić, ale aby złożyć zażalenie! Otóż w twojej kancelarii, panie, zaszło niedopatrzanie, w wyniku którego otrzymałam złe wytyczne

i błędne zamiary, przez co o mało nie zabrałam życia nie tej istocie ludzkiej, której należało! Mniemam, iż była to zwyczajna omyłka, nie zaś celowa i złośliwa akcja, mająca na celu utrudnienie mi wcielania w życie mojego nowatorskiego i autorskiego planu!

Absolut uśmiechnął się pod wąsem: - Zaraz sprawdzimy to, moja droga! Za rozesłanie zleceń odpowiedzialny jest POSŁANIEC WIECZNOŚCI! Gdzie on się znowu podział! - zawołał Absolut i klasnął dwa razy w dłoń.

Po chwili z chmur sfrunął szczupły i smukły, skrzydlaty młodzieniec o krótkich, szarych lokach i bladej cerze.

- Wzywałeś mnie, mój panie? - zapytał skrzydlaty młodzieniec delikatnym, przytłumionym głosem.

- Owszem, mój drogi - powiedział Absolut, z błyskiem w oku obserwując nadąsaną twarzyczkę Śmiercionośnej Dziewoi. - Otóż zaszło małe nieporozumienie. Nasza droga koleżanka twierdzi, iż została wprowadzona w błąd i oskarża nas o świadome utrudnianie realizacji jej nowatorskiego planu bezstresowego uśmiercania.

Posłaniec Wieczności zaczerwienił się i spojrzał nienawistnie na dziewczynę.

- Spełniam tylko odgórne zarządzenia! - powiedział wyniośle. - Wszelkie pomyłki są wykluczone.

- Jak więc wytłumaczycie mi fakt posłania mnie do pełnego życia i sił vitalnych, młodego człowieka, który nie dość, że nie ma zamiaru umrzeć, to jeszcze czyni mi nieprzyzwoite propozycje!

Skrzydlaty młodzieniec zachichotał złośliwie.

- Czyż nie na tym polega twoja nowatorska metoda? - zapytał.

Dziewczyna naburmuszyła się jeszcze bardziej.

- Celem mojej działalności jest tylko i wyłącznie uprzyjemnianie ostatnich chwil konającym osobnikom płci męskiej i nie poza tym - powiedziała chłodno.

- Przyznasz, że można rozumieć to dość szeroko - zauważył zgryźliwie Posłaniec Wieczności.

- ALEŻ JESTEM JEDNĄ Z WYŚLANNICZEK ŚMIERCI, a nie jakąś tam puszczałką lafiryndą! - zawołała z oburzeniem Śmiercionośna Dziewoja. - Chlubię się moim dziewictwem i czystością mej moralności! Skrzydlaty młodzieniec spojrzał na nią ironicznie.

- Poza tym współżycie ze mną, EMISARIUSZKĄ ŚMIERCI, i tak zabiłoby tych nieszczęśników! - dodała dziewczyna, czerwieniąc się nie wiadomo czemu. - Zresztą nie powinni oni być już zdolni do jakiegokolwiek aktywności, zwłaszcza seksualnej!

- Cóż, różne przypadki zdarzają się nam na Tym Świecie - powiedział zagadkowo Absolut.

- Mój plan przewiduje tylko spokojne i przyjemne odejście na Tamten Świat istot ludzkich! - zawołała Śmiercionośna Dziewoja, potrząsając wojowniczo wielkimi piersiami. - Inic więcej!! Zaś podsyłanie mi jurnego, niewyżytego seksualnie, męskiego, człowieczego ogiera jest po prostu świństwem i podłą złośliwością!! . . . Mój projekt został nagrodzony - dodała jakoś płaczliwie - i, czy to się komuś podoba czy też nie, będę go wcielała w życie. Każdy mógł wysunąć swój projekt modernizacji naszej działalności! Skoro więc nie był do tego zdolny, niech mi nie przeszkadza w urzeczywistnianiu mojego pomysłu!

- Chyba sobie przypominam - powiedział cierpko Posłaniec Wieczności. - Chodzi o Marka Słupeckiego. To erotoman i zigorak, a WSKAZÓWKI OPATRZNOŚCI z pewnością ukazały na jego właśnie życie!!

Pośród chmur, jak na monitorze, pojawiła się bezczelna, ale ładna twarz jasnówłosego, znów jak dawniej zadowolonego z siebie, beztroskiego Marka. Śmiercionośna Dziewoja ponownie lekko się zarumieniła.

- Teraz rozumiem twoje opory - powiedział z dziwnym uśmiechem Absolut. - Chłopak rzeczywiście jest ładny, ale umrzeć musi. A ty, moja droga, jesteś tylko narzędziem w rękach Opatrzności. Nie zapominaj o tym. Ale oczywiście jeżeli nie dorosłaś do spełniania powierzonych ci zadań, możesz zawsze zrezygnować. Poradzimy sobie bez ciebie.

Pozbawione tęczówek, wąskie oczy Posłańca Wieczności zaśmiały się złośliwie.

Absolut przyglądał się tymczasem przystojnemu, długowłosemu śmiertelnikowi uważnie i z ciekawością. Zauważywszy to, skrzydlaty młodzieniec nieznacznie naburmuszył się i, jakby niechcący, zlikwidował obraz.

- Jak widzisz, droga koleżanko - powiedział - nie ma więc mowy o żadnej pomyłce, lub sabotowaniu twoich działań!

Absolut znowu się uśmiechnął, tym razem jakby sobie coś przypominając.

- Bądź jednak ostrożna - ciągnął dalej Posłaniec Wieczności nadmiernie troskliwym tonem. - Jak sama widzisz, jest to niezwykle silny organizm i kto wie, czy tym razem skończy się tylko na niewinnym kokietowaniu . . .

Absolut zachichotał:

- Młodzieniec ten złamał serce niejednej kobiecie! Ach, ale zapomniałem, że ty nie jesteś kobietą . . .

Śmiercionośna Dziewoja spojrzała na nich obu z pogardą i, nic nie mówiąc, ruszyła z powrotem na Ziemię.

W umyśle jej kołatało się mnóstwo dziwnych myśli.

- „A więc to jednak na jego życie padł cień Wskazówek Opatrzności. Więc to jednak musi być on.” - pomyślała i uczuła niezrozumiały żal.

Mimo woli przejrzała się w jednym z Niebiańskich Zwierciadeł, tak licznych w bezkresach przestworzy, i poprawiła roztrzepane loki.

- „A jeśli on patrzy na mnie nie jak na zjawę, a jak na zwykłą ludzką istotę, której kształty przecież posiadam?” - pomyślała nagle z przestachem. Myśl ta rozlała się paralizującym chłodem po całym jej ciele, ale i napełniła duszę jakąś błogą słodyczą . . .

Dziewczyna otrząsnęła się jednak z tego stanu i przyspieszyła swój pęd ku Ziemi.

- „Grunt, że to nie było złośliwe sabotowanie mojej akcji.” - pomyślała i po chwili przez uchylony lufcik wślizgnęła się do M-3 państwa Ślupeckich.

Marek rozanielony leżał sobie nadal w łóżku i oglądał jakiś film o tematyce wojennej. Na ekranie krew lała się gęsto, a odgłosy strzałów i wybuchów zlewały się w jedną, niemal niekończącą się kanonadę.

Młodzian przywitał dziewczynę czarującym, promiennym uśmiechem.

- Jesteś - powiedział szczerząc białe, zdrowe uzębienie.

- Na twoim miejscu nie cieszyłabym się z tego - odpowiedziała Śmiercionośna Dziewoja, a w jej bładoniebieskich oczach błysnęło coś na kształt smutku.

Powoli zbliżyła się do Marka i siadła obok niego na łóżku.

Słyszała teraz wyraźnie bicie jego serca. Widziała zielone, rozognione oczy młodzieńca. Potem uczyła jego gorące wargi na swoich, lodowato zimnych . . .

Wciąż słyszała powoli słabnące uderzenia namiętnego, człowieczego serca . . .

Obezwładniająca błogość opanowała ich dusze . . .

Markowi znów zakręciło się w głowie, a przed oczami zawirowały ciemne platy. Jego serce biło coraz słabiej . .

Dziewczyna zerwała się gwałtownie i odepchnęła go od siebie.

- Nie mogę! - zawołała żałośnie.

Wpatrzony w jej falujący biust Marek powoli dochodził do siebie.

- Totalny odjazd! - powiedział. - Jak ty to robisz?

- Muszę ci coś powiedzieć - rzekła Śmiercionośna Dziewoja. - Ale nie będzie to nic miłego i nie bardzo wiem, jak to zrobić.

- Wal śmiało - powiedział Marek. Z błogością utkwiał wzrok w suficie i słuchał powoli powracającego do normy rytmu uderzeń swojego serca.

- A więc jestem zjawą! - powiedziała dziewczyna i zastanowiła się, czy już tego przypadkiem mu nie mówiła. Ciągnęła jednak dalej. - Jestem duchem, zmorą, nie wiem jak to jeszcze inaczej nazwać, zmorą, która zjawia się ludziom przed śmiercią i pomaga im przenieść się na Tamten Świat. Otóż jestem tu, aby cię ZABIĆ!!!

- To mi nie przeszkadza - powiedział Marek. - Chodź tu! Chcę jeszcze raz. Jesteś niesamowita!!

Dziewczynie opadły bezradnie ręce, a jej blada twarz stała się całkiem czerwona.

- Do twarzy ci z tym rumieńcem - rzucił szarmancko Marek i chwycił dziewczynę za rękę. - Ale ty masz zimne ręce! Pazurki też masz nieliche - powiedział, z zaciekawieniem obserwując bardzo długie, pomalowane na czarno paznokcie swego gościa.

- Dopiero zaczynam swoją pracę - powiedziała Śmiercionośna Dziewoja ze łzami w oczach. - Nie mam jeszcze doświadczenia i nie wiem co robić z takimi przypadkami jak ty . . . Nie masz prawa tego . . . tego wykorzystywać. Słyszysz !

Ale Marek nie słuchał.

- Czy wiesz, że utrudniasz mi wykonanie mojego zadania - wyszeptwała dziewczyna i rozplakała się.

- Tylko nie płacz - powiedział cicho Marek, odgarniając z jej twarzy kilka niesfornych loków. - Po prostu podobasz mi się, ot i wszystko!

Dziewczyna spojrzała na niego zapłakanymi oczyma.

- Naprawdę? - zapytała cicho.

Marek uśmiechnął się i na znak potwierdzenia przytknął oczy:

- Czy to takie dziwne?

- Nie wiem - odpowiedziała Śmiercionośna Dziewoja. - Nikt mi tego nigdy jeszcze nie mówił . . .

Nagle jakby sobie coś przypomniała:

- Masz chusteczkę?

Marek skinął głową. Dziewczyna wstała i podeszła do lustra.

- Wyglądam teraz jak prawdziwy upiór - powiedziała i chusteczką zaczęła poprawiać rozmazany makijaż.

Marek patrzył za nią i wciąż się uśmiechał.

Dziewczyna, doprowadziwszy się do porządku, odwróciła się i nadal jeszcze lekko zarumieniona spytała:

- Ale mówisz prawdę?

- Najszczerzą! - powiedział Marek. - Nie spotkałem jeszcze takiej dziewczyny jak ty. Zobacz, jak mi serce wali - rozpiął pidżamę i, ukazując na lewą stronę swej muskularnej klatki piersiowej, powiedział: - Bije tak dla ciebie! Chodź i sama posłuchaj, skoro nie wierzysz w moje słowa!

Dziewczyna uśmiechnęła się i spuściła oczy.

- Poczekasz na mnie? - zapytała.
- Choćby i wieczność - odpowiedział młodzieniec. Dziewczyna na pożegnanie rzuciła mu pełne ciepła spojrzenie i zniknęła.
Marek wyciągnął się wygodnie w łóżku.
- „Głupiutkie to strasznie, ale jakże urocze!” - pomyślał. - „A jak całuje . . .”

Tymczasem Śmiercionośna Dziewoja z energią właściwą wszystkim zakochanym kobietom frunęła wśród obłoków, aby stanąć przed pełnym majestatu i godności obliczem Absolutu.

Na Kryształowym Tronie wylegiwał się jednak Posłaniec Wieczności.

- Gdzie twój pan? - zapytała go dziewczyna.
- Relaksuje się - odparł flegmatycznie skrzydlaty młodzieniec. - Teraz ja go zastępuję !
- Wolałabym jednak mówić z Absolutem!
- To niemożliwe - skrzywił się Posłaniec Wieczności. - Jesteś zbyt mało ważnym duchem, aby dla ciebie mój pan tracił czas przeznaczony na odpoczynek.
- Lekceważycie mnie, bo jestem duchem żeńskim!
- Ależ to śmieszne zarzucać na TYCH WYSOKOŚCIACH komukolwiek SEXIZM - ospale odpowiedział młodzian, delektując się smukłym kształtem swych stóp.
- Moja sprawa jest bardzo ważna! - zawołała dziewczyna.
- Każdy tak mówi o swojej sprawie. Pozwól więc mi to ocenić.

Dziewczyna nabrała powietrza w płuca i wykrzyknęła:

- Nie zabiję tego młodzieńca!
- O! - Posłaniec Wieczności zmarszczył się z przekąsem. - Jesteś, jakbyś zapomniała, tylko biernym narzędziem w rękach Opatrzności. Musisz więc być ślepo posłuszna jej wyrokowi. Ty NIE MASZ własnej woli - powiedział obojętnie, oglądając teraz swoje delikatne dłonie.
- Chcę prosić o wymianę jego życia na życie kogoś innego.
- To wbrew przepisom.
- Nie można uśmiercić jakiegoś dogorywającego staruszka zamiast niego? - błagalnie spytała dziewczyna.
- To absolutnie niemożliwe.
- Dlaczego?
- Bo to wbrew przepisom!
- Przecież to tylko jedno życie, cóż ono znaczy dla ogólnego planu odmaterializowania istot żywych?
- Właśnie dlatego, że nic nie znaczy w skali globalnej, tym bardziej nie ma co się nad tym zastanawiać - odparł młodzieniec. - To zresztą wbrew przepisom.
- Nie pozwolę go zabić! - krzyknęła dziewczyna.
- Co tu się dzieje! - zawołał Absolut, który nagle wyłonił się zza pobliskiego obłoku. Posłaniec Wieczności błyskawicznie zerwał się z Kryształowego Tronu i lekko zaczerwieniony powiedział: - Koleżanka próbuje wymóc na mnie złamanie przepisów i śmiercią innego osobnika ludzkiego chciała kupić życie dla pewnego nędznego człowieczego pomiotu.

Absolut spojrział przenikliwie na dziewczynę. W jego oczach zaigrały drwiące iskiereki.

- Chodzi o tego blond przystojniaczka? - zapytał, uśmiechając się pod wąsem i sadowiąc na Kryształowym Tronie.

Przez twarz Posłańca Wieczności przebiegł ledwo zauważalny skurcz.

- Chodzi o tego playboya, hulakę, erotomana i nicponiowatego żigolaka w jednej osobie - szybko wyrecytował.

Absolut znów uśmiechnął się wśród bujnego zarostu. Biorąc to za dobrą wróżbę, Śmiercionośna Dziewoja zawołała:

- Tym bardziej musi mieć czas na poprawę. To dobry chłopak, gdybyś, panie, widział jego oczy . . .
- Mieszasz pojęcia, dziecko - rzekł Absolut. - Śmierć jest ślepym wyrokiem Opatrzności i nie ma nic wspólnego z postępowaniem danej istoty. Po prostu Wskazówki Losu rzucają cię na jej życie . . . - Absolut nagle zamyślił się. - Poświęciłabyś czyjeś istnienie dla tego człowieka? Odebrałabyś życie komuś innemu, aby uratować tego młodzieńca? - zapytał po krótkiej chwili milczenia.

Śmiercionośna Dziewoja zarumieniła się lekko i spuściła wzrok.

- Tak - powiedziała cicho, ale stanowczo. Podniosła powoli swe bladoniebieskie oczy, w których czaiła się niema, gorąca prośba. - Przecież to mój zawód. Wprawdzie dopiero zaczynam, ale zabijałam już niejednokrotnie.

- Skoro więc to dla ciebie takie proste, dlaczego nie potrafisz unicestwić tego jednego, wybranego przez Opatrzność, śmiecia ludzkiego? - zapytał drwiąco Posłaniec Wieczności.

Dziewczyna znów się zarumieniła i nic nie odpowiedziała. Nie potrafiła bowiem odpowiedzieć na to pytanie.

- Ulegasz emocjom, dziecko - rzekł Absolut już bez uśmiechu. - Czy wiesz, co grozi za łamanie praw Opatrzności?

Posłaniec Wieczności uśmiechnął się nieprzyjemnie.

- Utrata posady i karne zesłanie w NICOŚĆ! - dokończył Absolut. - Będziemy jednak pobłażliwi i zapomnimy o twojej prośbie. A skoro ty nie jesteś zdolna powołać tego młodego człowieka na Tamten Świat, obejdziemy się bez ciebie. Zrobi to ktoś inny.

- Nie pozwolę na to! - zawołała dziewczyna. - Odwołam się do samego STWÓRCY!

- Drogie dziecko! - spokojnie odrzekł Absolut. - Stwórca z pewnością nawet nie zechce cię wysłuchać. Zbyt zajęty jest STWARZANIEM nowych światów w odległych przestworzach Kosmosu.

Dziewczyźnie pociemniało przed oczami.

- Ależ nie martw się - powiedział słodko Posłaniec Wieczności. - Twój kochaś powędruje przecież do LEPSZEGO, DOSKONALSZEGO ŚWIATA . . .

- Skąd TY możesz TO wiedzieć! - odezwał się nagle ostry kobiecy głos. - Przecież NIKT Z NAS nie widział Tamtego Świata. Nikt z nas nigdy tam nie był. I tak naprawdę nikt z nas nie wie, czy ten Drugi Świat W OGÓLE ISTNIEJE! Cóż więc TY możesz wiedzieć, skoro nie wiem tego nawet JA!

Spojrzenia zebranych skierowały się ku osobie wypowiadającej te słowa. Była nią niemłoda już, ale wciąż bardzo piękna, wysoka i smukła kobieta o bardzo długich, idealnie prostych, bladożółtych włosach, które otulały ją lśniącym płaszczem, sięgającym niemal ziemi. Kobieta ta odziana była w powłóczytą, ołśniewającą białą suknię. Jej surowa, blade, szczupła twarz nie wyrażała żadnych uczuć, zaś jej szare, beznamiętne oczy rzuciły zgromadzonym wyniosłe, pełne godności spojrzenie.

- Naszym zadaniem jest jedynie wyprawianie istot żywych z Tego na Tamten Świat. Zaś o tym Drugim LEPSZYM Świecie nawet my sami nie wiemy zupełnie nic - dokończyła zimno kobieta.

- Ciociu! - zawołała radośnie Śmiercionośna Dziewoja.

Absolut skrzywił się nieznacznie na widok nowoprzybyłej.

- Cóż skłoniło cię, pani, do zaszczylenia nas swą obecnością? - zapytał z przekąsem.

- Przebywałam w tej okolicy - odpowiedziała blade, wysmukła kobieta. - Zresztą nie muszę się tłumaczyć przed tobą, panie!

- Ależ nie śmiałybym tego wymagać, pani. Tylko spytałem - powiedział Absolut.

- To dobrze - odrzekła ŚMIERĆ, gdyż ona to była we własnej osobie. - Nie chciałabym przerywać tej pasjonującej konwersacji, ale moim skromnym zdaniem, wymiana dusza za duszę jest uczciwą propozycją.

- Ale wbrew przepisom! - zaperzył się Posłaniec Wieczności.

- TU nie ma przecież ŻADNYCH przepisów, młody zapaleńcze! - powiedziała powoli Śmierć. - Tu nie ma żadnych reguł. Tu rządzą ślepe wyroki Opatrzności, których wykonanie zależy tylko od nas.

- Dobrze wiesz, że Stwórca nie pochwała takiej samowoli - rzekł zimno Absolut.

- Ależ sam raczyłeś zauważyć, że WIEKUISTY pochłonięty jest obecnie kreowaniem nowych światów. Nie zwraca więc zupełnie uwagi na takie błahostki, jak nieco swobodniejsze potraktowanie rozwiązań, sugerowanych nam przez Opatrzność. Zresztą w ostatecznym rozrachunku liczą się przecież i tak tylko i wyłącznie procentowe dane statystyk.

Absolut spojrzał na nią posepnie.

- Wytłumacz mi tylko, dlaczego, z jakiej racji ma zginąć ktoś inny? - zapytał. - Czy tylko i wyłącznie, aby spełnić kaprys tej małej, mamy poświęcić życie innej istoty?

- Skoro wyroki Opatrzności są ślepe, cóż to za różnica?

Absolut nie odezwał się. Śmierć uśmiechnęła się lodowato.

- Cóż, zawsze mogą zginąć wszyscy. Mała katastrofa nuklearna nie powinna sprawić mi kłopotu.

- Grozisz mi?

- Nie, jedynie ostrzegam.

- Nawet ty nie odważyłabyś się na coś takiego - powiedział poważnie Absolut.

- Ależ dlaczego? To byłoby nawet zabawne.

- Wiekuisty ukarałby cię za tak ogromną samowolę.

- MNIE? - zdumiała się ironicznie Śmierć. - Ależ JA jestem mu POTRZEBNA. Jak inaczej pozbywałby się wszystkich swoich nieudanych tworów? Czyż jest inny, lepszy sposób niż ich unicestwienie?

Śmierć utkwiała mętne źrenice w twarzy swojego rozmówcy.

- JA sumiennie spełniam swoje obowiązki - dodała powoli. - Wprowadziłam ostatnio nawet kilka innowacji . . .

- O tak! Bezstresowe umieranie! - skrzywił się złośliwie Absolut.

- Przyznaję, - wtrąciła Śmiercionośna Dziewoja - że mój plan zawiódł. Ale teoretycznie był bez zarzutu . . .

- Nie igras się z uczuciami, jeśli nie umie się nad nimi zapanować - rzekła z gorzkim uśmiechem Śmierć. Dziewczyna spuściła głowę. Śmierć ponownie spojrzała na swego adwersarza. - Sam jednak widzisz, że jestem ROZWOJOWA i otwarta na nowe pomysły moich współpracowników. A że plan Wiekuistego wypełniłabym z pewnym wyprzedzeniem naprzód . . . - Śmierć zmrugała oczy jak ktoś, kto się nad czymś zastanawia. - Nie, o siebie bym się nie niepokoiła. Gorzej z TOBĄ! To ty jako zastępca Wiekuistego na tym ziemskim padole nieco się zaniedbujesz. Zjawiska i procesy Tego Świata zawsze wymykały ci się spod kontroli. Ostatnio jednak

twoja nieudolność zauważalna jest coraz wyraźniej. A kto wie, czy małego kataklizmu, spreparowanego przeze mnie, nie dałoby się wytłumaczyć właśnie jako smutną konsekwencję twych zaniedbań?! Cha! Cha!

- Okrutna jesteś, pani - powiedział Absolut.

Śmierć wydeła z lekceważeniem sine, wąskie wargi i spojrzała na niego drwiąco.

- Że też nigdy o tym nie pomyślałam. Coraz trudniej o atrakcyjne posady we Wszechświecie, zresztą jesteś już za stary, aby się przekwalifikować! Bezrobotny Absolut...!! Miło by było oglądać cię zepchniętego w krąg bezużytecznych, wykołojonych duchów z marginesu, które błakają się bezradne w otchłaniach Nicości. O ile, oczywiście, nie trafiłbyś w ich szeregi wcześniej, zawieszony dyscyplinarnie...

Absolut patrzył na nią ze smutkiem. W jego spokojnych oczach krył się jakby cień wyrzutu.

- Dlaczego tak ci zależy na uratowaniu tego młodzieńca? - zapytał, przerywając ciszę, która nagle zapanowała.

- Ponieważ wiem, że teraz, wraz z tym człowiekiem, umrze wszystko to, co w tej małej jest najwartościowsze - odpowiedziała Śmierć, patrząc mu prosto w oczy.

Absolut wykrzywił się z niesmakiem.

- Ty też ulegasz emocjom - powiedział chłodno.

- Nie można już ulegać emocjom, jeśli się przynosi jedynie ból i cierpienie - rzekła Śmierć. - Nie czuje się już nic, gdy niańczy się w ramionach jedynie trupy, a jednocześnie wie się, że nigdy nie zniszczy się tego, którego unicestwić by się chciało.

Absolut spuścił oczy pod naporem jej natarczywego, lodowatego wzroku. Posłaniec Wieczności spojrzał na nich oboje z lekkim niepokojem.

- Nie, ja nie ulegam emocjom. Ja już ich nie posiadam. Chcę jedynie uratować przed podobnym kalectwem tę małą.

- A więc życie za życie - powiedział Absolut.

- Co powiesz na tę śliczną niewiastę - rzekła Śmierć, ukazując na niebiański monitor. Zebrani dostrzegli tam smukłą, szczupłą dziewczynę, powoli przechadzającą się nad rzeką, jakby w oczekiwaniu na kogoś. Długie włosy dziewczyny były prawie białe, a pociągła twarz blada i pełna melancholii. - Cóż za urocza istota. Nie zdaje sobie nawet sprawy, biedactwo, że czeka ją zupełnie coś innego niż to, czego się spodziewa... Wystarczy, aby się potknęła...

- Dość! Wygrałaś! - powiedział Absolut, odwracając wzrok od twarzy ziemskiej dziewczyny.

- Podoba ci się, panie, ta nędzna człowiecza powłoka!!? - wykrzyknął zdegustowany i zdumiony Posłaniec Wieczności, lecz zaraz umilkł, napotkawszy triumfujące spojrzenie Śmierci. Teraz dopiero spostrzegł, że ona i spacerująca nad rzeką dziewczyna były do siebie uderzająco podobne. Znow zaległa cisza. Przerwał ją Posłaniec Wieczności.

- Ależ to wszystko wbrew przepisom! - zawołał.

- Nie przejmuj się - powiedział głucho Absolut. - Ta pani nadrobi tę stratę już wkrótce. Wykona swój plan nawet z nadwyżką, możesz być spokojny. Dla niej wyroki Opatrzności są tylko luźno rzuconymi, mglistymi propozycjami i nie mają nad nią żadnej władzy. Procentowo przecież wszystko będzie się zgadzało!

Śmierć uśmiechnęła się cierpko. Spojrzeli sobie w oczy twardo i zimno.

- Czemu nie zapoznasz swojego młodego przyjaciela ze wszystkimi tajnikami tej rozkosznej zabawy - powiedziała powoli kobieta. Absolut nie odpowiedział. Śmierć odwróciła się więc ku Śmiercionośnej Dziewoi.

- I cóż masz mi do powiedzenia, moja droga?

- Dziękuję, ciociu!

- Tylko tyle? A więc posłuchaj. Pozwoliłaś uczuciom zapanować nad sobą i one mają teraz nad tobą władzę. Nie będziesz już mogła wykonywać powierzonych ci zadań i nie znajdziesz już dla siebie miejsca we Wszechświecie. Możesz odejść na dobrowolne wygnanie w Nicość, lub wrócić na Ziemię, ale jako żywa istota, podlegająca tym samym prawom co wszystkie inne!!

- O tak, ciociu! Proszę! - zawołała dziewczyna.

- A więc idź, moje dziecko! I pamiętaj, że nie ucieszy cię już nasze ponowne spotkanie.

- Wiem, ciociu - odpowiedziała Śmiercionośna Dziewoja, patrząc na nią wilgotnymi oczyma. - I dziękuję...

- Przecież ON cię NIE KOCHA - skrzywił się cierpko Posłaniec Wieczności.

- Nie dowiem się TEGO, jeśli nie spróbuję! - odrzekła dziewczyna i skoczyła w dół.

Pęd powietrza rozwiął jej gęste kędziory, a chmury otoczyły nagie ciało zwiewną szatą.

Znalazła się nad szemrzącym cicho strumykiem, który płynął środkiem rozbuchanej soczystą zielenią łąki. Dziewczyna z zadowoleniem przejrzała się w płynącej spokojnie wodzie. Była teraz prawdziwą, żywą istotą!! Jej włosy stały się złotorude, sina, blada cera zaróżowiła się i nabrała zdrowego wyglądu, a oczy stały się intensywnie niebieskie i pełne blasku. Życie pulsowało i kipiało z jakąś szaleńczą zaciekłością w całym jej ciele. Zmarnowała tyle czasu, teraz musi ten stracony czas nadrobić! W oddali dostrzegła jeźdźca, galopującego na białym rumaku. Serce zabiło jej gwałtowniej na jego widok. Poznała go po włosach, złocistych, długich i rozwianych przez wiatr...

Jeździec trzymał się bardzo prosto. Jechał w jej kierunku . . .

Dziewczyna poczuła, jak gorąca fala powoli ogarnia całe jej żyjące, ziemskie ciało.

- Ciociu! - zawołała bezwiednie. - A jeśli on mnie nie pozna, jeśli nie pamięta ?

„Nigdy się tego nie dowiesz, jeśli nie spróbujesz !” - usłyszała w uszach swoje własne słowa, wypowiedziane przez nią samą przecież jeszcze przed chwilą. Nie namyślając się więc długo, dziewczyna rzuciła się naprzód, w soczystą zieleń ukwieconej łąki. Przepęłniało ją szczęście i radość, a serce wciąż biło tak mocno . . .

Śmierć patrzyła za nią smutnym, zamyślonym wzrokiem.

- Nie uchronisz jej przed rozgoryczeniem i cierpieniem - powiedział Absolut dziwnie ciężkim i jakby stłumionym głosem. - Życie często bywa równie okrutne jak ty, pani.

Kobieta spojrzała na niego badawczo i z zaciekawieniem. Ich oczy znów się spotkały, ale tym razem patrzyły na siebie zupełnie inaczej niż dotychczas. Śmierć poczuła jakby małe ukłucie w sercu. Drobny przeblysł dawno zapomnianych uczuć zamigotał w jej wypalanej duszy, a cień młodości na moment spowił jej serce swoim chłodem. Ale uczucie to szybko umarło, jak umierało wszystko, czego dotknęła ta kobieta.

Śmierć odwróciła wzrok. Absolut nie odezwał się już więcej, więc pomiędzy nimi zaległa cisza. Posłaniec Wieczności zwinnie, z gracją i jakąś zawistną zazdrością szybko stanął u boku swojego pana.

KONIEC

Gdynia 1996.03.26.

ODMIĘNCY

1

Aureolia siedziała na pniu jakiegoś drzewa. Drzewo to zapewne powaliła na ziemię jedna ze srogich i bardzo gwałtownych burz, które ostatnio coraz częściej nawiedzały Krainę Elfów. Coraz częściej?... A może to tylko Aureolia takie odnosiła wrażenie...

Dzień był pogodny, nieco rozleniwiający, jeden z tych, gdy nie wiadomo, co ze sobą zrobić. Tak przynajmniej wydawało się Aureolii. Patrzyła na metaliczną zieleń wyblakłej i zszarzałej trawy. Niebo też było wypalone słońcem.

Nie było gorąco, ale było duszno. A może to Aureolii tylko tak się zdawało?...

Rusałka siedziała na pniu jakiegoś zwalonego przez burzę drzewa.

Zębami obgryzała końcówki swych długich, zielonkawych włosów. Leśna nimfa Miranda w milczeniu przyglądała się tej czynności.

- Rozdwajają się cholery - powiedziała ze znużeniem w głosie Aureolia, oglądając swe gęste sploty. Wypłuła odgryzione końcówki.

- Trzeba będzie obciąć - rzekła leśna Miranda, a w jej głosie zabrzmiała jakby nutka złośliwego zadowolenia.

Aureolia spojrzała na nią z pogardliwą drwiną.

- Żeby wyglądać tak jak ty? - powiedziała tonem szyderczego lekceważenia.

Miranda zaczerwieniła się i z zakłopotaniem podrapała się w swą zjeżoną, zieloną czuprynę.

- Oczywiście, że obciąć! - zawołała piskliwie. - Ani to ładne, ani to zdrowe!...

- Co to, to nie - rzekła dawna królowa rusalek i nagle spoważniała. - Nie zgłupiałam jeszcze tak bardzo.

Miranda mimowolnie drgnęła. Nie lubiła, gdy głos Aureolii przybierał taki niski, cierpki, nieprzyjemny ton. Właściwie to przy Aureolii zawsze czuła się głupsza i trochę się jej bała.

Mdły blask słońca zalewał łąkę, las i niebo. Sennie brzęczały muchy.

Rusałka leniwie odchyliła głowę do tyłu i znużonym ruchem odrzuciła na plecy swe długie włosy. Spłynęły połyskliwą kaskadą w dół. Złocąc się w słońcu i wijąc się setkami pierścieni, rozsypały się po trawie. Miranda patrzyła przez chwilę oczarowana tym widokiem. Aureolia miała chyba najdłuższe włosy ze wszystkich rusalek! Gęste, lekko falujące sploty mieniły się w słońcu, a w oczach Mirandy zamajaczył wilgotny cień smutku. Aureolia była przecież taka piękna. I miała takie wspaniałe, piękne włosy...

Cienie wydłużyły się nieprzyjemnie. Tak przynajmniej pomyślała Aureolia.

Przyjaciółki milczały. Aureolia, bo nie chciało jej się nic mówić, Miranda zaś, gdyż czuła się upokorzona i urażona przytłaczającą wszystko urodą sąsiadki. Dodatkowo onieśmielona była lekceważeniem jakie tamta jej okazywała. Miranda czuła się czasem przy Aureolii jak powietrze, a więc tak jakby w ogóle nie istniała. Rusałka bowiem bardzo często zapominała zupełnie o jej obecności. Nie było to przyjemne. W odwecie za takie traktowanie Miranda pozwalała sobie na małe złośliwości w stosunku do Aureolii. Dzisiaj też chciała jej tylko po prostu dokuczyć, zdenerwować ją czymś, a może jedynie zwrócić na siebie uwagę? Bo oczywiście, że gdyby miała takie włosy jak Aureolia nigdy w życiu by ich nie ścięła. To chyba oczywiste. Sęk w tym, że właśnie nie miała...

A najgorsze, że jak zwykle wystarczyło jedno drwiące spojrzenie rusalki, jedno ostrzejsze słowo. To zawsze peszyło i zbijało Mirandę z tropu. Aureolia potrafiła być czasem taka nieprzyjemna.

Świat był właściwie szary. Słońce było szare, a właściwie blade i nijakie. Cały świat był nijaki. A może tak tylko zdawało się Aureolii.

Miranda pomyślała, że Aureolia nie ma prawa tak jej traktować. To było naprawdę nie w porządku. To nic przyjemnego być ignorowanym. Przykro jest wiedzieć, że nic się nie znaczy dla kogoś, kogo się podziwia.

Spojrzała gniewnie na Aureolię. Wzrok rusalki błędził gdzieś w pozaprzeźstrzeniach, obok Mirandy siedziało tylko ciało Aureolii, a więc martwa, choć mimo to piękna mumia. Bowiem dusza rusalki była teraz gdzieś indziej...

Zawsze to samo.

Miranda rozzłościła się i zerwała się gwałtownie ze swego miejsca.

- Przynajmniej jestem niebanalna! - wrzasnęła. - Nie powielam idiotycznego schematu powabnej nimfy! Kto powiedział, że nimfa musi być powabna! To głupie! I nikt nie ma prawa nas tak szufladkować!... A może ja wcale nie chcę być powabna!...

Miranda widziała, jak w rysy Aureolii powraca powoli życie, jak spojrzenie nic nie widzących dotąd oczu spoczęło na jej twarzy. Wypowiedź Mirandy wyrwała bowiem Aureolię z zadumy.

Rusałka rozejrzała się ze zdziwieniem dookoła.

- A ty wciąż o tym - powiedziała nagle ciężkim, znudzonym głosem. Wyděła w pogardliwym grymasie swe wąskie, blade wargi.

Nad lasem niebo gwałtownie pociemniało, było teraz granatowo-sine. Ale wciąż świeciło słońce. „Może burza przejdzie bokiem” - pomyślała Aureolia.

- A o tym! Właśnie, że będę wciąż mówić o tym - krzyczała Miranda. Miała chyba łzy w oczach.

- I czego się piekiesz - powiedziała obojętnie Aureolia. - Powiedziałam tylko, że z pewnością nigdy nie zetnę włosów. Czego jak czego, ale tego jestem całkowicie pewna. Za bardzo je lubię. A co ty nosisz na głowie, to już twoja sprawa, mnie nic do tego. Jeśli ci się to podoba, a to jest w końcu najważniejsze, bo to twoja głowa, to wszystko jest w porządku!

- A żebyś wiedziała, że mi się podoba!! - zawołała czupurnie leśna Miranda. - I wcale mnie nie interesuje, co ty o tym myślisz. Ani trochę mnie to nie interesuje!

- A więc wszystko jest w porządku - flegmatycznie odparła Aureolia i zapatrzyła się w granat przedburzowego nieba.

- I swoje zdanie możesz zachować dla siebie! - wołała wciąż Miranda. - Nic a nic mnie ono nie interesuje! Nic a nic!

W powietrzu czuło się burzę. Liście drzew były woskowo-zielone, a trawa matowoszara. Słońce się schowało.

- Możesz sobie drwić ze mnie i mego uczesania - mówiła już spokojniejszym tonem leśna Miranda. - Nie obchodzi mnie, że ci się nie podoba. Ludzie są różni! Nie musi im się podobać to samo. Byłoby bardzo nudno, gdyby wszyscy byli jednakowi!

- Masz rację.

- Co?!

- Mówię, że masz rację.

- Tak?

- Tak.

- Nieprawda! Wcale tak nie myślisz.

- Ależ tak właśnie myślę.

- Nie.

Aureolia wzruszyła ramionami i poruszyła się tak, jakby chciała wstać.

Miranda przestraszyła się nie na żarty i ucichła. Aureolia ma jej dosyć. Na pewno ma dosyć. Ma taką znudzoną minę.

Ale Aureolia tylko przeciągnęła się lekko i siedziała nadal na swoim miejscu. Miranda wołała jednak nie ryzykować. Aureolia jej nie lubi, nigdy nie lubiła... Ale ona też jej nie lubi. Bo może ona, Miranda, jest nudna i głupia, brzydka i nic nie warta, ale Aureolia za to jest niesympatyczna i w dodatku kłamie! Bo na pewno wcale tak nie myśli, jak mówiła.

- Idę, czas na mnie - powiedziała prędko leśna Miranda i, nie czekając odpowiedzi, szybko ruszyła w stronę lasu. Była pierwsza. To ona pierwsza wstała i odeszła. To ona zrezygnowała z towarzystwa Aureolii, nie odwrotnie. Miranda szła szybko. Trawa szeleściła pod jej stopami, a pierś przepelniało uczucie dumy.

W powietrzu już wyraźnie czuć było burzę, ale wciąż jeszcze brzęczały muchy.

Aureolia patrzyła na pośpieszne, nerwowe kroki Mirandy.

„Znowu się obraziła” - pomyślała i westchnęła ciężko. Bo świat jest bardzo pokręcony i bardzo głupi. A pewne istoty dodatkowo wszystko to jeszcze bardziej komplikują. Zupełnie zresztą niepotrzebnie. I wszystko staje się wtedy jeszcze głębsze. Choć tak naprawdę to świat jest szary, tylko burzowe chmury są szaro-granatowe. A może to tylko Aureolia tak to widziała?...

Kiedy niebo nad lasem stało się jeszcze ciemniejsze, a w pewnym momencie rozświetliła je błyskawica, Aureolia wiedziała już, że burza nie przejdzie bokiem i że będzie łało. Słońca już dawno nie było. Za to łąka, las, strumyk i wszystko wokół rozjaśniło się dziwnym, przedburzowym blaskiem. Na tle ciemnego, mrocznego nieba dawało to efekt naprawdę niezwykły.

Burza szła wprost na nią, Aureolia czuła to.

Ciężkie, duże krople powoli zaczęły zraszać ziemię. Las, łąka i strumyk znów zszarzały, zlały się w jedną tonację z niskim, burym niebem.

„Diabli nadali ten cholerny deszcz” - pomyślała ze złością Aureolia. Zwężonymi oczyma patrzyła w zachmurzone niebo. I wtedy zrozumiała, jak bardzo się zmieniła. Nawet deszcz już jej nie cieszył. Bezpamiętnie w przeszłość odeszły szalone, radosne tańce w strugach największej ulewy...

Duże, ciężkie krople błyskawicznie zmoczyły suknię, były zimne, lodowato zimne i twarde jak lód. Po chwili z nieba posypał się grad.

2

Właściwie to nie w porządku, że niektórzy są tacy piękni.

To niesprawiedliwe.

To bardzo niesprawiedliwe.

I żeby Aureolia chociaż raz okazała jej odrobinę sympatii, chociaż jeden jedyny raz... Miranda byłaby wtedy taka dumna, że ma tak piękną przyjaciółkę. I wtedy mogłaby cieszyć się wraz z nią jej urodą, bo Miranda nie jest przecież zawistna i umiałaby cieszyć się szczęściem swojej przyjaciółki. Ale Aureolia nie jest jej przyjaciółką i nigdy nią nie była. A przecież trzeba mieć choć trochę własnej godności. Bo przecież nie można nadskakiwać komuś, kto ma cię za nic, bo wtedy naprawdę jest się nikim!! A zresztą nawet jeśli rzeczywiście jest się nikim, może nawet niczym, to inni nie mają prawa tak cię traktować. Nie mają prawa. Bycie nikim to prywatna sprawa każdego, kto jest nikim. I nikt nie może tej prywatności naruszać!

Miranda szła w stronę lasu. Stawiała szybkie, nerwowe kroki.

Ale jest oryginalna. Jest inna niż wszyscy dookoła. I nikt nie może powiedzieć, że naśladuje Aureolię. Już widzi te pełne wyższości uśmiechy, gdyby ją rzeczywiście naśladowała. Te pełne drwiny spojrzenia. I mieliby rację. Bo naśladować kogoś, kto tobą gardzi? Udawać kogoś, kim się nie jest i nigdy nie będzie? I wciąż widzieć, jak wiele nam do tego kogoś brakuje? Nie, Miranda nie będzie cudzym cieniem. Lepiej być nikim, niż nieudaną imitacją kogoś drugiego. Bo będąc nikim, jednak czymś się jest, jest się nikim. Natomiast gdy jest się nieudolną kopią kogoś drugiego, to tak jakby się w ogóle nie istniało!! Dlatego będzie oryginalna, będzie!! I co z tego, że się z niej wszyscy śmieją. Trzeba mieć swój własny styl!!

Tylko Miranda nie była pewna, czy znalazła ten swój własny styl. Bo czy zaprzeczanie wizerunku innych, aby być innym, nawet z poświęceniem własnych upodobań, można nazwać czymś własnym? Czy nie jest to po prostu nieco inna forma naśladownictwa, odmienna forma podporządkowania się innym, tyle że poprzez ich zanegowanie?

Mirandę zaskoczyły jej własne myśli.

Niebo nad lasem było ciemne i groźne.

Zagrzmiało.

Miranda, widząc nadciągającą burzę, z trwogą pomyślała o Aureolii.

- I co ona robi - wyszeptala cicho. Przypomniały jej się wspaniałe, bujne włosy rusalki i jej zwiewna, długa, delikatna szata. - Przemoknie do suchej nitki. Pewnie w swym zamyśleniu nie zauważyła nawet nadchodzącej ulewy.

Chciała zawrócić, ale się rozmyśliła. Nie, nie chciała znów widzieć Aureolii, miała jej na dzisiaj dosyć. Dosyć!!

Właściwie to przecież Aureolia nie jest wcale taka piękna. Ma trochę wdzięku, nieco uroku osobistego, ale to wszystko! Jest za chuda, tykowato długa, no i włosy się jej rozdwiają!! I wcale nie jest dystygowana, jak to się niektórym zdaje. Po prostu ordynarnie zadziera nosa!! A niech zmoknie! Dobrze jej tak. Za krzywdę Mirandy, za wszystkie doznane przez nią upokorzenia!!...

Burza zamruczała porozumiewawczo.

Miranda spojrzała na nią z wdzięcznością. I nagle zrozumiała wszystko. Burza nadciągała, aby ją pomścić...

Niska, bura chmura nad lasem ogromniała w oczach. Ale to nic, bo Mirandzie wydała się teraz życzliwa i sympatyczna.

Wszystko wokół zamarło w grozie oczekiwania na zbliżającą się ulewę. Jedna Miranda nie bała się, bo wiedziała, że to dla niej, przez nią. A myśl, że ma się tak potężną sojuszniczkę, napawała dumą i zachwytem.

Jednak, gdy pomyślała, że to ona, Miranda, sprowadziła tu tę burzę, ogarnął ją strach. Strach przed samą sobą, przed własną mocą. A jeśli jest czarownicą!! Ostatnią wiedźmę w Krainie Elfów rozwścieczony poprzedni władca - król Elfeusz I - zamienił w ropuchę! Na wiedźmy krzywo patrzono w Krainie Elfów, zwłaszcza teraz, gdy na tron wstąpił Eduardo I! Ale nie tego bała się leśna Miranda. Przecież wtedy wiedziałaby wreszcie, czemu nikt jej nie lubi. Byłaby wreszcie jakaś konkretna przyczyna, na którą można by zwalić wszystkie dotychczasowe niepowodzenia i rozczarowania. Otrzymałaby też wreszcie coś w zamian - czarodziejską moc, przysługującą każdej czarownicy. Ogromną moc przywoływania deszczu, zaklinania wiatru... Ale to byłoby zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Zwłaszcza, że mało która wiedźma ma aż tak wielką czarodziejską potęgę. Zresztą Miranda jest przecież tylko leśną Mirandą, śmieszna, nic nie znacząca, zbuntowaną nimfą.

Spojrzała jednak na przedburzowy krajobraz tak, jakby wszystko to było jej dziełem. Ciemno-bure niebo przesłoniło cały świat.

Jednak pierwsze, zimne krople rozwiały poczucie więzi z nadciągającym żywiołem. Miranda, spłoszona ich nieprzyjemnym dotykiem, szybko przykucnęła pod ogromnym, rozłożystym liściem. Wszystko znów stało się wrogiem i obce.

Błyskawica przecięła niebo, zaraz po niej ryknął grzmot. Nie, nie było to porozumiewawcze mruczenie. Grad i deszcz były z dzikim łomotem w liść Mirandy. Siedziała skulona, słuchając odgłosów przewalającej się burzy i patrząc, jak perełki gradu zasypują wszystko dookoła.

I wtedy nagle tuż nad nią rozległ się wściekły huk. Nie był to grzmot jak poprzednio, ale ogłuszający ryk otwierającego się nieba. Przywarła przerażona do ziemi. Wszystko dookoła zrobiło się przez moment zupełnie białe.

To na nią. To upomnienie. To za jej zbyt butne myśli. To za to, że poczuła się kimś, kto może sprowadzać burze. To za to, że poczuła się w ogóle kimś. Bo przecież była nikim...

Wypelzła spod swego liścia i spojrzała w niebo. Grad zasypał jej oczy, ale grzmot się nie powtórzył. Grad bił ją po twarzy, ale pomyślała, że dobrze jej tak. To za to, że jest takim zerem, takim niczym. Ale czy wszyscy przez to mają prawo ją poniżyć? Wszyscy? Nawet błyskawice?! Nawet deszcz i grad?! Kto im dał takie prawo?!

Kolejny grzmot jakoś jednak nie nadchodził. Zimny deszcz ściekał jej po twarzy, a lodowe kulki gradu kłuły niemiłosiernie. Wczołgała się znów pod swój liść i skuliła się z zimna. Była przemoczona i upokorzona. I wtedy pomyślała o Lukrecjuszu. Po długim oczekiwaniu udało mu się bowiem w końcu wyblagać posłuchanie u króla Eduarda. A to wcale nie jest tak łatwo uzyskać posłuchanie u nowego władcy Krainy Elfów. Miranda wiedziała też, jak wiele nerwów kosztowała Lukrecjusza sama decyzja pójścia tam ze swoją sprawą. Ale dopiął swego, zwyciężył swój strach, przedarł się przez nieżyczliwość elfoniastych sekretarzy Eduarda i będzie rozmawiał z królem. Miranda pomyślała, jak samotnym musi się czuć w tej chwili, stojąc przed obliczem władcy. Nimfa skupiła więc wszystkie swoje myśli wokół Lukrecjusza. Gdyby bowiem przypadkiem rzeczywiście posiadała choć odrobinę jakiejś czarodziejskiej mocy, może mogłaby mu jakoś pomóc. Zamknęła oczy, zacisnęła drobne piąstki i wyteżyła wszystkie siły, aby nie myśleć o niczym innym. Bardzo chciała, aby mu się udało. Bardzo. A gdyby mu się rzeczywiście udało, jak miło byłoby myśleć, że być może jest w tym i jej niewielka zasługa... Zaraz, jak tylko skończy się ulewa, pobiegnie pod Kryształowy Pałac dowiedzieć się, jak mu poszło.

Burza cichła powoli...

3

Eduardo patrzył na strugi szalejącej ulewy. Kiedy zaczął padać grad, pomyślał, że to chyba koniec świata. Grad w Krainie Elfów!!

Powoli przeniósł wzrok na stojącą przed nim wysmukłą postać jasnowłosego, błękitnookiego elfa. Elf stał cicho i pokornie, z niemą prośbą w swych szeroko otwartych oczach. Eduardo z rozbawieniem obserwował jego zachowanie. Patrzył spokojnie, jak tamten się rumieni i nie wie, czy już może zacząć mówić, czy raczej jeszcze powinien zaczekać. Tak, grunt to posłuch i autorytet wśród poddanych, Eduardo ściągnął więc groźnie brwi. Elf był taki wiotki i smukły, miał delikatne dłonie o długich, lejących się palcach. Eduardo uśmiechnął się drwiąco. Potem znów przeniósł wzrok na okno. Nie należy zbyt ośmielać poddanych. Trzeba z nimi krótko i na dystans, bo inaczej rozzuchwałą się okropnie i do ładu z nimi nie dojdiesz.

Tak, Kraina Elfów, taka jaką pozostawił ją Elfeusz, wymagała wielu reform. Przede wszystkim należało stale umacniać autorytet władzy królewskiej, zachwiany nieco ciągłymi podrózkami i lekkomyślną niefrasobliwością poprzedniego władcy. Tak, Elfeusz był zbyt pobłażliwy dla swoich poddanych i nie miał nad nimi właściwie żadnej kontroli. Kraina Elfów żyła swoim własnym, autonomicznym życiem, a tak być nie powinno! Ogólne rozprężenie i zbyt daleko posunięta swoboda panujące w królestwie Elfeusza zawsze drażniły Eduarda. Teraz zaś padające coraz częściej deszcze sprzyjały szerzeniu się ogólnego marazmu i rozwojowi niezbyt entuzjastycznych nastrojów wśród mieszkańców słonecznej dotąd, pięknej Krainy Elfów. Należało więc to wszystko zmienić i uporządkować.

Dużo pracy jeszcze przed Eduardem, ale kilka bardzo ważnych reform wcielano już w życie! Choćby na przykład obowiązkowe godziny taneczne!! Ponieważ rusałki zaniedbywać się zaczęły w swych radosnych płasach, Eduardo wprowadził obowiązkowy czas tańca (od wschodu do zachodu słońca, z krótką przerwą w południe dla wytchnienia). Tańczące wesoło po łąkach i polach rusałki to przecież taki piękny widok, i czego jak czego, ale właśnie tego nie może zabraknąć w radosnej Krainie Elfów!!

Będąc jednak łaskawym władcą, co czwarty dzień Eduardo ustanowił wolnym od tego obowiązku. Aby jednak nigdy łąki, pola i lasy nie były puste, a mieszkańcy królestwa nigdy nie byli pozbawieni widoku uroczych, beztriosko pływających istot, Eduardo wszystkie rusałki podzielił na cztery grupy, z których każda swój wolny dzień miała w innym terminie. Rozwiązanie to było genialne, bo dzięki temu zawsze jakieś trzy grupy rusałek musiały radośnie swawolić wśród barwnego kwiecia, porastającego łąki Krainy Elfów!

Ponieważ jednak jeszcze lepiej byłoby, gdyby rusałki pływały po łąkach ze śpiewem na ustach, Eduardo wprowadził obowiązkową dla wszystkich nimf i rusałek naukę śpiewu.

I cudny śpiew żeńskich, wdzięcznych głosów popłynął ku wielkiej radości władcy z pól i lasów królestwa.

Wprawdzie część rusałek fałszowała niemiłosiernie, inne znów darty się rozpaczliwie jedna przez drugą (bowiem każda z nich śpiewała inną piosenkę, a nawet jeśli tę samą, to każda na inną nutę), ale to już naprawdę drobnostka, błahostka wręcz. Tak samo jak i to, że nie nawykłym do kolektywnej współpracy

rusałkom myliły się grupy taneczne i dni wolne z roboczymi. Ale to naprawdę były już nieistotne detale, które usunie się z czasem. Ważne, że główna myśl genialnego umysłu Eduarda została urzeczywistniona.

Ale to jeszcze nie koniec!! Aby dźwięcznych głosów rusałek nie zagłuszył jazgot ptasiego śpiewu, nowy król elfów wydał zakaz śpiewania ptakom. Na skutek jednak gorących i burzliwych protestów poddanych, zakaz ten uchylano w co czwarty dzień w pobliżu Kryształowego Pałacu i w co drugi w innych częściach królestwa - Eduardo był przecież mądrym i sprawiedliwym władcą: uznawał rozsądny kompromis.

Młody król elfów był bardzo dumny ze swoich reform. Ubolewał tylko nad faktem, że z powodu braku odpowiedniego organu kontrolnego nie był w stanie sprawdzić wykonywania swych zarządzeń w dalej położonych częściach królestwa. Ale wszystko w swoim czasie. Na razie krok po kroczku Eduardo usuwał nieporządki w swoim najbliższym otoczeniu.

Nowy król bowiem zaniedbania dostrzegł także w dziedzinie opieki nad kwiatami, bowiem kwiaty o mniej atrakcyjnych kolorach, były po prostu zaniedbywane!! A tak oczywiście być nie mogło! Zasady doglądania kwiatów również musiały zostać maksymalnie zobjektywizowane! To jest odpowiedzialna praca i niedopuszczalne jest w tej materii kierowanie się, tak jak dotychczas, subiektywnymi upodobaniami poszczególnych nimf kwiatowych! Odwizdi się coś potem jednej z drugą i co wtedy? Nie. Łąki zostały więc podzielone na sektory i każdej z nimf kwiatowych drogą losowania (aby było sprawiedliwe) została przydzielona opieka nad jednym z takich sektorów. Dodatkowo wyznaczone zostały tak zwane nimfy-przełożone, których zadaniem było doglądanie pracy nimf kwiatowych. Aby jednak proces kontroli był jak najbardziej rzetelny i maksymalnie zobjektywizowany, nimfy-przełożone były odpowiedzialne za kwiaty jednego koloru. Tak więc jedną nimfę kwiatową kontrolowało kilka nimf-przełożonych, a jednej nimfy-przełożonej podlegało kilka nimf kwiatowych. Zapobiegało to jakimś rozgrywkom personalnym i rzeczywiście sprzyjało rzetelności kontroli. Aby jednak znów pewne kolory nie były pokrzywdzone, przydzielano je w zależności od pierwszej litery imienia danej nimfy-przełożonej (alfabetyczny spis nimf-przełożonych Eduardo podzielił na kilka grup i każdej z tych grup przypisał odpowiednią barwę).

Nimfy-przełożone ze swojej pracy rozliczane były przez osobistych sekretarzy królewskich, którzy podlegali już bezpośrednio Eduardowi. Osobistych sekretarzy królewskich zwano też elfonami. Powód był prosty, siedząc zagrzebani po uszy wśród stosów liści, na których zapisywano bardzo ważne informacje wagi państwowej (albo i jeszcze większej wagi!!), osobiści sekretarze królewscy roztyli się do nieprzyzwoicie rozlazłych rozmiarów. I choć byli elfami najczystszej krwi, teraz jednak bardziej przypominali tłuste satyry niż elfy. Były to właściwie takie trochę ładniejsze satyry (albo znacznie brzydsze elfy), jednym słowem powstała nowa rasa - rasa rozlazłych i niesympatycznych, biurowych elfonów.

Elfony pracowały w królewskiej kancelarii.

Królewska kancelaria Eduarda znajdowała się w Kryształowym Pałacu i skutecznie odstraszała wszelkich petentów, którzy w swej naiwności chcieliby rozmawiać ze swym władcą.

Pewnego dnia jednak w owej kancelarii pojawił się elf, ten sam, który teraz stał przed Eduardem. Był to chyba najbardziej upierdliwy elf w dziejach historii Krainy Elfów!! Przychodził dzień w dzień. Całe dnie, od rana do wieczora, spędzał przed drzwiami kancelarii królewskiej, w korytarzu pałacowym, przeszkadzając elfonom w ich tak bardzo przecież odpowiedzialnej pracy ciągłymi pytaniami w stylu:

- Czy już mogę rozmawiać z królem?

Był nie do zdarcia.

Pokornie pisał wciąż nowe podania na liściach łopuchu, prosząc niezmordowanie o dopuszczenie go do króla i wysłuchanie jego niby bardzo ważnej sprawy. Uzbierała się już cała sterta tych jego podań!!

I nie pomagały ani zdawkowe odburkiwania, ani pełne zniecierpliwienia miny, ani nawet groźny, podniesiony ton, świadczący przecież tak wyraźnie o sięgającej szczytu irytacji.

Niestety, nie został jeszcze przez Eduarda powołany odpowiedni organ do wyrzucania na zbity pysk zbyt natrętnych interesantów, tak więc elf siedział całe dnie na krzeselku w korytarzu i denerwował zapracowane elfony ciągłym dopytywaniem się, kiedy zostanie dopuszczony przed oblicze swego władcy.

Ponieważ jednak nawet elfony mają ograniczoną wytrzymałość, ów elf został w końcu dopuszczony do króla. Działał po prostu elfonom już tak na nerwy, że, aby się go wreszcie pozbyć, naczelny z osobistych sekretarzy królewskich własnoręcznie, choć nie bez trudu, wśród stosów różnych bardzo ważnych liści wyszukał akta Lukrecjusza i osobiście ubłagał Eduarda, aby jednak przyjął upierdliwego elfa. Król został więc postawiony przed faktem dokonany i rad nierad musiał Lukrecjusza wysłuchać. Teraz więc z rozbawieniem patrzył kątem oka na zakłopotanego elfa i, udając, że zapomniał o jego osobie, beztrąsko wyglądał przez okno.

- Będziesz tu stał jak słup!?! - wrzasnął nagle Eduardo.

Z poddanymi trzeba krótko, a zwłaszcza z takimi jak ten, co to się stawiają i myślą, że wszystko mogą.

Elf skulił się pod biczem jego głosu.

- Człowieku. Tu się p r a c u j e. Szanuj czas swój i innych - rzekł Eduardo teraz z odcieniem pogardliwego zniecierpliwienia dla odmiany.

- A więc ja... - zaczęła nieśmiało elf.

- Numer identyfikacyjny i imię - zgromił go Eduardo.

Tak, każdy mieszkaniec Krainy Elfów miał teraz swój numer identyfikacyjny. Spisanie i ponumerowanie wszystkich mieszkańców łąk, pól i lasów królestwa było to przedsięwzięcie, z którego Eduardo był szczególnie dumny.

- Tysiąc dwieście pięć - powiedział elf. - Imię: Lukrecjusz, syn Fabiusza i Cykleozji.
- Sprawdźmy - rzekł Eduardo. Spojrzał groźnie na przybysza i wyszedł.

Elfon Duży - główny sekretarz królewski już wczoraj przygotował dla swego władcy akta Lukrecjusza. Ale żeby interesant za bardzo się nie rozzuchwiał, Eduardo spokojnym krokiem obszedł cały pałac dookoła, z nudów zajrzał do swej kancelarii, wdał się ze swymi sekretarzami w nic nie znaczącą, idiotyczną gadkę (elfony były bardzo głupie) i dopiero wtedy wrócił do komnaty, służącej mu za gabinet.

Lukrecjusz stał nadal w dokładnie tym samym miejscu, w którym stał poprzednio, i był teraz bardzo blady. „Ma cykora” - pomyślał z zadowoleniem Eduardo i uśmiechnął się nieznacznie pod wąsem.

- Masz szczęście, że dziś mały ruch - rzekł srogim, upominającym tonem - bo inaczej nikt nie miałby czasu latać i szukać twoich akt!!

Z majestatyczną powagą na czole zaczął uważnie przeglądać liście, składające się na akta Lukrecjusza. Marszczył się przy tym groźnie i zdawał się być bardzo zmęczony tą czynnością.

- No słucham! - powiedział ostro, nie odwracając się do elfa.

- A więc ja...

- Elf drzewny, tak? Mówić takie rzeczy.

- Więc ja...

- O, widzę, że tu skargi na delikwenta. Nie wywiązywanie się ze swoich zadań, dwa ususzone drzewa. Coraz mniej mi się to podoba...

- Ja właśnie w tej sprawie - zawołał pośpiesznie elf. - Właśnie chodzi o te ususzone drzewa. Staram się i mi nie wychodzi. Chciałbym prosić o zmianę kwalifikacji, chcę się przekwalifikować, chciałbym zająć się czymś związanym z łąką, nie wiem...

- To kto ma wiedzieć?! - zapytał groźnie Eduardo. - Duch święty? - zarechotał. - Chłopie, gadaj do rzeczy!!

Elf skulił się jakoś w sobie.

- Na przykład doglądaniem kwiatów - powiedział cichym, drżącym głosem.

- A czym to się różni od doglądania drzew!!! I to roślina i to!!

- Tak, ale...

- Oj bratku, ja tu coś widzę, że ty, chłopie, od obowiązków chcesz się wymigać. To tak, to siak, tu coś pokręcić, tam zamieszać...

- Nie, panie. Chcę po prostu prosić o pozwolenie na zmianę specjalizacji. Chcę robić coś, na czym się znam lepiej, coś co robiłbym z przyjemnością, a nie tylko z obowiązku. Coś, gdzie naprawdę mógłbym być pożyteczny, gdzie mógłbym coś dać od siebie...

- Srata tata - przerwał mu zniecierpliwiony Eduardo. - Migasz się, chłopie, po prostu.

- Nie migam się od obowiązków, panie - zawołał nagle elf dziwnie stanowczym tonem. - Gdybym się migał, nie byłoby mnie tutaj.

Eduardo spojrzał na niego uważnie.

- Chciałbym doglądać kwiaty, albo zbierać rosę, ale nie chcę pracować w lesie. Zmarnowałem już dwa drzewa.

- Właśnie. Sądzisz, że to tak można: zmarnowałem dwa drzewa, dajcie mi coś innego!! Chłopie, i co, potem znów przyjdiesz: dajcie mi coś innego, bo zmarnowałem?!!

- Kwiatów nie zmarnuję!! - zawołał gwałtownie elf. W jego głosie brzmiała znów ta sama nuta zadziwiającej pewności. - Nigdy!! Bo to będzie łąka, a to co innego niż las. To otwarta, nieograniczona przestrzeń, to wolność!! - Jego duże, błękitne oczy rozbłysły natchnionym blaskiem. - To wiatr wśród rozkołysanych traw, to woń kwiatów i ziół wszelkiego rodzaju, to pszczoły i motyle oraz ścigające się po niebie obłoki...

Eduardo patrzył na niego podejrzliwie.

- Dobrze, dobrze, ale od łąk i kwiatów są nimfy i rusalki łąkowo-kwiatowe!!

- Tak, ale...

- Chłopie, ty jesteś elfem drzewnym, więc nie wciskaj mi tu kitów o łąkach i obłokach!!

- Tak, ale...

- To jesteś tym elfem drzewnym w końcu, czy nie!?!?

- Niby tak... - rzekł elf jakoś niepewnie.

- Tak, czy nie!?!?

- Tak - powiedział Lukrecjusz i spuścił oczy.

- Więc sam widzisz - powiedział triumfująco Eduardo. - W przyrodzie panuje ścisła specjalizacja, wszystko ma swoje miejsce i swoją rolę.

- I właśnie ja czuję, że moja rola jest gdzie indziej...

- Chłopie, co by to było, gdyby motyle zaczęły zachowywać się jak sroki, a sroki jak motyle!

- Ale...

- Chłopie, weź się lepiej do roboty i nie marnuj więcej drzew. Ja też mam swoją robotę, nie wszystko mi się w niej podoba, muszę wysłuchiwać różnych takich bzdetów od takich jak ty, prostować ich pokrzywione umysły, ale taka jest rola króla. I też mi się to może nie podobać, ale robię to.

Oczy Lukrecjusza zrobiły się wilgotnie i patrzyły żałośnie.

Eduardo otworzył drzwi, poklepał go po ramieniu i powiedział:

- Mam nadzieję, że zrozumiałeś. No, nie mazać mi się tu. Weź się solidnie do pracy, a wszystko się ułoży. Z czasem się wyrobisz. Ale nie marnuj więcej drzew!!

I niemal wypychając Lukrecjusza, zamknął drzwi.

„Co za dzieciuch” - pomyślał. Tak, nie tak łatwo być królem. To jednak ciężki chleb, a poczucie władzy nad innymi nie zawsze wszystko jest w stanie zrekompensować... Skąd się biorą takie niedojdy życiowe!?

Boczne drzwi otworzyły się cicho i do komnaty weszła Elordoria, szeleszcząc swą długą suknią i chrzęszcząc drogocennymi kamieniami. Bowiem cała Elordoria od stóp do głów obwieszona była klejnotami. W uszach miała modre szafiry, pięknie wtopione w długie, zabawnie dyndające kolczyki, na głowie - pozłacany diadem wysadzany krwistoczerwonymi rubinami, na włosach - utkaną ze złotych nici siatkę przetykaną diamentami, a cała suknia upstrzona była poprzyszywanymi niemal jeden obok drugiego szmaragdami. Wszystko to nieco gryzło się ze sobą, zwłaszcza w połączeniu z podwójnym, długim niemal do ziemi sznurem bursztynowych koralii. Ale Elordoria nie przejmowała się tym zbytnio, kroczyła jak zwykle szybko i energicznie i z lubością wsłuchiwała się w dzwonienie i chrzęst mieniących się na niej szlachetnych kamieni.

- Właściwie mogłeś spełnić jego prośbę - powiedziała słodkim, przymilnym głosem. - Był taki ładny i delikatny...

Eduardo spojrział na nią badawczo. Elordoria zaśmiała się.

- Taki subtelny - powiedziała, przeciągając samogłoski.

- Właśnie dlatego, że taki subtelny!! Rosną potem takie bezużyteczne mimozy! - odburknął Eduardo.

- Przecież tylko żartowałam - rzekła Elordoria. Podeszła do niego i popatrzyła mu w oczy. - Mamy dzisiaj zły humor. I jesteśmy bardzo, bardzo niemądzy. Ale za to bardzo przystojni. Bo bardzo do twarzy nam z tą zazdrością.

Eduardo skrzywił się.

Deszcz i grad przestały już padać.

- Znowu podsłuchiwałaś! - powiedział zimno.

Elordoria uśmiechnęła się nieznacznie i zrobiła minę kogoś niesłusznie podejrzanego.

- Podsłuchiwałaś, a wyraźnie zakazałem ci tego - powiedział niepokojąco spokojnym tonem.

- Och, nie złość się na mnie - szepnęła Elordoria, trzepocząc rzęsami. - Bo znów będziesz krzyczał i obudzisz nasze kochane maleństwo, a śpi tak słodko w komnacie obok. Mały, rozkoszny Eduardek II i tak do ciebie podobny, czyżbyś zapomniał... - Jej oczy zwięzły się drwiąco, ale Eduardo tego nie zauważył. Elordoria ugryzła go pieszczotliwie w ucho. - Mój ty potężny królu...

- Idź już - powiedział Eduardo.

- Tak jest, panie mój i władco - odrzekła Elordoria i złożyła przed nim przesadnie głęboki ukłon. Po czym dzwoniąc drogocennymi klejnotami, wyszła.

Szybko zbiegła ze schodów. Przy głównym wejściu dwa dorodne, wyrosnięte, brzuchate satyry obszukiwały Lukrecjusza. Sprawdzały, czy aby czasem czegoś nie wyniósł z pałacu.

- Zostawcie go - powiedziała Elordoria.

Satyry posłusznie puściły elfa i odeszły na bok.

Duże, błękitne jak letnie niebo oczy Lukrecjusza spojrzały ze zdziwieniem na rusałkę. Elordoria uśmiechnęła się.

- Żałuję, że nie mogę ci pomóc - powiedziała. - Przyjdź jednak kiedyś do mnie, a zobaczymy, być może nie wszystko jeszcze stracone.

Lukrecjusz szerzej otworzył swe błyszczące, wilgotne oczy.

- Ten kamień wskaże ci drogę do moich komnat o każdej porze dnia i nocy - rzekła, wciskając mu do ręki spiczasto oszlifowany, krwawo opalizujący rubin. - Nie zgub go!

Lukrecjusz spojrział na kamień, potem na nią. Elordoria znów się uśmiechnęła.

- Na przyszłość macie od razu przepuścić tego elfa - powiedziała surowym, władcym tonem do opasłych satyrów. - I ani ważcie się go obszukiwać! To mój gość!

Satyry tępo pokiwały głowami i wydały głuchy pomruk na znak, że zrozumiały. Jeszcze tylko oczy Elordorii uśmiechnęły się do Lukrecjusza, nim ona sama zniknęła niczym dziwny i niepokojący sen.

4

Deszcz przestał już padać. Ochłodziło się, a rozmokła ziemia pachniała intensywnie.

Eduardo stał na górnym tarasie Kryształowego Pałacu, kiedy dojrzał Aureolię.

Szła wąską ścieżką, biegnącą wzdłuż pałacowego ogrodu. Patrzyła w niebo, ale go nie widziała. Jej wąskie wargi wykrzywiały nieprzyjemny grymas ni to pogardy, ni to lekceważenia.

Eduardo poznał ją od razu, choć jej zmoczone przez deszcz włosy ściemniały, przybierając odcień głębszej, wyrazistej zieleni, a mokra sukienka ściślej niż zwykle przylegała do ciała.

Aureolia omijała z daleka Kryształowy Pałac. Kojarzył jej się nieprzyjemnie i nie chciała go oglądać. Ale dziś, wściekła i ociekająca wodą, szła po prostu przed siebie, nie zwracając uwagi, którądy idzie i po co.

A może było to przeznaczenie?

Wszystko stało się tak szybko.

Nawet nie miała czasu się zdziwić, gdy zastąpił jej drogę.

- Mówili mi, że wróciłaś.

Nic nie odpowiedziała. Chwilę trwało obustronne milczenie.

- Twój ojciec nie żyje...

- Wiem, nie jestem tu pierwszy dzień.

- Mówili, że zbrzydłaś, ale wcale tak nie jest - powiedział Eduardo.

- Za to ty jakby nieco skapciałaś.

Nie była to prawda. Ale kto powiedział, że zawsze trzeba mówić prawdę. Choć rzeczywiście dla Aureolii nie był to już ten sam co dawniej piękny i wspaniały Eduardo. Ten teraz był zwyczajnym, młodym mężczyzną. Bardzo zwyczajnym. Chyba nawet nie był wcale tak przystojny, jak to się jej kiedyś wydawało.

Teraz on się nie odezwał. Ona też milczała. Stali więc tak przez chwilę, nic nie mówiąc.

- To wcale nie musiało tak być - powiedział nagle Eduardo. - Nie musiałaś odchodzić wtedy.

- Może chciałam?

Eduardo uśmiechnął się.

- A co się stało z Zenobiuszem?

Aureolia nagle spochmurniała.

- Nie należy mylić litości z sympatią. Nie wolno poświęcać się w imię litości. To nigdy do niczego dobrego nie prowadzi. Zresztą nie mówmy o tej zidiociałej pierdole!

Eduardo zaśmiał się. Bezcelnie i z ogromną pewnością siebie. Zupełnie tak jak dawniej. Aureolia spojrzała na niego z nienawiścią.

- Pierdole!? Cóż za słownictwo - powiedział rozbawiony. - Ale mówili mi, że nie najlepiej się prowadzisz - spojrzął na nią z życzliwą wyższością. W jego zielonych oczach zadrgały złośliweiskierki. „Tak jak wtedy” - pomyślała Aureolia. Eduardo mrugnął do niej porozumiewawczo. - Gorszysz rusałki. Opowiadają o tobie niestworzone rzeczy!

Oczy Aureolii zwężyły się.

- I może ty, jako król elfów, zechcesz mnie teraz upomnieć i sprowadzić z drogi występnego grzechu na łono utraconej cnoty?!

Patrzyła na niego z wciąż rosnącą wściekłością. I nagle, zupełnie nieoczekiwanie dla samej siebie, zawołała:

- Masz wszystko czego chciałaś, więc odczep się ode mnie! Dobrze ci radzę!

Odwróciła się.

I poszła.

Ale już nie drogą, a w łąkę, na przelaj, byle dalej od niego. Byle dalej od Kryształowego Pałacu i wszystkiego, co się z nim wiązało. Byle dalej...

Nie, nie potrafiła sobie wytłumaczyć, czemu nagle tak się zdenerwowała. Dlaczego zareagowała aż tak gwałtownie?...

Bo przecież to niemożliwe! Bo przecież upłynęło już tyle czasu! Przecież wykreśliła go definitywnie ze swego życia. Wymazała go z pamięci raz na zawsze!! Skąd więc to zdenerwowanie?

Obejrzała się. Nie, nie szedł za nią.

Poczuła ten dziwny, jakże dobrze jej znany skurcz w sercu.

Czyżby czuła się zawiedziona...?!?

.....

Eduardo stał zamyślony.

I nagle przypomniał sobie, że przecież Aureolii nie ma w rejestrze mieszkańców Krainy Elfów. Jak to się mogło stać! Będzie musiał niezwłocznie wyjaśnić to niedopatrzenie!!

5

Pierwszą osobą jaką Lukrecjusz zobaczył po wyjściu z Kryształowego Pałacu była Miranda. Podbiegła do niego w podskokach:

- I co? Jak poszło?

Jej zjeżone, mokre włosy sterczały jak antenki, każdy w inną stronę.
Rozmokła ziemia pachniała intensywnie.
Lukrecjusz spuścił głowę.

Wcale nie cieszył się z obecności Mirandy. Był zupełnie rozbity. Był po prostu kompletnie załamany. A teraz będzie jeszcze musiał uważać, aby nie dać tego po sobie poznać. Bo elf nie może być zrozpaczony, może być co najwyżej melancholijnie zadumany, ale nigdy nie może być beznadziejnie zrozpaczony. To nie licuje z wizerunkiem elfa. A już na pewno nie może sobie na to pozwolić ktoś, kto wie, że elfem nie jest. Ktoś, kto wie, że elfem jest jedynie zewnątrznie.

- Źle poszło - powiedział więc tylko Lukrecjusz. Z trudem panował nad głosem. - Nie udało mi się.

W oczach Mirandy pojawiło się nagle tyle smutku, iż można by pomyśleć, że to nie jemu, a jej się nie udało. Byłoby to może i wzruszające, gdyby nie fakt, że Lukrecjusz chciał być teraz sam. Był zbyt upokorzony rozmową z Eduardem, aby móc jeszcze znosić jej współczucie. Musiał dojść do siebie. Musiał przemyśleć wszystko i jakoś się w tym odnaleźć, jakoś to sobie wszystko poukładać. Zaś zasmucone oczy Mirandy potęgowały tylko uczucie wstydu i przykrą świadomość porażki.

Znów zaświeciło słońce.

Totalny chaos myśli oraz przygnębiające poczucie, że tyle wysiłku poszło na marne nie dawały Lukrecjuszowi spokoju. Miranda przeszkadzała mu tylko, bo właśnie teraz bardzo chciał się rozkleić. I to tak na całego. Tak za wszystkie czasy. Ale przecież nikt nie lubi mazgajów. A zwłaszcza mazgajowatych elfów.

Szli bardzo powoli. Omijali kałuże, w których przeglądało się pogodne już niebo.

Miranda nie chciała się odcepić. Szła niczym niemy cień za swoim panem. Wiedział, że miała dobre chęci, ale co mu po jej dobrych chęciach.

Bezwiednie ścisnął rubin od Elordorii. Ale to też nie miało żadnego znaczenia. Liczyło się przecież tylko to, że nic nie załatwił i będzie musiał pokornie wrócić do znieawidzonego lasu. A tyle sobie obiecywał po rozmowie z królem...

Miranda zachowywała się taktownie, ale najlepiej byłoby, gdyby sobie już poszła i zostawiła go wreszcie samego.

Lukrecjusz starał się robić dobrą minę do złej gry. Nikt nie lubi słabeuszków i nieudaczników. Nie lubił ich zwłaszcza Lukrecjusz, gdyż zbyt często zbierał bity za przypisywane im cechy.

Po łąkach biegały już rusałki. Poruszały się dziwnymi podskokami, ślizgając się przy tym po mokrej trawie. Przekrzykiwały się zachrypniętymi głosami. Czasem wpadały na siebie z rozpędu i wtedy przewracały się. Zaraz jednak, wyzywając się od kurew i dziwek, wstawały z ziemi i biegały dalej po mokrych łąkach Krainy Elfów.

Miranda patrzyła na nie ze wzdaniem.

- Czy one nie mają za grosz poczucia własnej godności!?

Lukrecjusz mimo woli uśmiechnął się.

- Rozkaz królewski - powiedział. - Odpowiedzialna praca.

- To jeszcze nie powód, aby robić z siebie takie idiotki - zachnęła się leśna nimfa.

I jak tu jej wytłumaczyć, że Lukrecjusz patrzył na te „idiotki” z zazdrością. Były na łące!! A to przecież inny świat, zupełnie inny... Z radością, wręcz z rozkoszą, lizałby własnym językiem każdą trawkę z osobna, byle tylko móc tak jak one pozostać tu, na tej łące i nie musieć wracać do lasu.

- Kto dał innym prawo do szufladkowania nas w tak upokarzający sposób!! - zawołała znowu Miranda. - Kto powiedział, że rusałka, lub nimfa, musi tańczyć i śpiewać!! A może ona wcale tego nie lubi i nie chce tego robić!!

- Musi to lubić - zaśmiał się Lukrecjusz. - Przecież jest rusałką!

- To co, że jest rusałką! - krzyknęła nagle Miranda. - Ty jesteś elfem drzewnym, a nie znosisz lasu!

- Ja... to ... to co innego - powiedział Lukrecjusz jakoś dziwnie nieśmiało i cicho.

- Jak to co innego!!? - oburzyła się nimfa. - Stereotypy!! Podłe schematy upraszczające nasze potrzeby i zachowania!! Kobięcość, miękka linia!! Kto dał im prawo tak nas ograniczać!! Nikt nie ma prawa tak ograniczać drugiej istoty, tylko dlatego że urodziła się nimfą lub rusałką!! A może ja wcale nie chcę być kobieca!! Może chcę być wściekła i kanciasta!! I co, nie mam do tego prawa!!? Nie mam?

Lukrecjusz patrzył na nią z zaskoczeniem, ale i rosnącym podziwem. Było w niej tyle buntu i zapalczywości.

Uśmiechnął się lekko.

I on chciałby tak mocno wierzyć w swoje prawo do bycia sobą. Jakże gorąco chciałby z równym zapalem i żarliwością bronić tego prawa.

Miranda zapalała się coraz bardziej. Jej drobna twarzyczka aż poczerwieniała z gniewu i wzburzenia.

- A ja będę kanciasta, będę kanciasta i już. Bo mam jakieś resztki godności własnej, choć wszyscy, nawet ty, traktują mnie jak śmiecia!! Ale nawet śmieć ma prawo być sobą i nikt nie ma prawa mu tego zakazać!!

Lukrecjusz słuchał jej uważnie i wciąż się uśmiechał tym cichym, pełnym zdumienia uśmiechem.

- Czemu się tak dziwnie uśmiechasz!!? - zapytała nagle podejrziwie.

- Tak sobie, bez powodu.
- Uważasz, że jestem głupia!
- Tego nie powiedziałem.
- Ale pomyślałeś. Tak właśnie pomyślałeś! Prawda!?!
Cała jej twarz wystrzyła się i patrzyła na niego w badawczym skupieniu.
- Wcale nie - powiedział z tym samym uśmiechem. - Po prostu fajnie się złościysz.
W Mirandę jakby piorun strzelił.
- Fajnie!?!? - krzyknęła. - Fajnie!?!? Wcale nie fajnie!! Ja się zloszczę naprawdę, a nie fajnie!
- Może źle to nazwałem... - powiedział, uśmiechając się z zakłopotaniem. Ale Mirandę tylko ten jego nowy uśmiech jeszcze bardziej rozjątrzył. Trzęsła się cała z gniewu, ale w jej oczach błysnęły chyba łzy.
- Fajnie! Fajnie! - wołała już bardziej w przestrzeń niż do Lukrecjusza. - Nikt nie traktuje mnie poważnie. Ale to nic. Nic. No bo i co z tego. No i co, że jestem głupia i nudna!! Ale wiem jedno! Nikt nie ma prawa mnie tak traktować, jak traktujecie mnie wy wszyscy. Nikt nie ma prawa tak mnie traktować! I wiem też, że niezależnie kim się jest, ma się prawo wymagać poszanowania własnej godności. A jeśli ktoś ci tego prawa odmawia, trzeba o nie walczyć!
Odwróciła się i szybko odeszła. Patrzył na jej prędko oddalającą się sylwetkę, na jej pełne gwałtownej nerwowości ruchy.
Zrobiło mu się przykro. Nie chciał jej urazić, ale i zupełnie nie wiedział, jak można było tej sytuacji uniknąć.
„Przejdzie jej” - pomyślał w końcu, ale nadal było mu przykro. Przecież nigdy niczego nie obiecywał Mirandzie, wiedziała, że nic dla niego nie znaczy. Wyglądało na to, że godzi się na taki układ. Nigdy nie był dla niej może zbyt serdecznym, ale trudno być serdecznym dla kogoś z kim się rozmawia tylko dlatego, aby nie zrobić mu przykrości i nie być niegrzecznym.
Swoją drogą Lukrecjusz pomyślał, że może Miranda nie jest jednak taka głupia, jak mu się to zawsze wydawało. Pomyślał też, że jest strasznie zakompleksiona. Może powinien był jej powiedzieć, iż akurat to, że on może nieszczerze gustuje w jej towarzystwie, wcale nie świadczy jeszcze o tym, że jest nic nie warta.
Ale jak powiedzieć komuś coś takiego prosto w oczy. Czasem tak ciężko jest w ogóle odezwać się do kogoś, a tu powiedzieć komuś, że się go nie lubi, ale to wcale nie znaczy, że ten ktoś jest do kitu... To przecież obraźliwe...
Ale Miranda i tak pogniewała się na niego.
Może to i lepiej. Może się wreszcie od niego odczepi.
Lukrecjuszowi było jej jednak trochę żal, bowiem jeśli kiedykolwiek odnosił się do niej z odrobiną sympatii i życzliwości, to było to na pewno właśnie dzisiaj. Ba, dzisiaj nawet mu nieco zaimponowała. A ona właśnie dziś obraziła się.
Chciałby mieć jej zapał. Ale i on walczył o swoje prawo do inności. Walczył z zaskakującym go samego uporem, ale przegrał. Bo może jednak rzeczywiście nimfy i rusałki muszą być miękkie i kobiece i muszą lubić śpiewać i tańczyć. I może rzeczywiście elfy drzewne muszą zajmować się drzewami, nawet jeśli czują, że nie są elfami drzewnymi i wcale nimi być nie chcą. Może tak po prostu musi być i koniec?...
Na skraju łąki zamajaczyła ciemna ściana lasu.
Lukrecjusz wzdrygnął się. Rozejrzał się z rozpaczą dookoła.
Łąka szumiała delikatnie, rozsiewając czarującą woń ziół i kwiatów. Wietrzyk kołysał trawami i płątał ze sobą kwiatowe łodygi...
Och, gdyby tak Lukrecjusz wpadł teraz w jakiś dół i złamał sobie nogę! Nie mógłby wtedy iść już dalej i musiałby zostać tutaj, wśród tych traw i kwiatów. I może by go nikt nie znalazł i leżałby sobie tak tutaj aż do śmierci...
Ale nic takiego się nie wydarzyło. Tylko łąka była coraz piękniejsza, a las coraz bliżej.
I pomyśleć, że gdzieś tam daleko, daleko żyją łąkowe pegazy. Biegają beztrudnie po łąkach pełnych kwiatów, rozpościerają swoje różowe skrzydła... Bo wszyscy mówią, że nie ma różowych pegazów. Ale to nieprawda. Muszą być różowe pegazy. Bo niby dlaczego miałyby ich nie być...?
Z niechęcią wszedł w chłodny cień lasu. Wysokie, ciemne pnie drzew stały na baczność niby potężne filary, podtrzymujące majaczący wysoko w górze zielony dach liści. Ponure, prosto stojące słupy. I te komary.
- Jest w ciąży! To absolutnie pewne!
- Niemożliwe! Doprawdy?!
- Tak! Zaszła w ciążę jak bum cyk cyk! Rozumie pani, wpadka. Ale jak się prowadzi takie życie...
- Mówią, że wypadły jej zęby.
- Sama widziałam! Wrak rusałki. Strzęp. A jaka wulgarna...
Teraz dopiero Lukrecjusz spostrzegł postacie obu rozmawiających ze sobą leśnych panien.
- Dzień dobry - przywitał się z nimi elf.
- Dzień dobry - zawołały obie leśne panny i zmarszczyły się w uśmiechach. - Cóż za piękny dzień, prawda?
- Tak, rzeczywiście bardzo ładny - powiedział Lukrecjusz i poszedł dalej.

- Na północnej polanie dojrzały już poziomki.
- Doprawdy? To bardzo wcześnie w tym roku. Widziałam jagody, ale poziomki.
- Ma być urodzaj na jagody.
- O tak, to pewne, paprocie są w tym roku bardzo duże.

Gdy obie panie uznały temat ten za wyczerpany, powróciły do głównego, przerwane go wątku rozmowy.

- I źle jej to było? - zapytała jedna z nich zniżonym głosem.
- Za dobrze, droga pani, za dobrze po prostu... - odpowiedziała jej druga.

Lukrecjusz przyspieszył kroku. Nie chciał dalej tego słuchać.

Gdy doszedł do swego uschniętego drzewa, spostrzegł, że jest ono niemal doszczętnie obdarte z kory i że ma obłamane wszystkie gałęzie. Na tych żalonych szczątkach jego drzewa wisiała szarfa z napisem:

*„Chrońcie nas przed Lukrecjuszem, błagamy.
Drzewa”.*

Na piasku zaś widniało:

*„STRZEŻCIE SIĘ !!!
Nadchodzi nowa, drzewna plaga - Lukrecjusz!!!”*

Elf przeczytał oba napisy, spojrział na coś, co kiedyś było jego drzewem i zaczął powoli iść przed siebie. Musiał pomyśleć nad tym, co ma teraz dalej robić. W lesie najlepiej myślało mu się zawsze na drzewie. Tam czuł się najpewniej i na swoim miejscu. Wdrapał się więc na pobliskie drzewo i usiadł na jednej z jego gałęzi. Od razu poczuł się jakoś lepiej...

- Spadaj! - zawołał nagle ktoś groźnie brzmiącym głosem i potężnym kopniakiem zwałił Lukrecjusza na ziemię.

Zdezorientowany elf niezgrabnie zderzył się z podłożem. Głową uderzył o jakiś kamień, pociemniało mu przed oczami. Usłyszał szyderczy śmiech drzewnych elfów, a po chwili grad szyszek i igliwia posypał mu się na głowę.

- Wara, zarazo, od mojego drzewa!! - zawołał duży elfiszon o długich, patykowatych nogach i olbrzymich, bosych stopach. Stał rozkraczony na gałęzi, z której zrzucił Lukrecjusza. - Jeszcze mi drzewo uschnie przez twoje skażone dupsko.

Elfy zaśmiały się przypochlebnie. Elfiszon, widząc jakim cieszy się autorytetem, także zarechotał.

- Patrzcie go jaki spryciarz - zawołał jakiś inny elf. - Ususzył swoje drzewko, to chce zniszczyć i nasze!!!

Lukrecjusz wytrzymał igliwie z ubrania i włosów. Powoli podnosił się z ziemi.

- Gdzie się gramolisz, parchu!! - krzyknął ktoś i rzucił w Lukrecjusza kamieniem. Trafił. Prosto w głowę. Celność rzucającego przywitana została oklaskami i ogólnym pomrukiem uznania. Lukrecjusz zatoczył się i złapał się za czoło. Spod palców wolniuteńko ściekała mu na twarz czerwona strużka krwi.

- A żeby was wszystkich!! - zawołał elf ze łzami w oczach.

Z drzew odpowiedział mu wzgardliwy rechot.

6

- Nie wiem, co zrobię, ale nie zostanę w lesie - powiedział Lukrecjusz. - Niech się dzieje, co chce, ale nie zostanę!

Źródłana nimfa Hydroterizes patrzyła, jak obmywał krew z twarzy. Bała się zabrudzić sukienkę, więc nie podchodziła do niego za blisko.

- Co więc zrobisz? - zapytała cicho. Zawsze mówiła bardzo cicho. Była przecież tak nic nie znaczącą nimfą, jak i jej małe źródło, zagubione głęboko w lesie i zapomniane przez wszystkich. Stąd bowiem zaczynały się dzikie bagna i leśne moczary, omijane z daleka przez wszystkich praworzędnych mieszkańców Krainy Elfów.

- Nie wiem - powiedział lekko podniesionym głosem. Mówił jej już przecież, że nie wie, co robi.

Nimfa spłoszyła się i ucichła. Lukrecjusz zawstydził się swego tonu, wiedział bowiem, że ma do czynienia z istotą bardzo wrażliwą i niezwykle delikatną. Aby więc na powrót ośmielić Hydroterizes i zatrzeć złe wrażenie, spróbował się uśmiechnąć.

Źródło bulgotało wesoło i szemrało delikatnie wąskim strumyczkiem, odchodzącym w bagna.

Lukrecjusz usiadł obok nimfy i wraz z nią patrzył na uciekającą wodę.

Hydroterizes spojrzała na niego wylężnionymi oczyma i lekko drżącym głosem spytała:

- Bardzo bolało?

Lukrecjusz pokiwał głową.

- Myślisz, że tak można?

- Co można?
- No tak uciec, nie robić tego, co każą, tego, co trzeba robić?
- Mówiłem ci, że niech się dzieje, co chce, ja tam nie wrócę.
- Ja bym się bała. Posiedzisz tak ze mną jeszcze?
- Posiedzę. Przecież teraz nigdzie mi się nie śpieszy.
- To fajnie - uśmiechnęła się radośnie. - Nikt mnie tu nie odwiedza.
Woda pluskała spokojnie, a oni siedzieli tak, nic nie mówiąc. Bo czasem słowa są niepotrzebne.

7

Lukrecjusz postanowił odwiedzić Teofila.

Satyr Teofil mieszkał ze swoim bratem w zielonym wąwozie, w jamie wydrążonej pod korzeniami ogromnego, starego drzewa. Korzenie te były grube, mocne i poskręcane w najfantazyjniejsze kształty, a korę drzewa porastał zielony mech.

Plotki głosiły, że zamieszkała z nimi również ponętna nimfa Lesandra i że wszyscy troje oddają się wyuzdanym zabawom erotycznym... Teofil w ogóle nie cieszył się najlepszą reputacją, ale wydawał się zupełnie tym nie przejmować. Miał jakieś podejrzane moczarowo-bagienne znajomości i prowadził beztroski, wesoły żywot wolnej, niezależnej istoty. Dlatego też Lukrecjusz uznał, iż musi koniecznie z nim porozmawiać. Kto jak kto, ale Teofil na pewno będzie potrafił doradzić mu coś sensownego.

Satyr wylegiwał się właśnie na trawie, drapiąc się w wydatny, owłosiony brzusek. Na widok Lukrecjusza podniósł się na łokciu i zawołał wesoło:

- Kogóż to my widzimy? Słodziutki Lukrecjusz!! Witamy, witamy!!

Elf uśmiechnął się młdo. Nigdy nie lubił sposobu bycia Teofila. Drażnił go tembr jego głosu i nutka pazernej, bezwstydnego złośliwości stale pobrzmiwająca w jego wypowiedziach.

- Rzuciłem las i to wszystko - powiedział krótko.

- Winszuję, winszuję - zaśmiał się Teofil. Ponieważ jednak Lukrecjusz miał niewesołą minę, dodał: - Przeżyjesz to, mój śliczny, przeżyjesz. Ja cały czas nic nie robię i jakoś żyję, jak widzisz.

- Ja nie chcę nic nie robić - powiedział elf.

- Nie?! - zdziwił się Teofil. - To czego chcesz, drogi chłopcze?

- Czy nigdy nie miałeś wrażenia, że gdybyś był kimś innym, to twoje życie wyglądałoby zupełnie inaczej?

- To chyba dość oczywiste - satyr znów zaśmiał się ironicznie. - Gdybym nie był tym, kim jestem, to i moje życie nie mogłoby być takie, jakie jest teraz.

- Żle się wyraziłem - powiedział Lukrecjusz. - Chodzi mi o to, że twoje życie byłoby wtedy prawdziwsze, pełniejsze, wartościowsze... Że mógłbyś wtedy zrobić tyle różnych rzeczy, tyle dobrych, wartościowych rzeczy... Gdybyś tylko nie był tym kim jesteś...

Teofil jakby się zainteresował.

- To teraz nie możesz zrobić tych wszystkich rzeczy? - zapytał.

- Nie - odpowiedział elf. - Teraz nic nie mogę. Nie mogę nawet tego, co powinienem robić, ze względu na to kim jestem. Rozumiesz?

- Nie - powiedział satyr i znów rozwalił się na trawie.

- Nie jestem tym, kim jestem i nie jestem tym, kim chciałbym być...

Satyr otworzył bardzo szeroko swe okrągłe oczka w przesadnym geście udawanego przerażenia.

- Ty, to może ciebie w o g ó l e n i e m a ?

Lukrecjusz zacisnął usta w wąską, poprzeczną linię i wbił tępe, złe spojrzenie w swoje stopy. Teofil zaśmiał się filuternie.

- To kim byś chciał być, marzycielu?

Elf zaczerwienił się.

- Pegazem - wyszeptał po chwili, ale z takim zachwytem, jakby już samo wymawianie tego słowa, było spełnieniem wszystkich jego marzeń. - Różowym pegazem.

- Różowym?! - skrzywił się Teofil.

- Chcę być różowym pegazem.

Teofil parsknął śmiechem.

- Nie ma różowych pegazów! - powiedział. - Zresztą różowy, co to za kolor? Dobry dla podstarzałych panien leśnych, lub starzejących się rusalek!

- No to biały - powiedział szybko Lukrecjusz. - Białym ze złotą grzywą.

Satyr wzruszył ramionami. Wstał i powoli się przeciągnął.

- To już ujdzie. Fantasta z ciebie. A tak naprawdę to wiesz, czego ci trzeba?

- ?

- Kobiety ci trzeba, kobiety. Ot i cała filozofia.

Lukrecjusz naburmuszył się.

- To mnie nie interesuje.

- Nie? - zapytał satyr, patrząc na niego uważnie. - Miła, pełna nimfa nie rozwiązałaby twoich problemów?

- Nie - rzekł stanowczo elf. - To mnie nie interesuje!

- O! - powiedział Teofil i oczy mu zabłyśły. - Nawet się tego spodziewałem. Są pewne cechy, po których rozpoznaje się takie rzeczy...

- Ty nic nie rozumiesz - zawołał nagle Lukrecjusz. - Tego nie da się wytłumaczyć. Ale ja to wiem, ja to czuję... ja, ja czuję i myślę jak pegaz, jestem, tak jestem nim, ale tu, tu w środku...

- Eureka!! - krzyknął Teofil, z nadmiernym rozmachem unosząc ręce do góry. - Eureka!! - powtórzył i spojrzał drwiąco na elfa. - A skąd ty wiesz, że tak właśnie myśli pegaz?

- Bo tak nie myśli elf - powiedział cicho Lukrecjusz.

Teofil parsknął pogardliwie. Ale Lukrecjusz mówił dalej:

- Czasem biegnę po łące, albo nawet po polanie w lesie, i rozpościeram ramiona, i czuję ten pęd powietrza, i zdaje mi się, że mam skrzydła, zamykam oczy, i zdaje mi się, że frunę... Ale potem znów otwieram oczy i wiem, że to tylko tak mi się zdawało, bo znów jestem na ziemi.

Satyr przyglądał mu się uważnie.

- I co by ci to dało?! - zapytał. - Co by ci dało to, że byłbyś całkiem włochaty? Że miałbyś całe ciało obrośnięte sierścią?

- Aksamitną sierścią i miałbym skrzydła... i złoty ogon...

- Masz takie ładne ciało - powiedział nagle Teofil. - I taką gładką skórę... - powoli przesunął swą twardą rękę po policzku elfa, małe oczka wwierciły się przenikliwym spojrzeniem w twarz Lukrecjusza.

Elf odsunął się i popatrzył na Teofila ze zdziwieniem. Stanowczo mu się to wszystko nie podobało.

Satyr zaczerwienił się.

Lukrecjusz wciąż patrzył na niego swoimi dużymi, błękitnymi oczyma.

- Czego tak patrzysz? - odezwał się wtedy Teofil zupełnie innym, jakby nie swoim głosem. - Powiedziałeś, że cię nie interesują nimfy, ani rusalki, a więc uznałem, że ty też...

Lukrecjusz nic nie odpowiedział. Teofil spojrzał na niego jakoś dziwnie...

- Wszyscy mężczyźni to świnię! - usłyszeli nagle za sobą.

Była to nimfa Lesandra. Przeszła obok nich szybkim, energicznym krokiem i zniknęła w jamie pod korzeniami porośniętego zielonym mchem drzewa.

- Nie słuchaj jej - powiedział znów lekko zarumieniony Teofil. - Nienawidzi mężczyzn, bo Eduardo puścił ją kantem.

- Wcale nie puścił mnie kantem! - zawołała Lesandra, wychylając się z jamy. - Po prostu ta wywłoka złapała go na dziecko! Gdyby nie to, z pewnością nie gniałabym z wami tu, w tej dziurze!

- Na jedno wychodzi - uśmiechnął się Teofil do Lukrecjusza. Lesandra posłała mu nienawistne, pełne wściekłości spojrzenie.

Lukrecjusz popatrzył na nią niepewnie.

- Elordoria dała mi ten kamień - powiedział pośpiesznie, wyciągając rubin, który dostał od królowej. - Chce żebym do niej przyszedł. Myślicie, że mogłaby mi pomóc, chociaż król Eduardo odrzucił moją prośbę?

Lesandra podeszła bliżej, chcąc dokładnie obejrzeć klejnot.

- Elordoria to zwykła dziwka! - powiedziała, oglądając pod słońce krwistoczerwony rubin. - Musiałeś wpaść jej w oko. Spróbuj! Pomóc to ci nie pomoże, ale jak będziesz jej dobrze wygadzał i jak dobrze okręcisz ją sobie wokół palca, nie będziesz musiał już n i c robić!

- Zazdroszczę ci - odezwał się nagle Teofil.

Lukrecjusz nie zrozumiał, co satyr miał na myśli. Nie bardzo wiedział, czego można byłoby mu zazdrościć.

- Nie chcę n i c nie robić - zawołał. - Chcę po prostu mieć do czynienia z łąką, nie z lasem. Nie lubię lasu. Nie nadają się do tego. Kocham łąkę.

- Idiota!! - powiedziała Lesandra i znów zniknęła we wnętrzu jamy.

Lukrecjusz i Teofil ponownie zostali sami.

Zaległo kłopotliwe milczenie.

Lukrecjusz starał się teraz unikać wzroku satyra. Właściwie sam nie wiedział dlaczego...

- Jestem, kim jestem - rzekł nagle Teofil znów tym dziwnym, poważnym tonem. - Nie wstydę się tego. Już nie. Wolałbym jednak, abyś t e g o nie rozgłaszał wszem i wobec.

Elf znów popatrzył na niego, tym razem z wyrzutem.

- Umiem dochować tajemnicy - powiedział. - Zresztą są pewne rzeczy, o których nie powinno się mówić.

Teofil uśmiechnął się z wdzięcznością i położył rękę na ramieniu elfa.

Lukrecjusz spojrzał na rękę Teofila, potem na jej właściciela. Satyr znów się zaczerwienił. Szybko zabrał rękę i spuścił oczy.

Znowu zapanowała przykra cisza.

Bo niby wszystko było jak przedtem, a jednak Lukrecjuszowi trudno było teraz tak właśnie na to patrzeć. Wbrew pozorom Teofil też chyba czuł się dość niezręcznie. Ale uśmiechał się. Uśmiechał się i nagle już swoim dawnym tonem powiedział:

- Jesteś bardzo ładny. Szkoda cię na pegaza. Zastanów się jeszcze nad tym.

- Zabiję!!! - wrzasnęła Lesandra, wypadając z jamy pod korzeniami drzewa. Była naprawdę wściekła. Olbrzymi biust falował przy każdym jej ruchu.

Lukrecjusz napotkał pytający wzrok Teofila.

Popatrzył więc jeszcze raz na wydawałoby się żyjące własnym życiem, jędrne piersi rusalki. Nie, stanowczo nie robiło to na nim żadnego wrażenia. Pomyślał tylko, że rusalce musi być bardzo niewygodnie tak cały czas taszczyć przed sobą taki ciężar.

- Zabiję!! - krzyczała Lesandra. - Flaki mu wypruję!!!! Twój stuknięty brat znowu grzebał w moich sukniach!!

Teofil roześmiał się we właściwy sobie nieprzyjemny sposób.

- Nie żałuj mu - powiedział wesoło. - To mu sprawia taką radość.

- O nie! - zawołała Lesandra. - Musi wreszcie zrozumieć, że z takim dupskiem i nabrzmiałym bebechem nie mieści się w mój rozmiar. Niszcz mi moje najlepsze sukienki!! Mam już tego dość!!

- Możesz mu to sama powiedzieć - rzekł Teofil i wskazał na lewy kraniec wąwozu.

Rzeczywiście, wesoło nucąc coś pod nosem, w radosnych podskokach zbliżał się stamtąd do nich Omon - młodszy brat Teofila, odziany w połyskliwą, jaskrawo fioletową szatę. Szata ta była na niego wyraźnie za ciasna i pękła w kilku miejscach, resztę dokończyły krzewy i krzaki, drąc bezlitośnie na strzępy delikatną materię. Ale Omon nie przejmował się tym wcale, zrobił pięknego fikołka, błysnął grubymi, włochatymi łydkami i zaśmiał się bez troski. Ale wtedy zobaczył Lesandrę...

- Moja najlepsza sukienka!!!! - zawyła rusalka. - Ty patalachu!! Wracaj tu!! Wracaj tu natychmiast!!

Ale Omon nie miał zamiaru wracać, podkasał strzępy sukni i pędem puścił się tam, skąd przyszedł. Lesandra zaczęła go gonić.

- Czekaj!! Poczekaj no tylko!!! - krzyczała. - Nogi z dupy ci powyrywam!!

Lukrecjusz osobiście nie wierzył w spełnienie tej groźby. Lesandra mimo swych ponętnych, obfitych kształtów była tylko rusalką, Omon zaś, jak każdy satyr, był stworzeniem dość dużym i chyba dosyć silnym. Ale brat Teofila widocznie wolał nie ryzykować konfrontacji z rozwścieczoną rusalką, gdyż błyskawicznie wdrapał się na stok wąwozu i tyle go widzieli. Lesandra zaś, ponieważ nie zamierzała zrezygnować z pościgu, ruszyła za nim. Długo jeszcze słychać było krzyki ich obojga...

Lukrecjusz postanowił już iść.

- Przyjdź wieczorem - zawołał za nim Teofil. - Na bagnach szykuje się impreza. Może być wesoło.

- Przyjdę - powiedział Lukrecjusz, nie odwracając się.

- Dobrze ci to zrobi. I zastanów się jeszcze nad sobą, dobrze ci radzę!

Lukrecjusz spuścił głowę.

„Nie ma się nad czym zastanawiać” - pomyślał. - „Jest, jak jest i myślenie o tym niczego nie zmieni”.

8

A jednak w każdej plotce jest ziarenko prawdy. Lesandra rzeczywiście mieszkała z Teofilem i jego bratem, tyle tylko, że o wyuzdanych orgiach z udziałem tej trójki raczej nie mogło być mowy...

Lukrecjusz był niezadowolony z tej wizyty. Czuł się jakoś dziwnie.

Jego problemy, jak były, tak pozostały nierozwiązane. Za to poznał cudzą tajemnicę, a przecież wcale tego nie chciał.

W dodatku nikt go nie rozumiał. Nikt, nawet Teofil.

Ale właśnie dzięki rozmowie z Teofilem Lukrecjusz uzmysłowił sobie parę bardzo ważnych spraw. Kiedy teraz jeszcze raz o tym wszystkim myślał, rozumiał na przykład, że jego niechęć do lasu i miłość do łąki były sprawami drugorzędnymi. Bo najważniejsze było przecież to, iż Lukrecjusz był pegazem. Wiedział to już teraz na pewno. I nie chodzi tu już tylko o jakieś jego śmieszne marzenie, jak myśli Teofil, nie, to nie o marzenie chodzi, a o całe jego życie. To nie mrzonka fantasty. To coś, co po prostu jest, niezależnie czy ktoś w to wierzy, czy nie. To jest i już. Stało się i jest. A Teofil tego po prostu zupełnie nie rozumie. Nic nie rozumie.

A może to rzeczywiście dziwne, że Lukrecjusz dotąd się w nikim nie zakochał?

Jednak Lukrecjusz pomyślał, że skoro jest pegazem, to chyba całkiem normalne, iż nie interesują go ani rusalki, ani nimfy, nie mówiąc już o satyrach, czy elfach... Pegazy przecież lokują swe uczucia, gdzie indziej...

Był więc najnormalniejszym w świecie pegazem, tyle że zamkniętym w ciele drzewnego elfa!!

Był tak uradowany tym odkryciem, że zrobił kilka przewrotek. Wszystko zawirowało w jakimś radosnym chaosie... Lukrecjuszowi zakręciło się w głowie i wyładował w gęstych, wysokich paprociach, porastających ściany wąwozu. Zagłębiwszy się w ich chłodnym, zielonym gąszczu, chwilę leżał tak, czekając aż

świat wokół i wewnątrz niego się nieco uspokoi. I leżałby tak sobie bez ruchu całą wieczność, ale wydało mu się to głupie. Prychnął więc beztróskim śmiechem i wygramolił się z paproci.

Tylko co z tego, że teraz wie już to wszystko. Przecież nie rozwiązywało to wcale jego obecnej sytuacji.

Ale wreszcie wie już na pewno kim jest, a to przecież też bardzo dużo znaczy.

Humor mu jednak jakoś oklapł.

Wolno powlókł się w górę wąwozu.

Na jego skraju siedział szeroko rozrzucając grube nogi satyr Omon. Uśmiechał się do siebie i patrzył w niebo. Kołysał się przy tym na boki.

Lukrecjusz ucieszył się na jego widok. Omon na pewno go zrozumie.

- Hej! - zawołał przyjaźnie. - Lesandra cię już nie ściaga?

- Zgubiłem ją! - powiedział uroczystym szeptem Omon i znów się uśmiechnął. - Wpadła w jakieś bajoro!

- Utopiła się? - zaniepokoił się elf.

- Nieee - odpowiedział Omon. - Tylko cała się ubłociła. To było płytkie bajoro. Poszła się umyć i na razie mam spokój.

Lukrecjusz usiadł obok niego na trawie.

- Ale się dziś wkurzyła - powiedział Omon i przekrzywił na bok swą dużą głowę.

- No - potwierdził elf. Jak czasem trudno jest zacząć rozmowę o czymś naprawdę ważnym. - Ładną pogodę mamy dzisiaj.

- Faktycznie - powiedział Omon i spojrzał w niebo. - Wcale się nie chmurzy.

Lukrecjusz spojrzał na strzępki jaskrawofioletowej szaty. Zaryzykował.

- Omon, ty z pewnością mnie zrozumiesz, tacy jak my powinni trzymać się razem.

Satyr podrapał się w swą skołtunioną, zmechaconą czuprynę i popatrzył na niego z zaciekawieniem.

Lukrecjusz ściszył głos:

- Ja t o rozumiem, rozumiem to, że chcesz być rusalką.

Omon otworzył szeroko oczy.

- Ależ ja wcale nie chcę!! - zawołał tak głośno, że Lukrecjusz aż się odsunął. - Po prostu uważam, że w stroju rusalki bardzo mi do twarzy, a ty tak nie sądzisz?

Lukrecjusz spojrzał na niego uważnie.

- Oczywiście, że też tak sądzę - powiedział szybko. Postanowił jednak jeszcze nie rezygnować, może po prostu źle sformułował pytanie.

- Nigdy nie czuleś, że siedzi w tobie ktoś inny niż ten, kim jesteś na zewnątrz? - zapytał z nadzieją w głosie.

Satyr cały zmarszczył się w akcie intensywnego myślenia.

- Ja to ja - powiedział po chwili. - Nic więcej we mnie nie ma, tylko ja. I bardzo mi się podoba ten stan, bardzo mi to odpowiada. A w tobie ktoś siedzi?

- Siedzi - powiedział elf, patrząc w ziemię. - Bo widzisz, ja w środku jestem pegazem. Nie elfem.

- Taaak - ożywił się satyr. - A wiesz, że to ciekawe. Bardzo wierzga?

- Kto?

- No ten pegaz, co w tobie siedzi? Nie można go jakoś z ciebie wygonić?

Lukrecjuszowi nagle odechciało się dalszej rozmowy.

- Nie rozumiesz - powiedział ze zniechęceniem. - Ja po prostu jestem pegazem w ciele elfa. Ja to właśnie ten pegaz, a nie ten elf, którego widzisz.

- Aha - powiedział Omon i zamyślił się. - To też ciekawe. Może nawet ciekawsze. W ogóle jesteś ciekawym przypadkiem. Pierwszy raz spotykam kogoś takiego.

Lukrecjusz poczuł, że traci tylko niepotrzebnie czas.

- Ty - zawołał nagle Omon - to wolisz elfy, czy rusalki?!?!

Teraz Lukrecjusz naprawdę się zdenerwował. Wstał bez słowa i odszedł.

Omon zdziwił się, podrapał się w piętę i spojrzał w niebo.

„Być pegazem kiedy się jest elfem!?!... Nie, to nie jest normalne” - pomyślał satyr. - „To stanowczo nie jest normalne”.

I Omon, tak na wszelki wypadek, postanowił w przyszłości trzymać się z dala od Lukrecjusza.

9

Bajbise siedziała sobie spokojnie wśród traw, gdy nagle czyjaś bosa stopa o mało jej nie rozdeptała. Ropucha ledwo zdążyła uskoczyć w bok!

- Uważaj, jak łazisz, łachudro!! - zawołała ze złością Bajbise.

Młody elf rozejrzał się z przestachem dookoła.

- Można by tak patrzeć pod nogi i nie deptać innych, nie!!! - znów wrzasnęło coś z dołu.

Elf spojrzał ze zdziwieniem na oblesną, zieloną ropuchę.

- Przepraszam - powiedział Lukrecjusz. - Zamyśliłem się po prostu i nie zauważyłem cię.
- Pewnie, pewnie!! - kipiła ze złości ropucha. - Nie zauważyłem i stratowałem, no bo przecież nie zauważyłem, jestem czysty!! Umywam ręce!!

Elf stropił się.

- Ale poczekaj ty - powiedziała Bajbise - poczekajcie wy wszyscy, niech no tylko odzyskam mą dawną postać, a wtedy...

Lukrecjusz aż przykucnął z wrażenia.

- A więc i ty źle czujesz się w swoim ciele - zawołał niemal radośnie.

- Wtedy, wtedy... - zająknęła się ropucha.

- A więc i ty czujesz, że nie jesteś tym, kim jesteś dla drugich!! To cudowne!!...

- I z czego się cieszysz, baranie! - krzyknęła ropucha. - Nie ma w tym nic cudownego!!

- Ale naprawdę czujesz, że jesteś kimś zupełnie innym? - zapytał elf.

- Ja nie czuję, ja po prostu j e s t e m wiedźmą - odpowiedziała ropucha. - Jestem Bajbise!

Lukrecjusz popatrzył na nią niemal z zachwytem.

- Słyszałem o tobie - powiedział. - Musisz bardzo cierpieć.

- Nie, jestem tylko wściekła, cholernie wściekła. Ale oni mi za to zapłacą!! Zapłacą, jakem Bajbise!!

- Co więc zrobisz? - zapytał współczująco elf.

- Nie wiem. Gdybym wiedziała, nie rozmawiałabym przecież z tobą w tej postaci!!

Lukrecjusz zamyślił się.

- Czy sądzisz, że zewnętrzna powłoka jest aż tak ważna? - zapytał po chwili.

- Oczywiście! - odpowiedziała ropucha. - Już nawet to moje dawne, pomarszczone ciało było lepsze niż to teraz!

- Myślisz, że to by coś zmieniło? Ty jesteś wiedźmą, wiesz to na pewno i może to wystarczy? Może nie wolno chcieć niczego więcej?

- Bzdura! Kto ci naopowiadał takich głupot?

- Nikt. To ja tak sam...

- Posłuchaj - powiedziała ropucha - być może najważniejsza jest nasza dusza. Ale pamiętaj, że inni widzą cię t y l k o poprzez twoje ciało. Nie możesz zachowywać się na przykład jak... - Bajbise popatrzyła uważnie na elfa - na przykład jak pegaz, wyglądając jak elf. Bycie pegazem to częściowo także i wyglądanie jak pegaz. Jeśli nie będziesz wyglądał tak jak on, nigdy nie będziesz pegazem naprawdę.

Lukrecjusz słuchał jej jak urzeczony.

- Dlaczego podałaś akurat przykład pegaza? - zapytał.

Bajbise znów spojrzała na niego mądrymi, wszystko rozumiejącymi oczami. Lukrecjuszowi wydało się, iż teraz z ciała ropuchy rzeczywiście patrzy na niego ktoś zupełnie inny.

- Jeśli się umie patrzeć - powiedziała ropucha - widzi się znacznie więcej niż pozostali. Nie zapominaj, że jestem wiedźmą.

- I nie śmiesz cię to, że czuję się pegazem?

- A czy ty uważasz, że jest w tym coś śmiesznego?

- Nie, ale...

- A więc dlaczego miałabym się śmiać?

- Jesteś bardzo mądra - powiedział Lukrecjusz.

- Nie - odpowiedziała Bajbise. - Gdybym była naprawdę mądra, nie rozmawiałbyś teraz ze mną, a ja nie wiedziałabym tego wszystkiego, co ci przed chwilą rzekłam.

Lukrecjusz patrzył na nią poważnie.

- Po prostu gdybym rzeczywiście była mądra, nigdy nie stałabym się ropuchą.

- Przecież można chyba coś zrobić? - zapytał Lukrecjusz.

Ropucha zamyśliła się.

- Ty i ja - powiedziała - potrzebujemy zupełnie różnych rzeczy. Zaklęcie, które na mnie rzucono, jest nieodwracalne, chyba, że odkryję antidotum. Ale to się jak dotąd nikomu jeszcze nie udało. Ty zaś potrzebujesz kogoś, kto ma tak potężną moc magiczną, iż będzie mógł przemienić cię w pegaza. Ale od czasu śmierci Elfeusza nikt w Krainie Elfów nie ma takiej mocy.

- To może ktoś poza granicami naszej krainy?

- Może.

- Ale gdzie go szukać?

- Nie wiem.

Lukrecjusz spuścił głowę.

- Pamiętaj - rzekła znów Bajbise - że zaklęcie przemieniające cię w pegaza będzie, tak jak moje, obecnie nieodwracalne. Najważniejsze jest więc to, abyś wiedział na pewno, że tego chcesz i umiał przekonać o tym tego, kto będzie to zaklęcie rzucał.

- Rozumiem - powiedział Lukrecjusz.

- Jestem już trochę zmęczona... - powiedziała ropucha.
- Czy będę mógł jeszcze kiedyś z tobą porozmawiać? - zapytał elf.
- Nie sądzę, aby miało to jakikolwiek sens - odpowiedziała Bajbise. - To będzie twoja decyzja i sam będziesz musiał ją podjąć. Nikt tego za ciebie nie zrobi. A ja ci już nic więcej mądrego nie powiem.
- Rozumiem - powiedział znowu Lukrecjusz. - I dziękuję. Nawet nie wiesz, jak mi pomogłaś.
- Powodzenia, młody pegazie!! - krzyknęła za nim ropucha.

Lukrecjusz roześmiał się serdecznie i w podskokach pobiegł w stronę bagien. Słońce już zachodziło, a przecież obiecał wieczorem wpaść do Teofila.

Bajbise patrzyła za nim jakiś czas. Nawet gdy zniknął jej z oczu. Westchnęła ciężko i zamyśliła się.

Z zadumy wyrwało ją dopiero donośne kumkanie i natrętnie wpatrzone w nią czyjeś oczy. Obok Bajbise bowiem od dłuższego już czasu siedział duży, dorodny ropuch. Karminowoczerwone boczne brodawki pulsowały mu namiętnie.

- Czy mówił ci już ktoś kiedyś, że jesteś piękna? - zapytał zniewalającym, odpowiednio modulowanym skrzekiem.

Bajbise wytrzeszczyła swe ropusze oczy.

- Spadaj, mały - rzekła oschle.

Ropuch zmrużył ślipka i znów zakumkał zalotnie.

- Piękna i w dodatku z temperamentem - zaskrzeczał.

- Mówisz to każdej napotkanej cizi? - spytała ropucha.

- Tak - przyznał się ropuch. - Ale tylko w twoim przypadku jest to prawdą!

Wciąż patrzył na nią uwodzicielsko zmrużonymi oczami. Pyszczyk wykrzywił mu się w lubieźnym uśmiechu.

- Przecież wiem, że też o tym marzysz - rzekł i z jego gardła znów rozległy się czarujące dźwięki donośnego kumkania.

Bajbise spojrzała na niego z politowaniem i odwróciła się do niego tyłem.

- Wiedziałem - krzyknął ropuch i skoczył na nią z impetem i fantazją napalonego ogiera. Mimo chropowatości skóry na jej plecach nieco się ześlizgnął.

- Co ty robisz! - wrzasnęła Bajbise, przygwożdżona do ziemi ciężarem.

Ale ropuch dalej gramolił się na jej plecy i z lubością przywarł do niej swym okrągłym jak piłeczka brzuszkiem.

- Cicho być - wycharczał namiętnie. - Zaraz znajdziesz się w raju! Niech cię o to głowa nie boli.

Obląpił ją silnie swymi błoniastymi łapkami i już chciał spełnić swą obietnicę, gdy rozwścieczona Bajbise zrzuciła go z siebie. Była większa od niego, a złość dodała jej sił.

- Odwal się ode mnie, ty przebrzydły, chamski, niewychowany ropuchu!! - ryknęła dziko.

- Nie to nie - powiedział wyraźnie urażony ropuch. - Nie jesteś jedyną ropuchą na łące.

Wydał pogardliwie pyszczyk i z obrażoną miną zniknął wśród gęstych, zielonych traw.

Bajbise trzęsa się cała ze wstrętu i oburzenia.

- Tego już za wiele! Ale ja wam pokażę! - krzyknęła. Wskoczyła na pobliski kamień i spojrzała w niebo.

- Ja wam jeszcze pokażę!! Jakem Bajbise!! - zawołała groźnie. I właśnie wtedy przebił ją swym dziobem jakiś przechodzący tędy bocian.

Bociany po prostu nie lubią ropuch.

10

Teofil czekał na Lukrecjusza w wąwozie, niedaleko swojej jamy.

- Jesteś nareszcie - powiedział na widok elfa. - Musimy jeszcze tylko gdzieś zajrzeć.

Ruszyli szybkim, rażnym krokiem.

- Bałem się, że nie przyjdiesz - zaśmiał się satyr.

Lukrecjusz wzruszył ramionami. Dlaczego miałby nie przyjść. Co miał teraz innego do roboty.

Wyszli już z wąwozu. Satyr prowadził elfa na jakąś zapuszczoną, podmokłą łąkę. Trawa była tam bardzo wysoka.

- Dokąd idziemy? - zapytał Lukrecjusz.

- Zobaczysz - rzekł satyr. - I nie zadawaj za dużo pytań, jak już tam będziemy.

Woda chlupotała im pod nogami. Bujna, zielona trawa chłostała po twarzy.

Zmierzczało. Słońce zniknęło już za horyzontem.

Po kilku minutach szybkiego marszu oczom wędrowców ukazał się duży szafas, ozdobiony drobnymi, jasnozielonymi liśćmi i uszczelniony puszystym mchem. Dookoła szafasu rosły małe, wesołe świerczki, a w powietrzu unosiła się słodkawa, dziwna woń. Grunt nie był tu już tak wilgotny. Zresztą teren dookoła szafasu wysypany był drobnymi, okrągłymi kamyczkami.

Teofil zatrzymał się.

- Nie ma go - powiedział rozglądając się uważnie dokoła.
- Ależ jestem - zawołał jakiś niski głos. Z wysokiej trawy za nimi wyłonił się duży, pomarszczony gnom. - Dla moich klientów zawsze jestem.

W czeluściach przepaścistego kaptura ukazały się dwie szpary oczu. Lukrecjusz przestraszył się ich zimnego, lekko drwiącego spojrzenia.

- Kim jest twój młody przyjaciel? - zapytał gnom. W ciemnościach kaptura jakby lekko zarysował się chudy, garbaty nos.

- To Lukrecjusz, elf drzewny - powiedział niecierpliwie Teofil.

Skośne szpary zimnych oczu znów spojrzały ciekawie na Lukrecjusza. Elf poczuł, że zaczyna drzeć mu dolna szczęka.

- To co zwykle? - zapytał niski, metalicznie brzmiący głos. Skośne trójkąty gnomich oczu zgasły. Cała zakapturzona postać zwróciła się teraz ku Teofilowi. - „Nektar zapomnienia”?

- Nie, dziś coś mocniejszego - powiedział Teofil z wstydliwym uśmiechem. - W końcu to noc Szalonej Belzebuby!

- Ognistej Belzebuby - poprawił go gnom.

Teofil zawstydził się już zupełnie.

- Mniejsza o to - powiedział. - Chcę dziś coś ekstra.

- Ale to drożej kosztuje... - oczy gnoma patrzyły uważnie na satyrę.

- Nie szkodzi - powiedział Teofil. - Jakoś dobijemy targu.

- Wejdz do środka - rzekł niski, metaliczny głos.

- Poczekaj tutaj - zawołał satyr do Lukrecjusza. - Zaraz wracam.

Elf pokiwał głową. Z głębi kaptura znów spadło na niego przenikliwe spojrzenie. Elf zadrzał pod jego naporem.

- Coś cię gryzie młody przyjacielu, prawda? - powiedział gnom. - Przyjdź do mnie kiedyś. Porozmawiamy.

Gnom i Teofil zniknęli wewnątrz szalasu.

Lukrecjusz został sam. Był zupełnie oszołomiony. Czyżby tamten mógł wiedzieć? Może też potrafił patrzeć jak Bajbise? Miał przecież takie dziwne, niesamowite oczy. A może po prostu umiał czytać w myślach? Bo to przecież nigdy nic nie wiadomo.

Ale nie było czasu nad tym się zastanawiać, bo wkrótce na progu szalasu pojawił się radośnie uśmiechnięty Teofil. W rękę ścisnął niewielki kryształowy flakonik. Za satyrę ukazała się zgarbiona, zakapturzona postać.

Lukrecjusz uważnie popatrzył na gnoma. Zaciemniona kapturem twarz chyba się uśmiechnęła.

- Przyjdź - powtórzył swe zaproszenie dziwny gnom i nie odezwał się już więcej ani słowem.

I znów wysokie trawy smagały ich po twarzach. Ale elf myślał teraz tylko o niezwykłym nieznanym w kapturze.

Nagle w umyśle Lukrecjusza coś zaświtało. Spojrzał podejrzliwie na Teofila. „Powiedział mu” - przemknęło przez głowę elfa. I poczuł złość. - „Nie miał prawa tego robić bez uzgodnienia tego ze mną”.

Ale twarz Teofila wyrażała tak bezgraniczne uszczęśliwienie, z takim pietyzmem satyr przyciskał do piersi kryształowy flakonik, że elf się uspokoił. Zrozumiał, że Teofil nie był w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o zawartości owej kryształowej buteleczki, po którą przecież tu przyszedł. Nawet więc jeśli coś powiedział, to z pewnością tylko i wyłącznie na wyraźne życzenie gnoma. Ciekawe czy gnom pytał go o coś. Może tak wy badać Teofila? A może jednak nie. Bo jeśli gnom o nic go nie wypytywał...

- Mało coś tego - zauważył Lukrecjusz, spoglądając na kryształowy flakonik.

- To koncentrat - powiedział Teofil pogodnie - trzeba go rozcieńczyć.

Satyr był w nieprzyzwoicie dobrym humorze.

- Kim jest ten gnom? - zapytał elf.

- Jak to!! - zawołał zaskoczony Teofil. - Nie poznałeś?

- Nie.

Teofil uśmiechnął się kpiąco.

- To był Wiedźmar. Nie mów tylko, że o nim nigdy nie słyszałeś?

Słyszał, oczywiście, że słyszał. Kto by nie słyszał o Wiedźmarze. Tylko jak miał go poznać, skoro nigdy go dotąd nie widział. Więc to był Wiedźmar. To wyjaśniałoby wszystko...

- Czy to prawda, że za to - wskazał na buteleczkę - płaci się własnym życiem?

Teofil spojrzał na niego drwiąco błyszczącymi oczkami.

- Tak słyszałem, tak mówią. Pytam tylko, czy to prawda?

Satyr odwrócił głowę.

- Wiedźmar - powiedział - ma wprawdzie zwyczaj kolekcjonowania niewykorzystanych jeszcze chwil i godzin z życia innych istot. Ale takiej zapłaty żąda tylko za silnie działające mikstury.

Lukrecjusz spojrzał na niego z niepokojem.

- Ile za to dałeś? - zapytał.

- Dwa dni. To dość mocny trunek!! Chyba, że za bardzo go rozcieńczę...

Widząc przerażone oczy elfa zaśmiał się.

- Cóż znaczy kilka dni mniej wobec kilku godzin wspaniałej, prawdziwej zabawy, o które będę w ten sposób bogatszy?

Lukrecjusz nic nie odpowiedział. Może i Teofil miał rację. Krótkie, radosne życie zamiast długotrwałej nudy i szarżyny? Ale mimo wszystko Lukrecjusz wzdrygnął się lekko i stracił wszelką ochotę na ponowną wizytę u Wiedźmara. Stanowczo nigdy więcej tu nie przyjdzie.

- Dokąd teraz? - zapytał jakoś ze smutkiem.

- Jak to dokąd! - zawołał Teofil. - Na bagna!!

.....

Bagna i moczary były wstydliwą częścią Krainy Elfów. Okrażano je z daleka i unikano tego tematu nawet w rozmowach. Było to bowiem siedlisko najróżnorodniejszych wykolejeńców i mętów wszelakiego rodzaju. Podejrzane te pod każdym względem osobniki zbierały się tam, aby oddawać się niewyszukanym i plugawym rozrywkom. Słowem prawdziwe bagno, w którym znaczeniu tego słowa!! Tak przynajmniej twierdziły leśne panny, które aczkolwiek nie miały nic wspólnego z całym tym bezceństwem, ale wszystkie najświeższe ploteczki stamtąd znały doskonale. Nowinki moczarowo-bagiennie szczególnie zresztą zyskały na atrakcyjności odkąd pojawiły się słuchy, iż na bagnach często bywa Aureolia II, było nie było, ale zawsze exkrólowa rusalek!!

Na bagnach wszystko było dzikie i swobodne, wszystko rosło tam jak chciało i kiedy chciało i, o dziwo, bez niczyjego doglądania. Wszystko było tam zupełnie wolne i niezależne... Jak pegazy...

I oto Lukrecjusz teraz na własne oczy ujrzył te osławione moczary, tą słynną oazę wolności i rozpusty, taka to bowiem wizja bagien powstała w umyśle elfa.

Gęste zarośla i grząski grunt skutecznie odstraszały wszelkich nieproszonych gości. Jeden fałszywy krok można było przypłacić kąpielą w bagnie, które ma to do siebie, iż z reguły niechętnie wypuszcza tych, którzy w nie wpadną. Co innego jeśli znało się, jak Teofil, odpowiednie ścieżki. Wtedy można było obejść suchą nogą całe moczary wzdłuż i wszerz.

Lukrecjusz podążał więc za Teofilem. Przedzierał się przez coraz gęstsze i coraz bujniejsze zarośla.

W całym lesie czuć było tajemnicze ożywienie. Coś szeleściło w liściach krzewów, jakieś cienie bardzo szybko przecinały im drogę, ktoś przemyczał się pomiędzy omszałymi pniami drzew... W powietrzu czuło się po prostu ten przedświąteczny nastrój oczekiwania i gorączkowych, radosnych przygotowywań. Zaś Lukrecjuszowi wydawało się, iż wszystko wokół także wyrusza na to tak tajemniczo brzmiące dla niego święto Ognistej Belzebuby...

Bagno bulgotało spokojnie pod nimi, gdy szli po zwałonych pniach, lub przeskakiwali z korzenia na korzeń. Lukrecjusz po raz pierwszy widział tak ogromne i tak stare drzewa.

Mrok zapadał szybko, ciemność błyskawicznie wypełzała spod korzeni i liści. Tu i ówdzie jednak zapalały się niebieskie i zielone światła.

- To błędne ogniki - objaśnił elfa Teofil.

- A te małe, fruwające po całym lesie? - zapytał Lukrecjusz.

- To robaczki świętojańskie.

Przed nimi otworzyła się ciemna, gładka przestrzeń bagiennego jeziora. Przy brzegu kwitły białe lilie wodne o olbrzymich liściach, pływających swobodnie po powierzchni wody.

- To tam - powiedział Teofil i wskazał na oświetloną przez błędne ogniki wyspę. Wśród czarnych, wysokich drzew widać było ciemne postacie zgromadzonych. W stronę wyspy leciały wciąż nowe ogniki i całe roje robaczek świętojańskich.

Teofil ostrożnie stanął na kępie trawy tuż nad samą wodą. Wszedł na ogromny liść nenufaru.

- Wskakuj - powiedział do Lukrecjusza. - Na wyspę wprawdzie można dostać się i tamtędy, brzegiem, po korzeniach i pniach tamtych drzew, ale to znacznie dłuższa droga i dlatego popłyniemy na tym liściu. No, wchodź! Śmiało!

Liść lekko się zakotłosał, Lukrecjusz szybko siadł na jego środku. Teofil zręcznie przeciął łodygę nenufaru i długą, suchą gałęzią odbił się od brzegu.

Cicho plusnęła czarna, gładka woda. Z oddali doleciał czyjś radosny śmiech.

Płynęli bezszelestnie po ciemnej toni jeziora.

Niebo było już granatowe, ale mrok nadchodzącej szybko nocy co jakiś czas rozjaśniały przelatujące ogniki.

Lukrecjusz wkrótce dostrzegł wiele takich liści, spokojnie dryfujących po jeziorze w ten sam sposób co oni. Rozległy się wesołe pokrzykiwania. Ktoś pomachał im z pobliskiego liścia. Teofil również pomachał sąsiadom, choć w ciemnościach zupełnie nie widać było, kto to był.

Lukrecjusz ze zdziwieniem stwierdził, że chyba ma lekkie pietra.

.....

Gdy dopływali już do brzegu, jakaś strzyga zaczęła pisać na ich widok.

- Teofil!! - wrzeszczała chrapliwie, wbiegając do wody. - Nareszcie jesteś!! Czekam i czekam!!

I rzuciła się w ciemną toń jeziora, płynąc na ich spotkanie. Zanurkowała, po czym wynurzyła się tuż przy ich liściu.

- Tylko nie próbuj takich sztuczek w innych częściach wyspy - powiedział Teofil, patrząc na nią z uśmiechem.

- Przecież wiem - powiedziała strzyga, zgrabnie przebijając pod wodą białymi nogami. Uśmiechnęła się bezczelnie.

- Dlaczego nie można pływać z innej strony wyspy? - zapytał Lukrecjusz.

- Bo wciążnie cię bagno - powiedziała strzyga, przekrzywiając swą mokrą główkę. - To jedyne miejsce podatne do kąpieli.

- Aha - rzekł Lukrecjusz. Rzeczywiście wszystkie liście dopływały tylko do tej strony wyspy.

- Ale się guzdrzecie - powiedziała strzyga. - Spotkamy się na polanie.

Znowu zanurkowała i po chwili była już na brzegu. Pomachała im, otrzepała się z nadmiaru wody i tyle ją widzieli.

Teofil uśmiechnął się.

- Wariatka - rzekł, spoglądając na Lukrecjusza. - Ale za to ją lubię...

Znow popatrzył na Lukrecjusza, zamyślił się, ale nagle jakby sobie coś przypomniał.

- Dobijamy do brzegu - zawołał i, nie patrząc już na elfa, szybko zeskoczył z liścia.

Latające w tą i z powrotem błędne ogniki oświetlały wyspę miłym zielono-niebieskim światłem. Z wyspy dobiegał przytłumiony gwar głosów uczestników zabawy.

- Nasz liść położymy pod tym drzewem - powiedział Teofil. - Przyda nam się jeszcze w drodze powrotnej.

Gdy wyciągali swoją „łódkę” na piasek, Teofil otarł się delikatnie o Lukrecjusza. Może był to tylko przypadek? Elf jednak odsunął się szybko i, jak wydało się Teofilowi, ze wstrętem, a satyr, na ile można było to stwierdzić w tym oświetleniu, chyba się zaczerwił.

.....

Aureolia siedziała na jakimś pieńku i popijała sobie „nektar zapomnienia”. Sączyła go powoli, w końcu niech ma coś z tego, skoro ta wątpliwa przyjemność kosztowała ją cztery godziny życia... Zresztą niby gdzie się miała śpieszyć. Zwłaszcza, że „nektar zapomnienia” był paskudny w smaku. Może dlatego był taki ohydny, że był taki tani...?

Aureolia obserwowała ze znużeniem zgromadzone towarzystwo. Ani jednej interesującej osoby. Rozczochrane strzygi, zjeżone upiory o pomarańczowych oczach i jeszcze raz pomarańczowookie upiory, i znowu strzygi i znowu upiory... A nie, jeszcze tłuste zmory i obszłizgłe, czteropalczaste wodniki.

Cztery godziny za „nektar”, tu z jakiegoś pięć wytrzyma i jakoś ten czas zleci do jutra. A jutro? To się już będzie jutro martwić.

Gdzieś w tłumie mignął ktoś znajomy. Ale kto? Czy to zresztą miało jakiegokolwiek znaczenie. Ale zaraz, cóż to za niewinne, błękitnookie stworzenie stoi obok Teofila. Gdyby nie było takie beznadziejnie cielakowate, mogłoby nawet ująć. Na bezrybiu i rak ryba, jak to mówią, a przysłowia są przecież mądrością narodów. Ale Aureolia nie jest jeszcze tak chamska, aby wrywać zdobycz biednemu Teofilowi. Tak mu się chciwie ślipki świecą... Aureolia zakrztusiła się. Jak miło. Wreszcie miała pretekst, aby wypluć to świństwo, które przetykała już chyba od godziny.

Ktoś stanął przed nią i uśmiechał się słodko. Aureolia więc mechanicznie również wyszczerzyła zęby.

- Co za wspaniała impreza - powiedziała, aby coś powiedzieć. Teraz wiedziała już, że jej rozmówcą jest Omon. Był w ciemnogrnatowej sukni z dużym dekoltem, a za prawe ucho wetknięty miał krwistoczerwony kwiat gigantycznych rozmiarów.

- Szalowo wyglądasz - powiedziała Aureolia.

- Prawda! - ucieszył się Omon. - Wybacz, ale pędzę dalej.

I zniknął w tłumie. A więc wcale nie chciał z nią rozmawiać. Jaka szkoda. Aureolia splunęła na podłoże.

- Co za świństwo - powiedziała i znowu się napiła.

.....

- Widzisz te kadzie na brzegach polany? - zapytał Teofil.

- Tak - powiedział Lukrecjusz.

- Tego nie pij - poinstruował go satyr. - Tam jest „leśny szmerek”. Za to się nic nie płaci, ale to też i w sumie nic nie daje. To pije się na koniec, jak masz już klimat i nie ma nic innego. Zrozumiałeś?

Elf pokiwał głową. Właściwie to był lekko rozczarowany. Wielkie święto Ognistej Belzebuby było po prostu zbieraniną najwykleszonych smutasów, stłoczonych na dość ciasnej polanie pośrodku wyspy na bagiennym jeziorze. I gdzie tu wolność, dzikość i swoboda? A nawet ta osławiona rozpusta, bo i tego przecież nawet nie było.

- Idziesz? - zapytał Teofil.

- Ja tu zostanę - powiedział Lukrecjusz.

- Jak tam chcesz - rzekł satyr i, witając się ze znajomymi, zagłębił się w tłumie.

Lukrecjusz stanął pod drzewem. Właściwie żałował, że tu przyszedł. Czuł się tu dziwnie i obco. Nie znał nikogo, a i wszyscy tak na niego patrzyli. Ale tu każdy na każdego patrzył tak nieufnie. Zbili się w sztywne grupki znajomków i patrzą jeden na drugiego. Nie, oni się gapią, gapią się tępo i głupio. Też mi wielkie święto Ognistej Belzebuby. Jeśli była tak ognista jak oni, to lepiej niech uważa, aby nie zamarzyła!!!

Stanowczo Lukrecjusz wolał już stać tu, na uboczu i podpierać drzewo. Chwilę tak postanowił postać, a potem zabierze się z pierwszymi wracającymi „na łód”. A może zaryzykuje powrót tą drugą drogą, o której mówił Teofil? Czas pokaże.

.....

- Kogóż my tu widzimy! - zawołał po swojemu Teofil, zauważywszy Aureolię. - Cóż robi tu była królowa rusałek?!

Aureolia zmrużyła oczy i uśmiechnęła się.

- To co i inni! Po prostu się bawi! - powiedziała bardzo powoli i zaśmiała się.

- Ależ czy to wypada? Tu, w tym gnieździe rozpusty i zgorzenia!!

Aureolia obrzuciła go znaczącym, powłóczystym spojrzeniem.

- Teofil, zamiast prawić złośliwości, niech lepiej zajmie się tym, o co mu naprawdę chodzi - Wskazała oczyma na stojącego samotnie pod drzewem Lukrecjusza.

- Niestety, nie jest zainteresowany - powiedział wzruszając ramionami satyr.

- Ooo! - powiedziała Aureolia.

Satyr chyba lekko się zaczerwienił.

„Bardzo ci zależało, co” - pomyślała Aureolia i wpiła się w twarz Teofila drwiącym, rozbrykanym spojrzeniem swych piwnych oczu.

- W takim razie ja się nim zajmę - rzekła po chwili. Satyr popatrzył na nią jakoś niewyraźnie. - Wygląda na takiego zagubionego. Biedactwo!! - Aureolia uśmiechnęła się złośliwie do Teofila i kocim, giętkim krokiem podeszła do samotnego elfa.

- Czy my się skądś nie znamy? - zapytała słodko.

- Nie przypominam sobie - powiedział Lukrecjusz.

„Palant” - pomyślała rusałka. - „Głupi palant”.

- To może się poznamy - powiedziała głośno. - Jestem Aureolia, a ty?

- Lukrecjusz - wymamrotał elf. Od rusałki jechało na kilometr „nektarem zapomnienia”.

„Jak mu to ciężko idzie” - pomyślała Aureolia. - „Strasznie ciężko”.

- Ogromnie lubię zawierać nowe znajomości - rzekła infantylnym tonem rusałka. Głowa zaciążyła jej jakoś do tyłu. - To takie ekscytujące - dodała, leciutko dotykając językiem górnej wargi. - Nie sądzisz?

- Też tak uważam - powiedział elf, ale jakoś bez przekonania.

Oczy rusałki roziskrzyły się złym, szyderczym blaskiem.

- Stoisz tu jak malowana krowa!!! - zawołała nagle już zupełnie innym tonem. - Nie strugaj więc teraz ważniaka, bo i tak się nie nabiorę!! Chyba, że dalej chcesz tak tu sterczeć bez sensu!!

Elf stropił się jakoś.

„Jest miękki jak nimfa i wiotki jak nenufar” - pomyślała rusałka ze złością. Nagle odechciało jej się ciągnąć dalej tę szopkę. - „Jest taki bezpłciowy. Taki bezbarwny, mdły do obrzydliwości”.

- Pij - powiedziała Aureolia. - Może to cię trochę rozrusza.

Lukrecjusz jakoś niezgrabnie wziął podany mu kielich kwiatowy i spojrzał w niego podejrzliwie.

- Śmiało!! To nie trucizna!

Elf napił się i oddał rusałce kielich.

Ta obserwowała go cały czas bardzo uważnie.

„A jednak coś w nim jest” - pomyślała Aureolia. - „Tylko za cholere nie wiem, co to takiego!”

Oparła głowę o pień drzewa.

- Wyglądasz na tak bardzo osamotnionego - rzekła przesadnie słodziutkim głosem. Widząc przerażone oczy Lukrecjusza, zaśmiała się. Śmiała się długo i nieprzyjemnie. Nagle zamilkła.

- Wszyscy jesteście tacy sami!! - powiedziała z pogardą. - Potraficie tylko spuszczać przerażone oczy, albo lżyć i traktować jak szmatę!!!

Lukrecjusz teraz rzeczywiście spuścił oczy, ale dopiero teraz, zaraz zresztą z powrotem podniósł wzrok do góry.

- A to gównu możesz sobie zatrzymać - zawołała Aureolia, rzucając na ziemię kielich kwiatu z „nektarem zapomnienia”. Płyn rozlał się po trawie. - Ja tego nie potrzebuję!!!

Szybkimi krokami skierowała się w stronę coraz głośniejszemu bawiących się zmor, strzyg i upiorów.

.....

Lukrecjusz stał pod swoim drzewem z mieszanymi uczuciami. Czuł się teraz jeszcze dziwniej. Nagle zauważył, że obok niego stoi Teofil i przygląda mu się z uśmiechem.

- Będiesz tu tak sterczał przez całą zabawę? - zapytał satyr.

Lukrecjusz spojrzał na niego jakoś bezradnie.

- Masz - powiedział Teofil, podając mu w niebieskim kielichu kwiatowym rozrobiony z wodą specyfik od Wiedźmara.

- Co to jest? - zapytał elf.

- Nie pamiętasz?

Oczy elfa patrzyły dalej równie bezradnie.

- „Wschodnia gorączka”. To, co dostałem od Wiedźmara - rzekł Teofil. - Naprawdę gorący napój!!

- Nie chcę.

Satyr spojrzał na niego z dezaprobatą.

- Nie po to straciłem dwa dni z mego życia, abyśmy z tego nic nie mieli!! No, napij się.

Lukrecjusz podniósł do ust niebieski kielich. „Wschodnia gorączka” szczypała w język i paliła gardło.

- Zuch - powiedział Teofil. - A teraz wracamy na polanę.

- Nie - powiedział cicho Lukrecjusz.

- Z tobą to jak z dzieckiem - skrzywił się satyr. - A Aureolię się nie przejmuj. Ona lubi się droczyć. Patrz, teraz też nas obserwuje. Nie rób mi wstydu.

Lukrecjusz rzeczywiście dostrzegł teraz ironiczne spojrzenie lekko zmrużonych, piwnych oczu. Była królowa rusałek odwróciła się demonstracyjnie i zniknęła w tłumie.

Lukrecjusz przestał się zapierać i dał się zaciągnąć na polanę. Na jej środku w kusząco kobiecej pozie stała Lesandra, powoli obnażając swe piękne, kształtne ciało. Wodniki i upiory porykiwały wesoło.

Gdzieś daleko pohukiwały sowy.

Teofil znów podstawił pod nos Lukrecjusza niebieski, kwiatowy kielich...

.....

Impreza rozkręcała się. „Nektar zapomnienia” zaczynał powoli zbierać swoje żniwo. Coraz częściej widokiem były kluczące zygakiem upiory, jednak większość bawiących się trzymała się jeszcze całkiem nieźle. Zapłonęły ogromne ogniska, a całe bagna rozdzwiewały się kumkaniem żab i cykaniem świerszczy. Te niemal ogłuszające dźwięki rozbrzmiewały z narastającą wciąż siłą. Część uczestników zabawy puściła się więc w dzikie płasy dookoła ognisk. Tupano i podskakiwano zawzięcie w rytm żabich chórów, gdzieś tam zaś chwytało się za ręce i, przepychając się niemiłosiernie w tłoku, krążono wzdłuż całej polany w tanecznych korowodach. Nad tańczącymi unosił się łańcuch robaczek świętojańskich i błędnych ogników, które niczym gigantyczny, żywy wianek opadały i unosiły się do góry, oświetlając rumiane, uśmiechnięte twarze.

Lukrecjuszowi również zaszumiało trochę w głowie od napoju, którym uraczył go Teofil. Czując, jak wszystko nieco wiruje mu przed oczami, patrzył z zaciekawieniem na zamęt dookoła niego. Nagle dojrzał Aureolię. Śmiała się głośno i tańczyła jak szalona w świetle płonących ognisk. Kręciła się w kółko w takt jakiejś obłądnej melodii. Długie włosy Aureolii wirowały wokół niej, porwane szalonym pędem bezwładu. Tańczącą rusałkę z wolna otaczał korowód zachwyconych, dziko podskakujących upiorów i wodników. Otaczały one rusałkę coraz ciałniej, zaś robaczki świętojańskie i błędne ogniki uformowały nad całą tą grupą nowy świetlisty wieniec.

Aureolia miała przymknięte oczy. Gdy je otworzyła, jej wzrok spotkał się ze spojrzeniem Lukrecjusza. Przystanąła na moment, po czym uśmiechnęła się dziwnie. W jej piwnych oczach zamigotały złośliwe iskierki. Wiedząc, że na nią patrzy, potknęła się nagle i padła prosto w ramiona jednego z tańczących wokół niej upiorów. Opadła bezwładnie na jego ręce, lejąc się przy tym jak woda, ale wyrwała mu się ze śmiechem, gdy chciał ją pocałować. Przedarła się przez krąg tańczących i, klucząc pomiędzy drzewami, zanosząc się od szaleńczego śmiechu, pobiegła w mrok. W końcu zniknęła Lukrecjuszowi z oczu.

Elf dostrzegł w ścisłości tańczących Teofila. Pomachał mu. Ten się uśmiechnął. Zaraz jednak przesłoniły go Lukrecjuszowi dziko roztańczone strzygi, powiewające porwanymi, czarnymi sukniemi.

Lukrecjusz wszedł w cień drzew. Wrzaski rozbawionych istot jakby ścichły, tylko kumkanie żab stało się jeszcze głośniejsze. Elf uśmiechał się do siebie. Czuł wciąż lekkie działanie płynu Teofila. Właściwie to zapragnął się wykapać. Ciemna toń wody zamigotała z daleka, spoza drzew. Rozświetlały ją od czasu do czasu pijane błędne ogniki, ganiające się w powietrzu. Lukrecjusz powoli zbliżył się do brzegu. Trzasnęła nadepnięta gałązka.

- Kto tu?! - zawołał jakiś żeński głos.

W dalekim poblasku światła z polany Lukrecjusz rozpoznał Lesandrę. Była zupełnie naga, zanurzona do połowy w wodzie, a z jej wydatnego biustu wylaniała się głowa ściskającego ją wodnika. Uśmiechnęli się oboje do Lukrecjusza, jak przyłapano na gorącym uczynku niegrzeczne dzieci, po czym ze śmiechem zanurzyli się w wodzie.

- O, przepraszam! - powiedział Lukrecjusz i szybko się cofnął.

Musiał zrezygnować z kąpeli. Jedyne zdatne do tego miejsce było chwilowo zajęte... Wracając na polanę, Lukrecjusz natknął się na Aureolię. Rusałka szła, zataczając się lekko. Opierała się o ciemne pnie drzew. Długie, zmierzwiłone włosy spływały swobodnie wzdłuż jej ciała płaszczem fantastycznie splecionych strąków. Na widok elfa Aureolia zachichotała.

- Słyszysz tę muzykę wokół? - spytała rusałka.

- Jesteś pijana - powiedział poważnie Lukrecjusz.

- Nie bardziej niż pozostali - odpowiedziała Aureolia i uśmiechnęła się łobuzersko. - Słyszysz to co ja? Jeszcze chyba nigdy tak nie śpiewały.

- Śpiewały? Jak możesz w ogóle nazywać to muzyką! - zawołał. - Nie rozumiem, jak możecie do tego tańczyć.

- Wsłuchaj się dobrze - powiedziała rusałka.

Zaczął więc uważnie nasłuchiwać. I nagle rehot żab wraz z cykaniem świerszczy zaczęły układać mu się w jedną zwartą linię melodyczną.

- Rzeczywiście - powiedział zdziwiony.

Aureolia uśmiechnęła się, ale tak jakoś inaczej niż dotąd, tak jakoś szczerze i serdecznie.

- A więc słyszysz to - powiedziała. Zadarła do góry głowę. - Patrz jakie gwiazdy!! A może to błędne ogniki? - zakręciła się dookoła. Znow zawirowały w powietrzu jej długie włosy i zielona suknia. - A teraz wszystko się kręci - zawołała Aureolia. - Cały świat się kręci!! I nie ważne czy to gwiazdy, czy błędne ogniki... Aaach, świat się wali!! - potknęła się i wpadła prosto na Lukrecjusza. Podtrzymał ją, oboje zachwiali się niebezpiecznie. Śmiejąc się, spojrzeli sobie prosto w oczy. Były ciemne i błyszczące... I nagle czar przysł. Lukrecjusz poczuł ciężar Aureolii, a jej oczy znow nabrały złego, zimnego wyrazu. On poczuł się jakoś niemile dotknięty tym, że powtórzyła tę samą sztukę, co z upiorami przy ognisku, ona pomyślała, że jest naprawdę bezpłciowy.

Milcząc, oboje wrócili na polanę.

.....

Pod dużym, rozłożystym drzewem leżał rozwalony i nie bardzo już przytomny Teofil. Przechodzący potykali się o jego nogi, ale satyrowi to zupełnie nie przeszkadzało. W duszy bowiem czuł rozkoszny błogostan, a wizyjne majaki podrażnionego umysłu mile mieszały się z realnymi tworamı rzeczywistości.

Jakieś dwa upiory zaczęły przepychać się między sobą. Z początku ze śmiechem, potem już jednak z dziką zawziętością na rumianych, spoconych obliczach obaj przeciwnicy schwycili się za gardła. Chwilę potem już jeden z nich trzymał drugiego za nastroszoną czuprynę i kopał go w brzuch. Kopany upiór jęczał żałośnie, a pijane zmory śmiały się piskliwie. Trwało to chwilę, ale skończyło się szybko, gdy kopany wsadził swemu prześladowcy palec do oka. Oba upiory wywaliły się na trawę i, okładając się pięściami, potoczyły się w pobliskie krzaki. Zmory przestały się śmiać, a Teofil poczuł, że zaczyna trzeźwieć.

Spostrzeżenie to zmartwiło go nieco i zaczął zastanawiać się, od kogo skombinować by tu jeszcze nieco „nektaru zapomnienia”. Bo przecież „Leśny szmerek” nie dawał tak dobrych efektów. „Leśny szmerek” to ostateczność.

Te bardzo intensywne rozmyślenia przerwał Teofilowi Omon. Powiewając piękną, ciemnogrnatową suknią, nachylił się nad satyrem.

- Muszę ci coś powiedzieć - szepnął mu do ucha, po czym chwyciwszy go mocno za rękę, zaciągnął brata za drzewo.

- Spokojnie - rzekł ciągnięty po trawie Teofil.

- Chodzi o Lukrecjusza - powiedział bardzo poważnym tonem Omon, gdy byli już po drugiej stronie rozłożystego drzewa. - Trzymaj się od niego z daleka.

- Dlaczego? - zapytał ubawiony całą tą sytuacją Teofil.

- Lepiej nie pytaj - rzekł tajemniczo Omon. - On jest po prostu d z i w n y i n i e b e z p i e c z n y. Zaufaj mi - dodał Omon szeptem.

Teofil czuł, że zaraz prychnie śmiechem.

- On myśli, że jest p e g a z e m !! - powiedział oburzonym tonem Omon.
 Teofil nie wytrzymał i zaczął się śmiać.
 - Śmiej się, a ja swoje wiem - Omon zrobił jeszcze poważniejszą minę. - Któregoś dnia wyda mu się, że jest smokiem i wtedy zobaczysz.
 - Co zobaczę? - prychnął Teofil.
 - Przecież, gdy poczuje w sobie smoka, wtedy - zawołał Omon oburzony niedomyślnością brata - smok zje pegaza i będzie klops!! Nie będzie już pegaza, nie będzie. Ale wtedy będzie już za późno! Radzę ci trzymaj się od niego z daleka!
 - Dobra, dobra - Teofil poklepał go dobrodusznie po ramieniu. - Idź się bawić, a Lukrecjuszem to już ja się zajmę.
 - Tylko potem pamiętaj, że ja cię ostrzegałem - powiedział sentencjonalnie Omon. - Smok nie zadowolony się tylko pegazem!!
 Poprawił sobie czerwonego kwiatka za uchem, machnął granatową suknią i poszedł.
 Teofil pokiwał z rozbawieniem głową. Czuł się już właściwie całkiem trzeźwy. Wtopił się więc w tłum, szukając znajomych, od których można byłoby wysepić choć parę kropel bezcennego płynu.

.....

Nie, nie miała do niego zalu. Przecież tak naprawdę on się jej nawet nie podobał. Tylko, że teraz wszystko znów zrobiło się takie bezbarwne...

Z zimną obojętnością spojrzała więc na elfa, gdy znów pojawił się w pobliżu. Lukrecjusz wyraźnie stropił się pod tym jej chłodnym, nieprzyjemnym wzrokiem. Zmieszany, ale krążył wokół niej, niczym óma wokół światła, czając się przy tym śmiesznie i niezgrabnie.

Aureolia patrzyła na przepychające się w tanecznym szale postaci. Kątem oka obserwowała jednak zachowanie elfa.

„Żaloszny pętał” - pomyślała i tym razem postanowiła nie odzywać się pierwsza.

Znudzony jej oziębłością, Lukrecjusz usiadł pod drzewem. Miękkie, zielone mech delikatnie zapadł się pod jego ciężarem.

Aureolia stała niewzruszona. Kąciki jej wąskich ust opadały coraz niżej. „Głupi, egocentryczny dupkał” - myślała ze złością. Odblaski ognisk ślizgały się po jego twarzy.

- Nie jestem elfem, jestem pegazem - powiedział nagle Lukrecjusz.

- Kim!?! - zawołała rusałka.

- Pegazem - powtórzył ciszej już i z wyraźnym trudem.

Aureolia roześmiała się szyderczo.

- Cha! Cha! Pegazem! Cha! Cha! Przecież to do ciebie w ogóle nie pasuje!! Skąd żeś wymyślił taką głupotę?!

Lukrecjusz spuścił oczy. Pożałował teraz, że jej to powiedział. Ten wybuch śmiechu zdyskredytował ją całkowicie w jego oczach i odebrał mu ochotę do dalszej rozmowy.

Aureolia nagle przestała się śmiać i spoważniała raptownie.

- Po coś mi to powiedział? - spytała podejrzliwie.

Elf skrzywił się jakoś płaczliwie.

- Chciałem po prostu, abys to wiedziała.

- Po co?

Lukrecjusz wzruszył ramionami.

Aureolia zamilkła i spojrzała na niego badawczo. I nagle rozzłościła się.

- Wiesz co ty jesteś?! Wiesz?! - zawołała z jakąś piekącą nienawiścią w głosie. - Zwyczajny mięczak!! Słaby, bezwolny mięczak! Takich jak ty życie rozgniała na miazgę!! Na mamałygę!! I wyciska z nich przy okazji wszystkie soki!! Wszystkie!! I tak właśnie być powinno!!

Lukrecjusz nie patrzył na nią, ale czuł jej jadownicę spojrzenie, słyszał tę zapiekłą żółć w jej głosie. Zwiesił głowę i milczał.

- Pegaz!! - Aureolia wzruszyła ramionami. - Dobra wymówka, aby uwolnić się od prawdziwego życia i aby usprawiedliwić swą własną niezaradność!! Zastępujesz życie fałszywą, senną halucynacją!!

Lukrecjusz nadal milczał. Ona też w końcu umilkła, uspokajała się powoli.

- Jak się macie!?! - zawołał Teofil. Był rumiany, spocony i chyba niezbyt pewnie trzymał się na nogach.

„Diabli go nadali” - pomyślała Aureolia.

- Wspaniale!! - zawołała przesadnie głośno. - Prowadzimy cudownie budującą konwersację i rozkoszujemy oczy widokiem tych cudnych płąsów na polanie.

- Cha! Cha! A to paradne! - zaśmiał się Teofil. - A to powiedziała!

Zwalił się na mech obok Lukrecjusza.

- Panu świętoszkowatemu aż gały na wierzch wychodzą z zadziwienia - Aureolia znów zatopiła swe złe spojrzenie w elfie. - Nieprawdaż?

Lukrecjusz nie odezwał się.

- Zupełnie inna Kraina Elfów, co? - zapytała zaczepnie. - Nie widziałeś jeszcze takiej!?

Elf przypomniał sobie nagle słowa Bajbise. Popatrzył na rusałkę uważnie.

- Mylisz się - powiedział po chwili namysłu. - Czasem patrząc na różne rzeczy można zobaczyć znacznie więcej niż się to na pierwszy rzut oka wydaje. Trzeba tylko umieć patrzeć!

- Co chciałeś przez to powiedzieć!?! - zachnęła się Aureolia. - Niby co takiego zobaczyłeś!?! A może coś ci się nie podoba!?!? Co!?!? Nie podoba ci się to, co teraz widzisz!?! - zawołała Aureolia, stając przed elfem.

- Ooo! - zaczął przedrzeźniać ją Teofil. Nagle prychnął śmiechem i, niezgrabnie podnosząc się z mchu, podszedł do rusałki.

- Wszystkim wszystko się podoba. Wszyscy wszystko rozumiemy - powiedział, puszczając oko do Lukrecjusza. - Po prostu za dużo wypijaś, złociutka - poklepał Aureolię pieszczotliwie po plecach.

- Zabierz ode mnie te wstrętne łapska! - zawołała rusałka.

- Uuuu!! - zmarszczył się Teofil.

- Co wy możecie o mnie w ogóle wiedzieć!?! - krzyknęła Aureolia. - Skąd możecie znać moje myśli?!?! - zacerpnęła głęboko powietrze w płuca. - Niby skąd!?!? Także i ty, zapatrzony tylko w siebie, śliczniutki elfie, skąd mozesz wiedzieć, co ja przeżyłam...

- Oj, wiemy, wiemy, że jesteś bardzo doświadczona życiowo - powiedział ze śmiechem Teofil. - Wiemy, że przeżyłaś straszne, straszliwe rzeczy!! Phii... Wszyscy to wiemy!! Ale już dobrze. Pójdź do wujcia. Phiii... - Teofil zaniósł się złośliwym, spazmatycznym chichotem. - Cha! Cha! Wujcio cię utuli!! Cha! Cha!

Aureolia spojrzała na niego z pogardą.

- Co wy tam wiecie!! - zawołała gniewnie. - No i czego się tak patrzysz!! - wrzasnęła na Lukrecjusza. - Kto dał ci prawo, aby mnie oceniać!?! Kto dał ci takie cholerne prawo!?! - uśmiechnęła się nieprzyjemnie. - Mówisz, że jesteś pegazem... A więc czego siedzisz tu z tymi pijakami, niedojdo!! Zamiast gapić się teraz na mnie jak sroka w gnat, zrób coś!! Działaj!! Nie siedź beczynnym. Przebojem w świat!!

Ale wielkie błękitne oczy wciąż nie przestawały na nią patrzeć. A ich zagadkowe, natrętne spojrzenie doprowadzało Aureolię do szału. Odwróciła więc głowę i powiedziała z lekceważeniem:

- Ale ty wolisz patrzeć i widzieć więcej... O, patrzeć to wy umiecie... Ale tak naprawdę to ty boisz się życia. Po prostu boisz się życia, żałosny asekurancie. A życie trzeba brać garściami, trzeba pchać je sobie do gardła, aż się człowiek nim zadławi, inaczej...

- Inaczej jest się słabeuszem, bezwolnym mięczakiem, rozgniecionym przez życie na miazgę, tak? - zapytał nagle Lukrecjusz z jakąś niespotykaną u niego zajadłością.

Aureolia drgnęła. Zmierzyła go wściekłym, pogardliwym wzrokiem. Ale błękitne oczy były zimne jak stal. Teofil znów zwałił się na miękki, zielony mech.

- Inaczej - mówił dalej Lukrecjusz - inaczej nic się w życiu nie osiągnie, tak? Będzie się zepchniętym w cień przez innych, śmiesznym, żalonym dziwolągami, tak? - znów zapytał Lukrecjusz. - A może raczej słabeuszem, zastępującym życie halucynacyjnymi snami, podczas gdy inni zajmują jego miejsce. Inni, mający twarde łokcie. Inni, co zasiadają na cudzym tronie...

Ognie w oczach Aureolii zadrżały jakoś dziwnie i zgasły. Ona sama zgasła i jakby zszarzała.

- Jeśli życie rzeczywiście należy do takich, o których myślisz - powiedziała po chwili - to nie ma nic uwłaczającego w byciu słabeuszem. Jeśli to wszystko rzeczywiście tak wygląda, to nawet lepiej być na marginesie tego wszystkiego...

- Mamy dziś nastrój do filozofowania - zaśmiał się po swojemu Teofil.

Aureolia odwróciła się gwałtownie.

- Zamknij się!! - krzyknęła nagle. Oczy jej znów roziskrzyły się złym blaskiem.

- Pijackie, uczone dysputy - zarechotał satyr. - Jednak rzeczywiście pijana rusałka to żalony widok!!

- Zamknij się!! - zawołała znów Aureolia.

- Jesteś żalona - powtórzył Teofil.

- Zamknij się!! - wrzasnęła dziko rusałka. - Jakim prawem śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób! - gorąca fala szła po jej ciele od stóp w górę. Czują, jak ogarnia całe jej ciało, jak przejmują panowanie nad całą jej istotą. - Jak śmiesz!! Ty nędzny, odrażający satyrze!! Co ty możesz wiedzieć!! Ty, który nigdy swego kulfoniastego nosa nie wystawił poza granice m e g o królestwa!! Ty, który nigdy nigdzie nie ruszył swego tłustego, obwisłego, rozlazłego tyłka!! Działasz mi na nerwy, nędzna imitacja życia, pławiąca się w tym bagnie dookoła i czerpiąca zadowolenie z tego im obleśniejszą wydajesz się innym!!

Teofil zerwał się ze swego miejsca.

- Uważaj, bo...

Oczy Aureolii pociemniały z gniewu i pogardy.

- Bo co, ty śmieciu!!

- Licz się ze słowami, panienko!! - zawołał czerwony z oburzenia Teofil. - To, że kiedyś byłaś królową rusalek, wcale nie znaczy, że nie mogę ci przyłożyć!!! I zapewniam cię, że nikt nie stanie tu w twojej obronie!!

Podniósł w górę swoją grubą, włochatą rękę.

- No, uderz!! - zawołała rusalka.

Czuła, jak wzrasta w niej coś, czego nie da się już opanować. Chciała, aby ją uderzył. Niech uderzy. Śmiało. Wiedziała jednak, że wtedy, aby ją powstrzymać, będzie musiał ją zabić. Czasem jedno uderzenie zmienia całe życie. I nikt nigdy więcej nie uderzy jej bezkarnie.

- Uderz, ty świniou!!

Teofil zawahał się.

Aureolia wykrzywiła się pogardliwie.

Lukrecjusz patrzył na nią uważnie.

.....

Aureolia była zła i rozdrażniona. Czuła, że się skompromitowała. Ale czy to pierwszy raz? I nie ostatni z pewnością. Niepotrzebnie naubliżała też Teofilowi. Przecież nie zrobił jej nic złego. Co ją napadło? Chyba jest z nią coraz gorzej. Ale co się stało, to się nie odstanie.

Szła poszturchiwana przez kotłujące się na polanie istoty. Ogniska powoli dogasały. Ktoś nadepnął jej na nogę, ktoś szarpnął za włosy. Jakaś zmora wymiotowała w krzakach. Aureolia, łokciami roztrzając oszalone upiory i strzygi, szła przed siebie.

- Aureolia? - zapytał ktoś i pociągnął ją za rękaw.

Była to jakaś rumiana strzyga.

- Nie poznajesz mnie?

Skołtunione, naczapierzone włosy, czarna, postrzępiona, luźna sukienka, ale twarz strzygi wyglądała dziwnie znajomo.

- Zenermalaudia? - zawołała Aureolia i sama nie wiedziała czemu, ale się ucieszyła. - Ty tutaj?

- Jak widzisz - Zenermalaudia poczerwieniała aż po nasadę wściekle stapirowanych włosów. Były przefarbowane z zielonych na czarne. Dookoła oczu Zenermalaudia miała nałożone ciemnogranatowe cienie, co zmieniało ją nie do poznania. - Wróciłaś?

- Och, już jakiś czas temu - powiedziała Aureolia. - Jesteś teraz strzygą?!

- Jak widzisz - zawołała Zenermalaudia i zachichotała. - Chodź - rzekła. - Musisz mi wszystko opowiedzieć.

- Nie ma właściwie, co opowiadać. Lepiej ty powiedz, czemu zostałaś strzygą?

Zenermalaudia wzruszyła ramionami i usiadła na jakimś zmurszałym pieńku.

- Nie chciałam być zdegenerowaną rusalką, więc przemaalowałam się na strzygę.

- Sądysz, że jestem zdegenerowaną rusalką? - zapytała Aureolia.

- Nie powiedziałam tego! - zawołała Zenermalaudia.

Aureolia siadła na trawie.

- Bo widzisz, ja się czasem tak właśnie czuję - powiedziała. - Tu nie ma miejsca dla rusalek. Ale tam, gdzie jest dla nich miejsce, nie ma miejsca dla mnie. Czy ty to rozumiesz? Ja po prostu nigdzie nie pasuję! Czy wiesz, co to za uczucie nigdy nigdzie nie być u siebie! Zawsze nie tam, zawsze nie w tym miejscu i nie w tym czasie!

Zenermalaudia nic nie odpowiedziała.

- Nie wiesz... - odpowiedziała sobie sama Aureolia. - Bo ty tu pasujesz.

- Nie bawisz się tu dobrze? - zapytała Zenermalaudia.

- Czasami - powiedziała Aureolia. - Ale tylko czasami... - nagle zmieniła temat. - Dlaczego nie zostałaś w pałacu? - spytała rusalka, po czym szybko dodała z jakąś drobną nutką złośliwości w głosie. - Przecież tak ci zawsze zależało na bogactwach i klejnotach?

Zenermalaudia spuściła głowę.

- To przez Elordorię - powiedziała. - Nie było tam miejsca dla nas obu. A ona po prostu była sprytniejsza. Zresztą co innego stało się dla mnie ważne. Może miałaś rację, że stamtąd wtedy odeszłaś...

Na polanie było coraz mniej tańczących. Błędne ogniki i robaczki świętojańskie krążyły w powietrzu już całkowicie bezładnie, świecąc coraz słabiej. Wszyscy byli zmęczeni.

- Dlaczego wróciłaś? - zapytała nagle Zenermalaudia.

Aureolia uśmiechnęła się dziwnie.

- Jestem rusalką - powiedziała. - Głupotą było myśleć, że mogę istnieć poza Krainą Elfów. To tak jakby z ptaka pragnąć zrobić rybę...

Ktoś wywrócił beczkę z „leśnym szmerkiem”. Rozległ się chichot winowajcy. Potem kilka wzburzonych głosów. Dwa upiory odciągnęły na bok pijanego wodnika i podniosły beczkę z powrotem do pionu.

- Jestem w punkcie wyjścia - powiedziała Aureolia. - Kilka lat szamotaniny, aby znów stanąć w niemal tym samym miejscu...

- Ważne, że próbowałaś - cicho odezwała się Zenermalaudia. - To przecież też się liczy.
- I przegrałam - rzekła Aureolia. - Poniosłam sromotną, totalną klęskę...
Nagle zerwała się ze swego miejsca i zawołała:
- No i co z tego!!? Jakie to ma znaczenie, że mi się nie udało!! - spojrzała wściekle zwięzonymi oczami na Zenermalaudię. Tamta patrzyła na nią lekko przerażona. Zapanowało chwilowe milczenie. Aureolia nie usiadła już z powrotem.
- Miło się z tobą gawędziło, ale na mnie już czas - powiedziała szybko i odeszła.

.....

- Czuła, że musi się napić.
Polana wolno pustoszała. Dookoła kadzi z „leśnym szmerkiem” pełno było porozrzucanych kielichów kwiatowych. Aureolia podniosła pierwszy lepszy z nich i przechyliła się nad kadzią. Napoju było w niej już niewiele, ale rusalka zaczerpnęła jeszcze pełen kielich. Wypiła go duszkiem, po czym zaczerpnęła następną.
- Spokojnie, nikt cię przecież nie goni.
Aureolia odwróciła się. Omon uśmiechał się swymi pełnymi, grubymi wargami.
 - Daj mi spokój - powiedziała Aureolia i podniosła do ust swój kwiatowy kielich, wypełniony po brzegi rzadką, zielonkawą ciecżą.
Omon obserwował ją zmrużonymi chytrze oczkami.
 - Powinnaś wrócić do pałacu - powiedział Omon.
 - Co?!! - zawołała Aureolia. Zakrztusiła się i wypluła wszystek płyn, który miała w ustach.
 - Powinnaś wrócić do pałacu - powtórzył Omon z tą drażniącą miną kogoś, kto myśli, że wie wszystko.
 - Zwariowałeś! - powiedziała Aureolia.
 - Nieee - powiedział satyr z wszystkowiedzącym uśmiechem. - Po prostu radzę ci jak p r z y j a c i e l .
Aureolia spojrzała na niego niemal z jawną drwiną. „A wiesz ty chociaż, co to słowo oznacza?” - zapytała go w myślach. Omon jednak wciąż patrzył na nią z niesłabnącą pewnością siebie.
 - Ty nic nie rozumiesz - powiedziała wreszcie rusalka. - Tam jest jeszcze gorsze bagno niż to tutaj!!
A grzęźnie się w nim po uszy.
 - Tak myślisz?
 - Ja to wiem - powiedziała Aureolia i napiła się.
Omon dalej chytrze mrużył swoje małe, czerwone oczka.
 - I oddasz wszystko tamtym?! - zapytał. - Przecież to wszystko należy do ciebie. A oni bezprawnie mieszkają w t w o i m pałacu, bezprawnie panują w t w o i m królestwie...
 - A wiesz co to mnie obchodzi!!? - przerwała mu Aureolia. - Gównu mnie to obchodzi!!
Omon spojrzał na nią zdziwiony.
 - Wali mnie to, rozumiesz!! - Aureolia wyduła pogardliwie wargi. - A niech się nawet pozabijają, pazerne bydlaki, ich sprawa. Mnie nic do tego!!
Omon zamyślił się bardzo intensywnie, marszcząc się przy tym straszliwie.
 - Nie rozumiem ciebie - powiedział w końcu.
 - Racja, nie rozumiesz - odpowiedziała mu Aureolia.
Omon stał jeszcze chwilę przy niej z niewyraźną miną. Aureolia znów chciała zaczerpnąć „leśnego szmerku” z kadzi, ale napoju było już za mało. Czerwone oczka Omona zmrużyły się złośliwie.
 - Za dużo pijesz - powiedział.
 - Nie twoja sprawa - odpowiedziała Aureolia i odwróciła się od niego.
Z daleka patrzyły na nią duże, błękitne oczy...

.....

Zabawa na bagnach wkroczyła w swą ostatnią, schyłkową fazę. Wolno dogasały ogniska. Kilka pijanych wodników spało po środku polany. Z wywróconych kadzi z „leśnym szmerkiem” wolniuteńko wyciekały ostatnie krople. Z krzaków dolatywały namiętne jęki strzyg, zaciągniętych tam przez wodniki, lub upiory. Kilka grupek szarych istot siedziało smętnie wśród zdeptanej trawy. Świetlików już nie było. Po drzewach, porozwieszane niczym dogasające lampiony, drzemały wycieńczone błędne ogniki. Mrok bładł stopniowo. Kontury drzew stawały się wyraźniejsze...

Wraz z nadejściem świtu umilkły wszelkie dźwięki. Kilka białych cieni przemknęło przez jeszcze uśpioną polanę. Powoli nadeiwały znad mokradeł szare, poranne mgły. Zrobiło się dość chłodno. Wśród powiedłych kielichów kwiatowych leżały uśpione ciała strzyg, zmor, upiorów i wodników. Skulony pod drzewem Teofil chrapał w najlepsze. Czasem tylko kulił się z zimna jeszcze bardziej. Lukrecjusz nie spał. Siedział zwinęty niemal w kłębek, z kolanami pod brodą i czekał wschodu słońca. Wątle smużki dymu,

unoszące się znad popiołów po ogniskach, wolno mieszały się z oparami szarych mgieł. Z drzewa spadł jakiś zaspany ognek. Podrapał się w rozczochraną głowę i spał dalej. W pobliskich krzakach wymiotowała Lesandra...

.....

Słońce nie chciało jakoś wschodzić. Lukrecjusz nieźle zmarzł, zanim wreszcie ujrzał bładą, nieśmiało wynurzającą się z zamglonego nieba, żółtawą kulę. Właściwie to była prawie pomarańczowa.

Elf wstał i rozprostował zeszywniałe kości. Rozglądał się za Aureolią, ale nigdzie jej nie dostrzegł. Wolno ruszył ku brzegowi wyspy. Liść nenufaru, na którym przypląnęli tu z Teofilem, leżał tak, jak go zostawili. Spał na nim jakiś wodnik z wtuloną w jego ramiona krąglutką zmorą.

Lukrecjusz wrócił na polanę. Znów usiadł obok Teofila. Satyr wymamrotał coś przez sen i przewrócił się na drugi bok. Elf zamknął oczy i też próbował zasnąć. Nie udało mu się jednak. Zaczął więc obserwować świecące coraz jaśniej i coraz wyżej nad horyzontem wznoszące się słońce. Czekał aż zrobi się ciepłej...

11

Myślą o jednej istocie przesłonić cały świat.

Myślą o jednej istocie zaguszyć wszystko. I strach przed jutrem, i świadomość własnej klęski, i...

Zabić wreszcie czymś ten ciągły niepokój i lęk o przyszłość.

Sny miała ciężkie i nieprzyjemne.

Dziś śnił jej się Zenobiusz i Sabała... Po co? Po jaką cholere?!

Budziła się zmęczona. A na niebie spokojnie migotały gwiazdy. Czasem był to już ranek, szary, mdły ranek.

Dlaczego tamci?

Ani razu nie przyśnił się jej Lukrecjusz. A Aureolia starała się myśleć o nim jak najczęściej.

Myślą o jednej istocie oszukać siebie, nadać sens całemu temu bezsensowi wokoło.

Czarne sny, szare życie. Sny gorsze od jawy!!

Aureolia z niechęcią kładła się spać.

Zaguszyć wszystko myślą o jednej, jedynej istocie...

Fascynował ją swym spokojem, swym wewnętrznym wyciszeniem... Ale tacy są najgorsi. Nie okazują uczuć. Nikt nie wie, co tak naprawdę myślą...

Raz Aureolia obudziła się z dziwnym spokojem. Czuła, że uśmiechała się przez sen. Uśmiech ten pozostał jej i po przebudzeniu. Uśmiechała się, choć nie śniło się jej nic.

I ten spokój! Wewnętrzny ład i poczucie harmonii ze światem... Szczęście to chyba taki właśnie spokój, spokój duszy i ciała. Spokój, gdy nie czuje się strachu, gdy nie trzeba się bać ani dnia jutrzejszego, ani wczorajszego. Gdy można z optymizmem patrzeć w życie, z radością witać każdy nowy, nadchodzący ku nam dzień...

I wbrew pozorom nie jest to wcale takie łatwe. I nie da nam tego „nektar zapomnienia”...

Oszukać siebie myślą...

12

Jasna, słoneczna kula wytoczyła się triumfująco na błękitne niebo. Krople rosy skrzyły się w gęstwinie ziół i kwiatów.

Lukrecjusz błąkał się wśród wysokich traw podmokłej, zapuszczonej łąki. Ale nie był pewien, czy dobrze zrobił, iż tu przyszedł. Nagle, jak spod ziemi wyrosła przed nim zgarbiona, chuda postać w ciemnej, luźnej szacie.

- Cieszę się, że przyszedłeś - powiedział Wiedźmar. - Czemu tak długo zwlekałeś?

Lukrecjusz nic nie odpowiedział.

- Teofil martwił się o ciebie - rzekł zakapturzony gnom.

- Przychodził tu? - zapytał nieufnie Lukrecjusz.

- Przychodził i to nie raz - odpowiedział Wiedźmar. - Wiele razy, bo wiele razy słońce wschodziło i zachodziło od naszego ostatniego spotkania.

Elf nachmurzył się.

- Musiałem sobie pewne rzeczy przemyśleć - powiedział. - A to zabrało mi trochę czasu.

- I już przemyślałeś? - zapytał Wiedźmar.

- Tak mi się wydaje.

Gnom zbierał do glinianego naczynia srebrne krople rosy. Z luźnych rękawów ciemnej szaty wylaniały się jego chude, żylaste ręce.

- Co ci powiedział Teofil? - zapytał elf.

- Wszystko - Lukrecjuszowi znów wydało się, że ukryta w ciemnościach kaptura twarzy uśmiechnęła się. - Potwierdził moje przypuszczenia. Prosił, abym przemówił ci do rozsądku.

- Zależy co kto rozumie przez rozsądek - powiedział elf.

- Trafna uwaga, młody przyjacielu - rzekł Wiedźmar, a w jego wąskich oczach pojawiło się zaciekawienie. - Rozsądek rozsądkowi nierówny. Co dobre jest dla wołu, nie musi być dobre dla pegaza, nieprawdaż?

- Prawdaż - powiedział Lukrecjusz.

Gnomie oczy zaśmiały się. Wiedźmar dalej strząsał krople rosy do glinianego dzbana. Czekał, aż elf będzie gotów. Ale Lukrecjusz milczał. Zaciśnął wargi i milczał.

- Co to będzie? - zapytał nagle.

Gnom spojrzał na niego przenikliwie, ale wciąż z tym samym spokojnym uśmiechem.

- „Nektar zapomnienia”, czy „wschodnia gorączka”? - pytał dalej Lukrecjusz.

- Ani jedno, ani drugie - odpowiedział mu spokojny, niski głos. - To do zwykłego „leśnego szmerku”. Jeśli chcesz wiedzieć, to jest to ciężka praca, czasami bardzo niewdzięczna. Ale przecież pracować stale musi ktoś, aby bawić się mógł ktoś inny...

- To nie praca! - zawołał Lukrecjusz. - To zwykłe, wielkie oszustwo!! Podłe oszustwo!!

Elf tym razem już całkiem wyraźnie dostrzegł w ciemnościach kaptura pobłażliwy uśmiech.

- Więc to cię powstrzymywało, młody przyjacielu - rzekł pogodnie, a może nawet z rozbawieniem Wiedźmar.

- Tak to, bo to nieuczciwe - powiedział Lukrecjusz.

- Wcale nie - zaproponował gnom. - Oni wiedzą, co robią. Nie zmuszam ich do tego. Nikt ich do niczego nie zmusza.

- Ale ty zabierasz im życie!! - zawołał elf.

- Owszem - potwierdził Wiedźmar - sprawiam, że ich życie staje się krótsze, ale za to bogatsze. Znacznie bogatsze!

- Ale za jaką cenę!!

- Wszystko ma w życiu swoją cenę - powiedział gnom. - W życiu nie ma nic za darmo. Pozostaje tylko pytanie, czy to co otrzymamy w zamian będzie warte ceny jaką żeśmy zapłacili. Oni uważają, że jest warte... To ich wolny wybór.

Lukrecjusz zamilkł. Przypomniawszy sobie słowa Teofila i wyraz jego twarzy, gdy wyszedł od Wiedźmara. Nie zadawał więc już nowych pytań. Ale gnom mówił dalej:

- Daję im namiastkę szczęścia, namiastkę prawdziwego życia, którego nie mają, daję im sny, wizje, tak że zaczynają czuć się kimś wyjątkowym, kimś szczególnym. Czują, że coś znaczą. Niektórzy mówią też, że to pomaga im odkryć siebie, wejść w swój świat wewnętrzny i poznać go lepiej...

Nagle dostrzegł przerażone oczy Lukrecjusza.

- Nie bój się, to tobie nie grozi - powiedział jakoś dziwnie ciepło.

- Skąd możesz to wiedzieć - rzekł elf. - Przecież mnie nie znasz.

- Poznaję to po oczach - tajemniczo uśmiechnął się Wiedźmar. - Myślisz zbyt racjonalistycznie.

- Czy to źle? - zapytał Lukrecjusz.

- Nie wiem.

Słońce przypiekało coraz mocniej, zapowiadał się upalny dzień.

- Czy to jest prawda? - zapytał nagle Lukrecjusz. - Czy to wszystko, co mówiłeś o tym, co im dajesz, czy to prawda?

- Nie wiem - powiedział znowu Wiedźmar i roześmiał się. - Nie ma ostatecznych odpowiedzi. Na pewno daję im odrobinę radości, trochę złudzeń, i na pewno potrzebuję godzin z ich życia. To jest pewne.

- Po co ci strzępki ich życia? - zapytał elf.

- Masz dziwny sposób prowadzenia konwersacji - rzekł gnom. - Zadajesz zbyt wiele pytań. Ale ponieważ lubię cię, postaram ci się szczerze na nie odpowiedzieć. Wiem też, że inaczej mi nie zaufasz, młody przyjacielu? Mam rację?

Lukrecjusz patrzył szeroko otwartymi oczyma w czerń przepaścistego kaptura. Gnom czasami go naprawdę zadziwiał, a z pewnością intrygował. Nie, elf nie żałował już, że tu przyszedł.

Wiedźmar tymczasem wskazał na swój szalas i podmokłą okolicę.

- Sądzisz, że zawsze pragnę żyć w ten sposób? - zapytał elfa. - Sądzisz, że to jest spełnienie moich marzeń? Bo nie tylko ty masz marzenia, młody przyjacielu. Ja nie jestem już młody, ale mam zamiar jeszcze odetchnąć pełnią życia. Być może już niedługo. A wtedy będzie mi potrzebny dodatkowy czas. Teraz rozumiesz? Nie umiem jeszcze wykorzystywać chwil i godzin z cudzego życia, ale pracuję nad tym. A gdy mi się uda, zrealizuję jedno z największych marzeń wszechczasów!! Marzenie o nieśmiertelności!!!

- Kosztem skrócenia życia innych? - skrzywił się Lukrecjusz.

- To nie tak - powiedział Wiedźmar. - Przedłużę swoje życie, w zamian dając innym chwile radości. To uczciwa transakcja: oni marzą o szczęściu, ja o nieśmiertelności i szczęściu. Obie strony otrzymują to czego pragną. Im nie zależy na długim życiu.

- Lukrecjusz wciąż miał jednak wątpliwości.
- To była moja szczerza odpowiedź - rzekł Wiedźmar - i wiedz, iż nie każdemu bym jej udzielił... Elf zamyślił się.
 - Czy możesz mi pomóc? - zapytał po dłuższej chwili milczenia.
 - Znowu pytanie - zaśmiał się gnom. - A szczerza odpowiedź brzmi: nie. Ja ci nie umiem pomóc. Ale nie kazałbym ci tu przychodzić, gdybym tylko tyle miał do powiedzenia. Mówią bowiem, że w jakiejś zachodniej krainie mieszka mędrzec Ortofilogoteus. Słynie on ze swej mądrości i biegłości w naukach tajemnych. Zajmuje się przede wszystkim magią. To wielki autorytet dla wszystkich parających się czarami. Niestety obecnie Ortofilogoteus zaszył się na jakimś odludziu. Nie chce, aby ktokolwiek zakłócał mu jego spokój. Pewien jestem jednak, że dla ciebie zrobi wyjątek. Jest w tobie coś niezwykłego, młody przyjacielu. Droga to daleka i o tyle trudna, że więcej wskazówek nie mogę ci udzielić. Ale jestem przekonany, że Ortofilogoteus będzie mógł ci pomóc.
 - Pójdź ze mną - powiedział elf.
 - Wiedźmar roześmiał się serdecznie.
 - Nie jestem jeszcze gotowy - powiedział. - Moje badania są dopiero w załączku, zresztą jestem pewien, że Ortofilogoteus, tak jak ty, nie pochwaliłby moich eksperymentów.
 - Elf posmutniał nagle.
 - Czy jesteś pewien, że chcesz stać się pegazem także cielesnie? - zapytał Wiedźmar.
 - Tak - odpowiedział bez wahania Lukrecjusz. Przypomniał sobie słowa Bajbise i uśmiechnął się. - Teraz jestem tego całkowicie pewien.
 - A jakim pegazem byś chciał być? - zapytał ponownie Wiedźmar.
 - Lukrecjusz nagle zmieszał się i poczerwieniał.
 - Białym - rzekł cicho.
 - A dlaczego nie różowym? - zaśmiał się Wiedźmar.
 - Lukrecjusz spojrział na niego badawczo.
 - Różowe pegazy są śmieszne - powiedział poważnym tonem.
 - Dlaczego? Różowy to taki ładny kolor - oczy gnoma zaśkrzyły dziwnie. I wtedy dopiero Lukrecjusz zauważył, że Wiedźmar ma różowe oczy!! Jak to się stało, że tego wcześniej nie zauważył!!
 - Jeśli to ma być naprawdę to czego pragniesz - powiedział gnom - nie pozwól, aby głupie uprzedzenia innych wpływały na twoją decyzję. Nawet w takich szczegółach jak kolor sierści. To będzie twoja sierść, a ty jesteś w tej uprzywilejowanej sytuacji, że będziesz mógł sam zdecydować o jej barwie. Nie zmarnuj tej szansy. Bo nie mają jej nawet prawdziwe pegazy!!
 - Elf patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. Malowało się w nich zdumienie, ale chyba i zachwyt.
 - Powodzenia, młody przyjacielu - rzekł Wiedźmar na pożegnanie.
 - Lukrecjusz szedł jak zaczarowany. Słońce stało już wysoko. Rosa na trawach już dawno wyschła.
 - I nagle elf pomyślał, że Wiedźmar nie może być zły. Bo jak może być złym ktoś, kto ma różowe oczy...

13

Jakie to dziwne, że jedno i to samo miejsce może wyglądać tak zupełnie inaczej. To co teraz widział, było zupełnie różne od wyspy, jaką zapamiętał tamtej nocy. Wyspa była teraz mniejsza i jakby bardziej zwyczajna. A co najgorsze wyglądała tak, że równie dobrze tamtej nocy mogłoby w ogóle nie być. Dla wyspy ona nie istniała. Może tylko popioły po ogniskach, jedynie one przypominały wszystko, co wtedy się wydarzyło. Ale czy cokolwiek się wtedy wydarzyło? Lukrecjusz nie był tego za bardzo pewien, niemniej wiedział, że dla niego tamta noc była bardzo ważna, choć pewnie nie umiałby wytłumaczyć dlaczego.

- I cóż, drogi elfie. Przepraszam. P e g a z i e - zawołała Aureolia. Nie zauważył, skąd i kiedy nadeszła.
- Nie żartuj sobie z tego - powiedział poważnie Lukrecjusz. Aureolia wydeła lekceważąco wargi i błysnęła złośliwie oczami. Lukrecjusz zmarszczył się niechętnie i odwrócił wzrok.
- Wypatrujemy popiołów przeszłości? - ciągnęła rusałka tym samym ironicznym tonem.
- Być może - mruknął Lukrecjusz.
- To są popioły z wczoraj - zaśmiała się nieprzyjemnie Aureolia - nie z w t e d y.
- Lukrecjusz spojrział na nią jakoś łzawo.
- Z wczoraj? - zapytał.
- A coś ty myślał? Takich zabaw jak tamta odbywają się tu setki. Święta wymyśla się na poczekaniu. Raz będzie to noc Ognistej Belzebuby, drugi raz będzie trzeba uczcić, że właśnie to ta noc nie jest.
- Aureolia patrzyła na Lukrecjusza z rozbawieniem.
- Jakiś ty naiwny. Dla nich nie ma świąt, jest tylko „nektar zapomnienia” i jemu podobne. I każdy pretekst jest dobry. Tylko czasem jest tak drętwo, że rzeczywiście można się jedynie upić...
- Elf ściągnął brwi. Teraz dopiero dostrzegł wdeptaną miejscami w ziemię trawę. Przecież podniosłaby się od tamtego czasu...

- Więc czemu ty to robisz? - zapytał. - Przecież nie jesteś taka jak oni.
 Aureolia spoważniała i spojrzała na niego nieprzyjemnie.

- Zadajesz głupie pytania - odpowiedziała.

- Dobrze - rzekł Lukrecjusz - więc teraz będzie mądre. Słyszałaś kiedyś o mędrca Ortofilogoteusie?

- Owszem - odpowiedziała sennym głosem Aureolia. - Ponoć jest bardzo, bardzo, ale to bardzo mądry - wzruszyła ramionami. - Ale nikt nie wie, gdzie on jest i prawdopodobnie bardziej jest legendą, niż żywym, naprawdę istniejącym człowiekiem.

- Zamierzam go odnaleźć - powiedział Lukrecjusz.

- Jak? - spytała rusałka.

- Wiedźmar twierdzi, że on mieszka w jakiejś zachodniej krainie.

- Wiedźmar niech lepiej pilnuje swoich dodatkowych godzin, które wyludza za „nektar zapomnienia” - rzekła Aureolia, wydymając pogardliwie wargi. - Ma ich już tyle, że się w nich niedługo pogubi.

- Ja mu wierzę - odrzekł Lukrecjusz.

Rusałka spojrzała na niego z lekceważeniem.

- Jesteś głupcem - powiedziała. - Jesteś potwornym głupcem, jeśli sądzisz, że możesz cokolwiek zmienić! - wykrzywiła się jakoś boleśnie. - Nic nie da się zmienić!! Można jedynie wykonywać setki p o z o r n y c h działań, setki działań pozbawionych jakiegokolwiek znaczenia. Bo bez odrobiny przychylności losu i tak nic z tego nie będzie!!

- Mnie się uda - powiedział z jakąś dziwną stanowczością Lukrecjusz.

- Zawsze można mieć nadzieję - uśmiechnęła się cierpko Aureolia.

- A ty już ją straciłaś?

- Gdybym ją straciła - powiedziała Aureolia - oddałabym Wiedźmarowi wszystkie godziny mego życia, które mi jeszcze zostały. A nie zrobiłam tego...

Słońce powoli ślizgało się po zdeptanej trawie.

Aureolia nagle rozzłościła się.

- Fantasta!! - zawołała. - Żałosny marzyciel!! Jeśli nawet Ortofilogoteus naprawdę istnieje, sądzisz, że co, on rozwiąże wszystkie twoje problemy? Powie ci jak żyć? Udzieli odpowiedzi na wszystkie twoje pytania? Czary mary i wszystko się ułoży?

Lukrecjuszowi znów przypomniały się słowa Bajbise.

- Pewnych spraw nikt za nas nie załatwi - powiedział. - Każdy sam i na własną odpowiedzialność musi uporać się z własnym życiem. Lecz nie znaczy to wcale, że nie możemy szukać pomocy i wsparcia u innych.

Aureolia stanęła na jednej nodze i zaczęła machać rękami, obszerne rękawy jej sukni zaszeleściły niczym prawdziwe skrzydła.

- Pegaz, pegaz!! - zawołała skrzekliwie. - Cha! Cha! Cha!

Zaniosła się nieprzyjemnym, złym śmiechem. Elf popatrzył na nią ze smutkiem.

- Jesteś chora - powiedział. - Chora z nienawiści.

Aureolia przestała się śmiać.

- Kretyn!! - zawołała nagle ze złością i odeszła szybkim, nerwowym krokiem. Lukrecjusz nie wiedział czemu, ale nagle przypomniały mu się gorączkowe ruchy Mirandy...

14

Źródłana nimfa Hydroterizes uśmiechała się łagodnie i palcami łapała tańczące w wodzie odbłaski słońca. Długie, błękitne włosy spłynęły jej przez ramię, opadając miękko aż na trawę, aby swymi końcami dotknąć przezroczystej tafli wody. Hydroterizes śmiała się jak dziecko i w swej jasnyniebieskiej sukience siedziała na soczyście zielonej trawie. Taką zobaczył ją Lukrecjusz. Usiadł obok niej. Nimfa uśmiechnęła się promiennie na jego widok. Przestała już łapać słoneczne odbłaski, pomagała teraz przepływać wodzie w strumyczku, wychodzącym z jej źródła.

- Jak się masz? - zapytał ją elf.

Hydroterizes znów uśmiechnęła się w odpowiedzi. Nie lubiła dużo mówić, wstydziła się trochę swojego cichutkiego, cieniutkiego głosiku.

Lukrecjusz sam nie wiedział czemu, ale bardzo chciał się jeszcze raz zobaczyć z nimfą. Sam tego za bardzo nie rozumiał.

Woda pluśkała cichutko tak jak zawsze, gdy tu przychodził.

- Niedługo i do ciebie dotrze nakaz radosnego śpiewania - powiedział Lukrecjusz.

- Mnie to nie przeszkadza - zaśmiała się dźwięcznie Hydroterizes. - Bo czyż to nie przyjemnie nucić sobie cichutko do wtóru z szumem strumyka. Czasem i bez nakazu tak sobie nuce, zwłaszcza kiedy mi smutno.

- Teraz będziesz musiała śpiewać stale i to tylko wesole piosenki.

- No to będę stale coś nuciła - roześmiała się nimfa - i to tak cichutko, że nikt nie pozna czy to wesola piosenka, czy smutna.

Lukrecjusz spochmurniał.

- Sądzisz, że życie to takie bierno trwanie, takie bierno podporządkowywanie się wszystkiemu? - zapytał nagle.

Hydroterizes uśmiechnęła się słodko.

- A cóż mogę zrobić innego - powiedziała łagodnie. - Zresztą nimfa powinna ładnie śpiewać, od tego jest nimfą... Zresztą nie zadawaj mi takich trudnych, poważnych pytań - zarumieniła się lekko. - Czuję się wtedy taka... Bo ja nie umiem ci na nie odpowiedzieć.

- Nikt nie umie - powiedział jakoś dziwnie Lukrecjusz. Zapanowało chwilowe milczenie.

- Nie chcesz niczego w życiu przeżyć? - zapytał znowu elf. - Niczego zobaczyć? Nie chcesz po prostu poczuć, że żyjesz?

- Ależ ja żyję - powiedziała Hydroterizes. - Spójrz tylko ile tu piękna dookoła.

- I to ci wystarcza? - zapytał Lukrecjusz.

Hydroterizes spojrzała na niego z wesołym zdziwieniem.

- Cóż może być piękniejszego dla nimfy - powiedziała - jak podziwianie piękna przyrody i poczucie, że jest się pożytecznym trybikiem wielkiego organizmu - spuściła oczy i po chwili dodała: - bardzo malutkim trybikiem bardzo wielkiego organizmu. Bo przyroda to bardzo wielki organizm.

Lukrecjusz patrzył tępo w wodę. Zrozumiał nagle, że niepotrzebnie tu przyszedł. Wszystko tylko popsuł. Zniszczył ciepłe, miłe wspomnienie o Hydroterizes. Teraz bowiem pozostanie w jego pamięci już na zawsze tylko ten jej cukierkowy, polukrowany obficie wizerunek, wizerunek tak słodki, że aż przyprawiający go o mdłości.

- Pytałaś kiedyś - powiedział - czy można nie robić tego, co każą. Otóż można, a czasem nawet trzeba. Jeśli chce się zachować szacunek do samego siebie, jeśli chce się żyć, a nie tylko wegetować, czasami po prostu inaczej nie można.

Nimfa pochyliła lekko do przodu swe delikatnie zarumienione, wciąż uśmiechnięte łagodnie oblicze.

- Jesteś elfem i tego nie rozumiesz - powiedziała cichutko. - Nimfy myślą o wielu sprawach zupełnie inaczej niż elfy. Nimfy czują po prostu inaczej - zawstydziła się nagle, że dzisiaj tak dużo mówi. - Bo czegoś może pragnąć więcej źródłana nimfa niż tego piękna, które ją otacza.

Hydroterizes uśmiechnęła się do swoich myśli. Zanurzyła ręce w strumieniu i spojrzała z zachwytem w niebo i na zielone liście...

- Spójrz jak tu pięknie!

Lukrecjusz patrzył na nią pochmurnie.

- Pewnego dnia - powiedział - obudzisz się i stwierdzisz, że życie przeciekło ci przez palce jak ta woda, której pomagasz przepływać, a która równie dobrze płynie sama, bez twojej pomocy.

Oczy Hydroterizes nagle powiększyły się i zwilgotniały. Lukrecjusz wstał bez słowa.

- Odchodzisz już? - zapytała jakoś żałośnie.

- Tak i być może już nigdy więcej się nie zobaczymy - powiedział dziwnie szorstko. - Wyruszę w daleką drogę i chciałem się z tobą po prostu pożegnać.

Oczy nimfy załśniły jakoś szklisto. Otworzyła usta, ale jakoś nie mogła nic powiedzieć. Głos ugrzązł gdzieś głęboko w gardle.

Lukrecjusz nie obejrzał się ani razu, choć widział te jej oczy i te bezsilnie rozwarłe wargi... Dla niej był tylko elfem, a więc czymś, czym nie był. Nie zasługiwała więc na ani jedno cieplejsze uczucie.

.....

Słońce było już wysoko, niebo było błękitne, a drzewa szeleściły zielonymi liśćmi.

Zagłębiając się w las, Lukrecjusz nagle uświadomił sobie, iż czerpie jakąś niezdrową satysfakcję z faktu, że zrobił przykrość Hydroterizes.

„Niedobrze” - pomyślał. - „Zaczynam zachowywać się jak Aureolia, albo Teofil”. I wtedy żałowało mu się biednej nimfy. Wiedział, jak bardzo go lubiła i że był chyba jedyną osobą, która ją odwiedzała. Ale nie zawrócił. Bo wiedział, że nie pozwoli swemu życiu tak bezsensownie przeciec przez palce, jak uczyni to Hydroterizes. On nie roztrwoni tak swoich dni.

Po łąkach biegały rusałki. Jakaś rzeczna nimfa zawodziła okropnie fałszywie. Ptaki siedziały cicho na gałęziach. Bez ograniczeń brzęczeć mogły jeszcze tylko muchy.

A gdzieś tam biegają po znacznie piękniejszych łąkach wolne, skrzydlate pegazy, białe i różowe. Biegają nie dlatego, że ktoś im kazał, ale dlatego, że chcą i lubią to robić. Wiatr rozwiewa im grzywy, a one rozpościerają skrzydła, aby go lepiej odczuć. I to jest najważniejsze. Bo może Hydroterezis wystarczy szum jej źródelka i szmer wypływającego z niego strumyczka, ale nie jemu, nie Lukrecjuszowi. On już teraz oczekuje od życia znacznie więcej.

Aureolia siedziała na pniu jakiegoś drzewa. Drzewo to zapewne powaliła na ziemię jedna ze srogich i bardzo gwałtownych burz, które ostatnio coraz częściej nawiedzały Krainę Elfów. Coraz częściej?... A może tak tylko zdawało się Aureolii.

Rusałka siedziała więc na pniu jakiegoś zwałonego przez burzę drzewa.

Przyglądała się bacznie swym gęstym splotom i zębami obgryzała rozdwojone końcówki.

„Rozdwajają się cholery” - pomyślała z niechęcią. Właściwie mogła je spokojnie podciąć. Byłyby zdrowe i piękne jak kiedyś. Przecież miała tak długie włosy, że te kilka centymetrów w tą czy we wtę nie robiło żadnej różnicy. Ale Aureolia nie chciała podcinać włosów nawet o milimetr, choćby właśnie dlatego, że spokojnie mogłaby to zrobić. Trzeba przecież mieć jakieś zasady, nawet wtedy, gdy się nie ma żadnych zasad. Bo to jednak miło jest mieć jakieś zasady. Nawet takie, jak choćby nie podcinanie włosów, mimo iż strzępią im się końce.

Sennie brzęczały muchy.

Leniwie szemrał strumyk.

Na skraju lasu ukazała się smukła postać Lukrecjusza.

Aureolia udała, iż go nie zauważyła i spokojnie wystawiła twarz do słońca. Zamknęła oczy i chciała chłonąć ciepło promieni słonecznych.

I znów sennie brzęczały muchy i leniwie szemrał strumyk.

Po chwili jednak cień elfa zasłonił jej słońce. Otworzyła oczy i zmierzyła go od stóp do głowy niechętnym spojrzeniem. Lukrecjusz jednak wbrew jej oczekiwaniom ani trochę się nie zmieszał. Stał spokojnie przed nią i uważnie się jej przyglądał.

- Byłaś już poza granicami naszej krainy, prawda? - zapytał.

- Owszem, byłam. I co z tego?

- Nic - powiedział.

Aureolia skrzywiła się.

- Bardzo się miło z tobą rozmawia, ale wołałabym jednak, abyś nie zasłaniał mi słońca i, skoro nie masz mi nic do powiedzenia, poszedł sobie.

Ale Lukrecjusz nie poruszył się. Aureolia uniosła pytająco brwi.

- Chcę żebyś poszła ze mną do mędrca Ortofilogoteusa. Boję się, że sam nigdy nie zdobędę się na taką wyprawę.

Aureolia zmrużyła drwiąco oczy.

- Czy to jest zakamuflowana deklaracja płomiennego, dozgonnego uczucia? - zapytała.

Przez twarz Lukrecjusza przebiegł chmurny, ponury cień.

- Nie - powiedział zimno. - Nic takiego nie grozi ci z mojej strony, zapewniam cię.

A jednak Aureolii zrobiło się nieprzyjemnie.

- Więc czemuż kopnął mnie ten wątpliwy zaszczyt? - spytała lekko zirytowanym tonem.

- Powiedziałem ci już, że się boję. Razem będzie nam łatwiej.

- Więc oczekujesz, iż z czysto altruistycznych pobudek zabawię się w twoją niańkę!?

Elf spojrział na nią tak jakoś dziwnie, zupełnie tak jak patrzy się na głupie, krnąbrne dzieci.

- Oczekuję, że mędrzec Ortofilogoteus pomoże także i tobie - powiedział. - Przecież ty nie chcesz tkwić wraz z nimi w tym bagnie.

Aureolia popatrzyła na niego uważniej. W jej pięknych, piwnych oczach zaśniły jakby jakieś smutne ogniki.

.....

Dzień był taki jak zawsze. Szary i nijaki.

Nadal sennie brzęczały muchy, ale leniwie szemrzący strumyk został daleko za nimi.

Wolno zagłębiali się w szary, spłowiwały od słońca, zakurzony las.

Twarz Lukrecjusza rozświetlała jakaś dziwna powaga i twarde, niezłomne zdecydowanie. Speszyla ją ta jego stanowczość. A jeśli naprawdę mu się uda? Aureolia chciała, aby było to możliwe.

Dzień był taki jak zawsze - szary i nijaki. Niczym nie różnił się od poprzednich i Aureolia też nie oczekiwała od niego niczego innego. Ale może jednak lepiej popełniać stare błędy, niż wahać smród własnego rozkładu. Tak przynajmniej pomyślała Aureolia.

K O N I E C

Marzec 1997